



Kobieca  
strona  
thrillera

Wydaje ci się, że...

# TAK DOBRZE MNIE ZNASZ

A.J. RICH

Prószyński i S-ka

A. J. Rich

## Tak dobrze mnie znasz

Pamięci Katherine Russell Rich

Któż by nie zadrżał, rozpamiętując nieszczęścia, jakie może spowodować jeden nieopatrzny związek!

Choderlos de Laclos, *Niebezpieczne związki* 1

Wszystkie fragmenty z *Niebezpiecznych związków* w

Choderlos de Laclos w tłumaczeniu Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Tak czy nie:

Chcę, żeby wszyscy byli szczęśliwi .

Wiem, czego ludzie potrzebują, zanim mnie o to poproszą.

Oddawałam krew.

Oddałabym nerkę, żeby ratować życie bliskiej osoby .

Oddałabym nerkę, żeby ratować życie obcej osoby.

Sprawiam wrażenie szczerzej.

Daję więcej, niż otrzymuję.

Ludzie mnie wykorzystują.

Ludziom powinno się wybaczać.

Dzisiaj na żadne z tych pytań nie odpowiedziałabym tak

samo jak przed rokiem. A to ja ułożyłam ten test. Chciałam być osobą, która zmieni definicję drapieżnika, na nowo rozpozna i określi cechy ofiary. Co do testu: stanowił część mojej pracy magisterskiej z psychologii sądowej w Wyższej Szkole Prawa Karnego imienia Johna Jaya. Filozof powiedział kiedyś: „Prog jest miejscem oczekiwania”<sup>2</sup>. Byłam o krok od zdobycia wszystkiego, czego pragnęłam.

Oto pytanie, które zadałabym dzisiaj:

Czy potrafię wybaczyć sobie?

Wykład dotyczył wiktymologii. Czy symbiotyczne

zaburzenie w umyśle sprawcy istnieje również w emocjonalnej strukturze ofiary?

Profesor wykorzystał przykład „syndromu kobiet maltretowanych”, syndromu, który – jak podkreślił – w ogóle nie figuruje w „Diagnostycznostatystycznym podręczniku zaburzeń psychicznych” (DSM-5), natomiast często pojawia się w ustawach karnych. Dlaczego? Sądziłam, że znam odpowiedź.

Poranek naładował mnie energią; nie mogłam się doczekać

powrotu do domu, do mojej pracy badawczej. Czułam się trochę winna, że chciałam znowu mieć mieszkanie tylko dla siebie, więc wstąpiłam do Fortunato Brothers i kupiłam dla Bennetta torebkę migdałowych ciasteczek z orzeszkami piniowymi.

Moje mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze obitego deskami szeregowego domu w dzielnicy Williamsburg na

Brooklynie. Nie trzymałam z hipsterami, moj kwartał należał do starego świata. Włoskie kobiety ciągle zamiatały swoje kawałki chodnika, a emerytowani mafiosi grali w szachy u braci Fortunato.

Przecznice dalej był skład kamieniarski z nagrobkami, gdzie sprzedawano również bochenki chleba. Bennett nazywał to miejsce składem kamieniarsko-piekarskim. Pracownicy, wszyscy po osiemdziesiątce, przesiadywali na plastikowych krzesłach przed wejściem i palili cygara. Samochod z lodami grał motyw

przewodni z *Ojca chrzestnego*. Mowiło się: „To nie HBO, to nasza dzielnica”.

Do moich drzwi prowadziło czterdzieści osiem stopni krętych schodów. Wspinając się po nich, wachałam etniczne potpourri: smażony czosnek na pierwszym podeście, na drugim gotowaną kapustę, następnie chorizo na głębokim tłuszczu, a potem już było moje piętro, gdzie niczym nie pachniało, bo nigdy nie gotowałam.

Zobaczyłam, że drzwi są lekko uchylone. Bennett musiał wyjść i zapomniał przekręcić uszkodzoną gałkę, chociaż go prosiłam. Psy mogły się wydostać na zewnątrz. Miałam trzy: Cloud – wielkiego pirenejczyka, którego nazywałam Wielkim Białym Płótnem, oraz Chestera i George’a, dwa gapowate, nieszczęsne mieszańce pitbula, którym zapewniłam dom

tymczasowy. Psy stanowiły jedyną kość niezgody między mną i Bennettem. Chciał, żebym przestała się angażować w ratowanie każdego przybłądy kosztem pracy, ale podejrzewałam, że tak naprawdę nie mógł znieść psich kudłów na swoich swetrach.

Bennett marzył nawet latem. Twierdził, że cierpi na zespół

Raynauda, objawiający się skurczem tętnic w dłoniach i stopach, co powoduje ich ziębnięcie. Obawiał się zaawansowanego

stadium, w którym może nastąpić zwyrodnienie palców. Tyle że jego ręce nigdy nie były zimne, kiedy dotykał mojej skóry. Ja natomiast szybko się rozgrzewałam. Wiosną pierwsza wkładałam sandały, nie nosiłam szalika nawet zimą, nie przeziębiałam się przez klimatyzację. I nie miało to nic wspólnego z masą ciała.

Kiedy ramieniem otworzyłam drzwi, za którymi czekało

mnie radosne psie powitanie, zauważyłam płatki róż na chodniku w korytarzu. Bennett je rozsypał? Pomysł wydał mi się tandetny i zupełnie do niego nie pasował. Mężczyzna, który pamięta wszystko, co się do niego mówi, nie potrzebuje uciekać się do tanich chwytów. Bennett postrzegał i rozumiał mnie, jak nikt nigdy wcześniej. Nie tylko poświęcał mi uwagę, on wiedział zawczasu czego zapragnę, niezależnie od tego, czy chodziło o jedzenie, film czy muzykę. Ma się rozumieć, ta wiedza znajdowała zastosowanie również w sypialni.

Schyliłam się, żeby podnieść kilka płatków i zrozumiałam, że to ślady łap. Zatem jednak nie wyświechtany romantyczny gest.

Abstrakcyjny kwiatopodobny wzor na podłodze prowadził do

sypialni. Tymczasowi podopieczni, Chester i George, dobrali się do kosza na

śmięci? Myśl o rozniesionych przez psy resztkach sosu puttanesca także mi się nie spodobała. Chester i George są dżentelmenami, ale Bennetta irytowały niedojedzone kości walające się po mieszkaniu. Potykanie się o resztki i o piszczące zabawki stanowiło kolejny argument, żebym znalazła im dom na stałe albo oddała do okropnego schroniska we wschodnim Harlemlie, skąd je uratowałam. Darowizna na rzecz miejscowej organizacji pomagającej zwierzętom zaowocowała wpisaniem mnie na listę mejlową i od tamtego czasu codziennie otrzymywałam zdjęcia i opisy psow wraz z liczbą godzin życia, jakie im pozostały, jeśli czegoś nie zrobię.

Chester i George siedziały w celi śmierci i czekały na eutanazję. Na zdjęciu przytulały się do siebie i każdy wyciągał łapę w geście przywitania. Nie potrafiłam się oprzeć. Kiedy zjawiłam się w schronisku, w kartach na klatce opisano je jako

„bezproblemowe”. Pracownik wyjaśnił mi, że oznacza to charakter najlepszy z możliwych. Nie zrobiły nikomu nic złego, chciały tylko kochać i być kochane. Wypełniłam dokumenty, zapłaciłam podwójną opłatę adopcyjną z zamiarem zapewnienia im jedynie domu tymczasowego i następnego dnia wraz z Cloud odebrałyśmy je wypożyczonym samochodem.

Bennett nie mógł się pogodzić z wiecznym chaosem powodowanym przez trzy duże psy w małym mieszkaniu. Być może miał rację, że zwierzaki rządzą moim życiem. Czyżby moje misje ratunkowe stanowiły formę patologicznego altruizmu? Na takiej tezie oparłam swoje badania i test służący zdefiniowaniu ofiar, których bezinteresowność i nadmierna empatia przyciągają drapieżnika.

Bennett potrzebował ładu, żeby prawidłowo funkcjonować, mnie natomiast niezbędny był swojski, przytulny bałagan. Kiedy przyjeżdżał z Montrealu, wieszał swoje koszule i spodnie w szafie, podczas gdy ja zostawiałam legginsy, kamizelki ze sztucznej skóry i sterty bluzek rozrzucone na łóżku. On wyładowywał zmywarke, którą wcześniej sam napełniał i włączał, ja zostawiałam brudne naczynia w zlewie. Nie podobało mu się, że psy śpią razem z nami.

Nie lubił ich i one o tym wiedziały. Psy wiedzą takie rzeczy. Były posłuszne, ale Bennett wydawał im komendy ostrzej, niż

wymagała tego sytuacja. Nie raz zwracałam mu uwagę. I jak mieliśmy kiedyś zamieszkać wszyscy razem?

Cloud dopadła do mnie pierwsza. Wykorzystywała swoje gabaryty, żeby odpychać chłopaków. Nie dość, że nie powitała mnie jak zwykle, czyli kładąc swoje wielkie łapy na moich ramionach, to wyraźnie sprawiała wrażenie zdenerwowanej i przestraszonej. Położyła uszy po sobie i bezradnie kręciła się u moich stop. Jeden z jej bokow wyglądał, jakby się nim oparła o świeżo pomalowaną ścianę. Tyle że niczego nie malowałam, a gdybym malowała, nie wybrałabym koloru

czerwonego.

Uklęknełam i rozgarnełam mokre futro w poszukiwaniu ran kłutych, ale żadnych nie znalazłam, poza tym czerwony kolor nie sięgał głębiej. Przeprosiłam Chestera i George'a za moje nieuzasadnione podejrzania. Dobrze, że już klęczałam, bo zakręciło mi się w głowie i pewnie bym upadła. Odruchowo macałam Chestera i George'a, szukając źródła krwawienia. Serce mi waliło. W głowie znow mi zawirowało. One także nie były ranne. Opuściłam głowę, żeby nie zemdleć.

– Bennett?! – zawołałam.

Zepchnęłam z siebie Chestera, który zlizywał krew z moich rąk.

Zobaczyłam plamy na nowej kanapie, prezencie od starszego brata Stevena z okazji trzydziestki i wejścia w wiek dojrzały.

Prokowałam zapanować nad psami, ale cały czas kłębiły się przede mną, utrudniając mi dotarcie do sypialni. Mieszkanie, wąskie i długie, miało amfiladowy układ wagonu kolejowego; można było je przestrzelić na wylot, nie trafiając kulą w ścianę. Z miejsca, gdzie stałam w salonie, widać było dolną połowę łóżka. Widziałam nogę Bennetta.

– Co się stało psom? – spytałam.

W głębi mieszkania czerwone smugi były coraz dłuższe.

Bennett leżał na podłodze sypialni twarzą do podłogi, a jego noga pozostawała na łóżku. Dopiero potem zauważyłam, że te dwie części nie są połączone. W pierwszej chwili chciałam go ratować, żeby się nie utopił we własnej krwi, ale kiedy opadłam na kolana, zobaczyłam, że wcale nie jest zwrocony twarzą w dół.

Patrzył w górę, a raczej patrzyłby, gdyby nadal miał oczy. Przez moment, wbrew logice, trzymałam się nadziei, że to nie Bennett.

Może jakiś intruz się włamał i psy go zaatakowały. Mimo szoku zdałam sobie sprawę, że zabójca nie był istotą ludzką. Ślady krwi nie odwzorowywały emocji. Miałam już spore doświadczenie z dziedziny kryminologii i wiedziałam, na co patrzeć. Analiza śladów krwi daje wyniki dokładniejsze, niż można by się spodziewać.

Określa typ ran, kolejność ich zadania, rodzaj broni oraz wyjściową pozycję ofiary – czy była w ruchu, czy leżała

nieruchomo, gdy nastąpił atak. Tu rany były kłute i szarpane.

Bennett miał ręce obdarte ze skóry, nastąpiło to, kiedy próbował się bronić. Prawa noga została urwana w kolanie. „Broń” w tym wypadku stanowiło zwierzę lub zwierzęta. Rany miały szarpane krawędzie, nie gładkie jak przy cięciu ostrzem, brakowało również całych fragmentów ciała. Smugi krwi wskazywały, że był ciągnięty po podłodze sypialni. Prawa stopa z łydką musiała zostać przeniesiona na łóżko już po tym, jak został zaatakowany.

Fontanna krwi, prawdopodobnie z tętnicy szyjnej, spryskała wezgłowie i ścianę z

tyłu.

Słyszałam, jak psy dyszą za moimi plecami, czekają, próbują odgadnąć, co będziemy zaraz robić. Staralam się opanować

przerażenie. Najspokojniejszym głosem, jaki byłam w stanie z siebie wydobyć, kazałam im zostać w miejscu. W pozycji „waruj”.

Zaraz potem wyczułam nowy zapach przebijający przez odor krwi.

To ja go wydzielalam. Wstałam i w zwolnionym tempie ominęłam psy. Cloud się podniosła i poszłaby za mną, gdybym nie

powtórzyła komendy „zostań”. Chester i George nie odrywały ode mnie wzroku, ale nie drgnęły, kiedy sunęłam w kierunku łazienki.

W końcu tam dotarłam i zatrzasnęłam za sobą drzwi, po czym oparłam się o nie całym ciężarem, na wypadek gdyby moje

zwierzęta zaczęły je forsować. Usłyszałam skomlenie po drugiej stronie.

Jeszcze nie byłam w szoku. Ten miał wkrótce nadejść. Na

razie, bliska łez, czułam wdzięczność, że przeżyłam. Szumiało mi w głowie z emocji, jakbym właśnie wygrała jakąś nagrodę. Bo wygrałam – życie. Oszołomienie trwało zaledwie kilka sekund.

Otrząsnęłam się z tego dziwnego transu; wiedziałam, że muszę wezwać karetkę. Raczej niemożliwe, by przeżył, ale jeśli się myliłam? Jeżeli cierpiał? Komórkę zostawiłam w torebce, którą powiesiłam wraz z kluczami na wieszaku w holu. W tym momencie usłyszałam szelest miętego, a potem rozrywanego

papieru i przypomniałam sobie o torebce z ciastkami. Musiałam ją upuścić i psy ją znalazły. Powoli otworzyłam drzwi i przeszłam obok sypialni w drodze po torebkę. Ile czasu potrzebowały na uporanie się z ciastkami? Potężny wyrzut adrenaliny pozwolił mi opanować odruch ucieczki w bezpieczne miejsce; wzięłam torebkę, ani na moment nie spuszczając psów z oczu. W końcu znow znalazłam się w łazience, bezpieczna za zamkniętymi

drzwiami. Weszłam do pustej wanny, jakby ten stary żeliwny sprzęt na ozdobnych nożkach mógł mnie ochronić, i wybrałam numer 911. Udało mi się dopiero za drugim razem. Kiedy dyspozytorka spytała, o co chodzi, nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie mogłam nawet krzyczeć.

– Czy w tej chwili coś pani zagraża? – spytała. Głos należał do dojrzałej kobiety.

Gwałtownie pokiwałam głową.

– Uznam pani milczenie za potwierdzenie. Może mi pani powiedzieć, gdzie się znajduje?

– W łazience. – Szeptem podałam adres.

– Policja już do pani jedzie. Proszę się nie rozłączać. Czy w domu znajduje się jakaś niepożądana osoba?

Słyszałam psy pod drzwiami łazienki. Po wcześniejszym

skomlenu teraz piszczały i drapały w drzwi, żeby je wpuścić.

Nie odpowiedziałam.

– Jeśli intruz jest w domu, proszę jeden raz stuknąć palcem w mikrofon – poleciała dyspozytorka.

Zastukałam trzy razy.

– Jeśli doszło do użycia broni, proszę stuknąć raz.

Uderzyłam raz lekko w telefon.

– Więcej niż jedna sztuka broni?

Kolejne pojedyncze stuknięcie.

– Broń palna?

Kręcąc głową, włożyłam telefon do pustej wanny.

Dyspozytorka nadal do mnie mówiła, ale już z daleka. Ruch głowy dał mi pewne ukojenie, jakby ktoś mnie kołysał.

Jeden z psow zawył do wtoru syreny nadjeżdżającego

radiowozu. Cloud. Kiedyś mnie bawiło, gdy wyniańczona przeze mnie Cloud, której co tydzień czyściłam zęby, odpowiadała na tę miejską wersję wilczego zewu, jakby budziła się w niej dzika bestia. Teraz jej wycie mnie przerażało.

– Policja już dojechała na miejsce – oznajmił stłumiony głos z telefonu spoczywającego na dnie wanny. – Proszę stuknąć raz, jeśli intruzi nadal znajdują się w mieszkaniu.

Psy zaczęły ujadać, słysząc zbliżające się kroki; ktoś szarpał za gałkę, by sprawdzić, czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz.

– Policja! Otwierać!

Probowałam do nich zawołać, ale zdołałam wydobyć z siebie jedynie słaby jęk, jeszcze cichszy od głosu, który uporczywie powtarzał pytanie, czy intruzi nadal są w środku. Jediną odpowiedzią, jaką słyszała policja, było szczekanie.

– Policja! Proszę otworzyć drzwi!

Ujadanie przybrało na sile.

– Wezwij tych od zwierząt! – polecił komuś jeden z policjantów.

Zaraz potem rozległ się huk wyważanych drzwi i pojedynczy, ogłuszający strzał. Skowyt, który po nim nastąpił, zabrzmiał jak ludzki płacz. Dwa pozostałe psy umilkły.

– Dobre pieski, dobry pies – powiedział jeden z policjantów.

– Ten chyba nie żyje.

Kroki zbliżały się ostrożnie.

– O cholera, o Jezu – odezwał się drugi.

Usłyszałam, jak wymiotuje.

Drzwi łazienki otworzyły się gwałtownie i młody funkcjonariusz znalazł mnie skuloną w pustej wannie.

Przykucnął obok. Czuję jego oddech, kwaśny od



wymiotow.

– Jest pani ranna?

Nogi miałam podwinęte pod siebie, twarz wciśniętą w kolana, ręce splecione na karku.

– Karetka już jedzie. Proszę posłuchać, muszę sprawdzić, czy pani krwawi. – Krzyknęłam, gdy delikatnie przyłożył rękę do moich pleców. – Okej, okej, nikt pani nie skrzywdzi.

Tkwiłam nieporuszona w pozycji, jaką dzieci przyjmują podczas szkolnych ćwiczeń, chroniącej przed falą uderzeniową po wybuchu atomowym. Poźniej się dowiedziałam, że jednym z objawów szoku jest sztywny bezruch.

– Służby weterynaryjne już są – rzucił drugi z policjantów.

Karetka musiała przyjechać w tym samym czasie, bo ratownik badał mi puls, a ratowniczką sprawdzała, czy nie mam ran. Przez cały czas tkwiłam skulona w wannie.

– Nie sądzę, żeby to była jej krew, ale nie jestem w stanie obejrzeć brzucha – powiedziała kobieta. – Podłączę kroplówkę.

Poczujecie pani ukłucie.

Wbiła mi grubą igłę w lewe ramię. Krzyknęłam tak głośno, że psy znow zaczęły ujadać, już tylko dwa.

– Podamy pani coś na uspokojenie i sprawdzimy, czy nie ma pani obrażeń.

Czarny żar pełził w gorę ręki, jak gdyby ktoś założył mi ciepłą rękawiczkę. A potem czerń zaczęła się rozrastać, aż była tak duża, że mogłam w nią wejść jak w miłosierny czarny worek, w którym można zniknąć na zawsze.

– Musimy jej zadać parę pytań. Może mówić? – spytał jeden z policjantów.

– Jest w szoku.

– Nazywa się pani Morgan Prager?

Probowałam skinać głową, ale czarny worek był za ciasny i krępował ruchy.

– Proszę powiedzieć, kto był z panią w mieszkaniu? Nie znaleźliśmy przy zmarłym żadnych dokumentów pozwalających na identyfikację.

– Czy ona nas słyszy? – wtrącił się drugi funkcjonariusz.

Położono mnie na noszach i wieziono przez mieszkanie; kiedy mijaliśmy sypialnię, otworzyłam oczy. Teraz jej widok bardziej mnie dziwił, niż przerażał.

– Co się stało? – odezwałam się jakimś nowym, cienkim głosem.

– Proszę nie patrzeć – poradziła kobieta.

Jednak spojrzałam. Nikt nie zajmował się Bennettem.

– Czy on cierpi? – usłyszałam swój głos.

– Nie, kochana, nie cierpi.

Nim zniesiono mnie po schodach, zobaczyłam ciało Chestera na podłodze w holu. Dlaczego go zastrzelili? Cloud i George’a umieszczono w osobnych klatkach oznaczonych napisem „Niebezpieczny pies”.

Lekarze nie znaleźli na moim ciele żadnych ran, żadnych obrażeń, które by wyjaśniały, dlaczego się nie ruszam i uporczywie milczę, poza tym, że krzyczałam, gdy ktoś się do mnie zbliżał. Dla mojego własnego bezpieczeństwa zastosowali wobec mnie paragraf 9.27 kodeksu obowiązującego w Nowym Jorku: medyczny nakaz przymusowej hospitalizacji.

2 J.W. Goethe, *Lata nauki Wilhelma Meistra*, tłum. Maria Kłańska.

## 2

Prawda czy fałsz:

Brałaś udział lub byłaś świadkiem wydarzenia zagrażającego życiu, które wywołało u ciebie intensywny lęk, stan bezradności lub przerażenie.

Doświadczasz tego samego ponownie w snach.

Przeżywasz to wydarzenie od nowa na jawie.

Myślisz o tym, żeby się zabić.

Myślisz o tym, żeby zabić innych.

Rozumiesz, że jesteś w szpitalu psychiatrycznym.

Wiesz, dlaczego tu jesteś.

Czujesz się odpowiedzialna za to wydarzenie.

Wiedziała, że życzliwa psychiatra – przedstawiła się jako Cilla – zadaje mi rutynowe pytania konieczne do oceny mojego stanu psychicznego, ale nie było wśród nich takich, na które potrzebowałam odpowiedzi. Obserwowała mnie ze szczerym zaciekawieniem.

– Możemy przełożyć naszą rozmowę. – Otworzyła szufladę

biurka, schowała test i wyjęła gumę Nicorette. – Jestem od niej uzależniona tak samo, jak byłam od papierosów – powiedziała.

Wyglądała na osobę tuż po pięćdziesiątce; włosy miała gładko zaczesane do tyłu i spięte szylkretową kłamarą. Nalała sobie kawy i wzięła z podręcznego stolika drugi kubek. – Z czym pani pije? – Wyjęła karton mleka z minilodowki i zaczęła dolewać do kawy. –

Proszę powiedzieć, kiedy mam przestać.

Uniosłam rękę.

– Cukru?

– Czy to, co pamiętam, zdarzyło się naprawdę? – To były pierwsze słowa, jakie wymowiłam od sześciu dni.

– A co pani pamięta?

– Moj narzeczony nie żyje. Znalazłam go w sypialni.

Zaatakowały go moje psy.

Lekarka dała mi znak, żebym mówiła dalej.

– Wiedziała, że nie żyje, zanim wezwałam karetkę.

Schowałam się w wannie, a potem nadeszła pomoc. Policjant zastrzelił mojego psa. – Nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy. – To moja wina.

– Była pani w szoku, kiedy panią przywieziono, ale pani

pamięć nie została w żaden sposób upośledzona. Przespała pani ostatnią noc?

Zjada pani posiłki?

Odpowiedziałam przecząco na oba pytania.

Odpowiedziałabym przecząco na każde pytanie dotyczące normalności. Już nic nigdy nie miało być dla mnie „normalne”. Jak mogłabym wyrzucić z pamięci to, co widziałam? Co jeszcze mogłam tam zobaczyć?

– Rozumiem, że pani ból jest niewyobrażalny, mogę pani od razu dać coś na sen, ale nie jestem w stanie uśmierzyć żalu. Żałoba nie jest chorobą.

– Da mi pani coś na poczucie winy?

– Może się pani czuć winna, ponieważ poczucie winy jest łatwiejsze do zniesienia niż żal.

– Co mam zrobić?

– Już pani robi. Rozmawia ze mną. To pierwsza rzecz, jaką może pani zrobić.

– Rozmowa nie zmieni faktów.

– Racja, ale nie jesteśmy tu po to, żeby zmieniać fakty – stwierdziła.

– On nie żyje. Chcę wiedzieć, co się stało z moimi psami.

– Psy stanowią dowód w sprawie. Są przetrzymywane przez wydział zdrowia.

– Zostaną uśpione?

– A co według pani powinno się z nimi stać?

Cloud nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy. Miała osiem tygodni, gdy do mnie trafiła. Co wpłynęło na zachowanie pitbuli?

Od dwóch miesięcy sypiały w moim łóżku. Sypiały w łóżku, nawet gdy Bennett mnie odwiedzał. Chociaż kilka razy musiałam usunąć Chestera za pilnowanie dobytku – ja byłam tym dobytkiem, którego pilnował. Czy Bennett fizycznie mu groził? Nastąpił totalny atak. Bennetta nie dało się rozpoznać.

– Chcę wiedzieć, co się stało z ciałem Bennetta. Jego rodzice zorganizowali pogrzeb?

– Policji wciąż nie udało się ich odnaleźć.

– Mówił, że jego rodzice mieszkają w małym miasteczku w Quebecu.

– Bennett przyjeżdżał do pani z Quebecu?

– Mieszkał w Montrealu.

– Pani brat powiedział nam, że nigdy nie poznał Bennetta.

– Rozmawialiście ze Stevenem?

– Steven nie mieszka blisko pani? – odpowiedziała pytaniem Cilla.

– Mieliśmy tak mało czasu dla siebie, że Bennett chciał go spędzać tylko ze mną.

– Odwiedziła go pani w Montrealu?

– Zapraszał mnie, dał mi nawet klucz, ale w końcu stanęło na tym, że jemu łatwiej przyjechać tutaj.

– Jak się poznaliście?

– Zbierałam materiał do mojej pracy magisterskiej z psychologii sądowej.

Po sześciu dniach milczenia podczas naszych codziennych sesji nadal nie czułam się gotowa jej powiedzieć, że poznałam go podczas sprawdzania teorii o ofiarach seksualnych internetowych drapieżników. Stworzyłam pięć profili kobiet wysokiego ryzyka: „Nadskakująca”, „Niezatapialna”, „Ruina”, „Łatwy cel” i

„Przystosowalna”. Umieściłam je na różnych portalach

randkowych. Dodałam też postać kontrolną – nieśmiałą, solidną, życzliwą światu pracoholiczkę, która ma poczucie humoru i lubi seks, innymi słowy: samą siebie.

Pierwszy mejl Bennetta trafił do grupy kontrolnej stałych bywalców. W przeciwieństwie do większości „stałych bywalców”, których odpowiedzi przypominały życiorysy wysyłane do rekrutera szukającego chętnych na

lukratywną posadę, Bennett okazał zainteresowanie mną. Pytał, jakie książki czytam, jakiej muzyki słucham, gdzie najbardziej czuję się sobą. W końcu wymieniliśmy tyle mejli między sobą, że nie miałam wyboru. Przyznałam się, co naprawdę robię w sieci, a on zamiast okazać złość lub urazę był zafascynowany. Zadawał

mnóstwo pytań o moją pracę, a mnie pochlebiało jego zainteresowanie... nawet więcej niż pochlebiało.

Jego zainteresowanie moją pracą wytworzyło kolejną przestrzeń, w której spotykały się nasze umysły. Ekscytował się moimi pomysłami bardziej niż moi koledzy z roku, wliczając seksownego policjanta z Dominikany, z którym przez jakiś czas się spotykałam. Można powiedzieć, że to zainteresowanie stało się nieco obsesyjne. Któregoś popołudnia przyłapałam Bennetta na czytaniu mejli na moim koncie na Hotmailu, założonym do celów badawczych. Autorem był ktoś, kogo uznałam za seksualnego dewianta, jakkolwiek nie miałam jeszcze pewności, czy jest drapieżnikiem. Spytałam Bennetta, co robi.

– Zostawiłaś otwarte, byłem ciekawy – wyjaśnił. –

Zauważyłem, że ten facet zawsze pisze w trzeciej osobie. Czy to typowe?

Sama nie zwrociłabym na to uwagi, więc odkrycie nie tylko złagodziło moją irytację bezczelnością Bennetta, ale też

udowodniło, jak bardzo się zaangażował w moje badania. Po raz kolejny mi pomógł. Nagle sobie uświadomiłam, że już nie mogę go ani przeprosić, ani mu podziękować. Znowu wpadłam w rozpacz.

– Kiedy mnie stąd wypuszczą? – spytałam.

– Pobyt przymusowy skończył się trzy dni temu –

odpowiedziała Cilla. – W tym momencie przebywa tu pani z własnej woli.

– Muszę stąd wyjść?

Dziwne, że miałam erotyczny sen, kiedy przebywałam na oddziale psychiatrycznym. A może nie.

– Powiedz mi, co jest przyjemniejsze – mówił w tym śnie Bennett. Pocałował mnie w usta, a potem pociągnął za włosy tak mocno, że zabolalo.

Zaskoczyłam samą siebie odpowiedzią.

– Włosy.

Pogładził mnie po wewnętrznej stronie uda, a potem ugryzł w to samo miejsce. I znowu spytał, co było bardziej przyjemne.

– Ugryzienie – odparłam.

– Dobra dziewczynka – pochwalił, następnie polizał moj policzek jak pies.

Kazał mi się przetoczyć na brzuch i we śnie poczułam, jak wchodzi we mnie podwojnie w tym samym momencie. Jak to możliwe?

– Co jest przyjemniejsze? – spytał.

– Nie potrafię wybrać – odpowiedziałam, a on dalej to robił, jakby był dwoma mężczyznami naraz.

Podczas następnej sesji opowiedziałam Cilli o śnie, a ona stwierdziła, że czasami żałowała doznania natury seksualnej, że moje ciało jest w żałobie, tak samo jak psychika. Powiedziała, że seks, nawet we śnie, jest afirmacją życia.

Ręce innych mężczyzn były zwinne i ciekawskie; dotyk

Bennetta cechowała pewność siebie. Zaczynał pieszczotę w takim punkcie mojego ciała, żeby wydawała się nieskończona. A siła nacisku była zdecydowana; takiej samej używa rzeźbiarz do ugniatania mokrej gliny.

Na naszą pierwszą randkę wynajęliśmy pokój w Old Orchard Beach Inn w Old Orchard w stanie Maine.

Uzgodniliśmy, że spotkamy się w zaciszu hotelowego pokoju. Czułam się skrepowana, choć czekałam na to od miesięcy.

Ustaliliśmy, że Bennett będzie czekał w tym pokoju. Wtedy żałowałam, że nie umowiliśmy się w miejscu publicznym, gdzie moglibyśmy się czymś zająć – popływać łódką, zwiedzać, robić cokolwiek, zamiast stawać ze sobą twarzą w twarz w małym pokoju z wielkim łóżkiem. Przed Bennettem miałam do czynienia jedynie z chłopcami. Nie chodziło o wiek, chłopcy byli napaleni, zabawni, szybcy, niebezpieczni, samolubni i seksowni, ale nigdy pewni siebie. Ledwie otworzyłam drzwi, Bennett chwycił mnie mocno za nadgarstek i wciągnął do środka. Zobaczyłam przed sobą mężczyznę, którego żadna kobieta nie nazwałaby przystojnym. I od razu wiedziałam, że to nie ma znaczenia.

W niesymetrycznej twarzy jeden kącik ust lekko opadał, a cera zdradzała, że cierpiał kiedyś na trądzik młodzieńczy. Błękit jego oczu, pod długimi rzęsami, przy nieco chropowatej skórze był szczególnie wyrazisty.

To, co u innego mężczyzny wydałoby się odpychające, u niego składało się na urok, jakim młody Tommy Lee Jones czarował

kobiety. Poruszał się z leniwą powolnością, wręcz hipnotyczną.

Pocałunek był długi. Wyczuł, kiedy go przerwać.

I kiedy podjąć od nowa.

Całował, trzymając w dłoniach moją twarz. A ja szybko

zarzuciłam mu ręce na szyję. Kobiety wolą wysokich mężczyzn, tymczasem Bennett miał najwyżej metr siedemdziesiąt trzy, a mnie się podobało, że jesteśmy podobnego wzrostu. Cieszyłam się, że nie używa perfum, pachniał jak czysta woda w jeziorze.

Padliśmy na łóżko i przyciągnął mnie do siebie, ale tym

razem nie za nadgarstek. Dzięki jego pożądaniu nie czułam skrępowania. Kiedy mi powiedział, że na żywo jestem piękniejsza, uwierzyłam. Wyzbyłam się oporów, ośmielona jego pewnością siebie. Pomogłam mu rozpiąć moją bluzkę; nie musiał się mocować z zapięciem stanika, bo miałam na sobie tylko jedwabną halkę. Ściągnął mi ją przez głowę. Bez pośpiechu. Wziął moją rękę i położył sobie na nabrzmiałym kroczu. Następnie uniosł ją i ucałował wewnątrz dłoni. Na moment wziął do ust każdy z palców.

Uklęknął, wciąż ubrany w dżinsy i białą koszulę, po czym rozebrał

mnie do naga. Ocierał się podbrodkiem o moje ciało i całował uda po wewnętrznej stronie. Pragnęłam go, ale pozwoliłam się

prowadzić. Bez pośpiechu. Ułożył mnie plecami na łóżku, rozłożył

mi nogi i wsunął we mnie język. Żaden z chłopców tego nie zrobił, nie w taki sposób. Zawstydzilo mnie, że tak szybko osiągnęłam orgazm, ale zobaczyłam, że sprawiło mu to przyjemność. Wstał i teraz ja uklęknęłam. Miał na sobie stare levisy zapinane na guziki.

Rozpinając je, czułam twarde członek. Nachyliłam się i otarłam o niego pierściami.

– Chodź tu – powiedział.

Wsunął we mnie palec i sprawdzając, na ile jestem gotowa, całował moją szyję.

Kazał mi czekać jeszcze kilka sekund.

Wiedział, że w bezruchu jest moc, a oczekiwanie wzmacnia żądzę.

– Chodź tu – powtórzył.

Moją współlokatorką w szpitalu Bellevue była studentka

pierwszego roku Sarah Lawrence College, która próbowała

popęłnić samobójstwo poprzez wypchanie sobie ust papierem toaletowym.

– Wypiłam cały alkohol z barku ojca i połknęłam wszystkie tabletki babci, ale nic nie zadziało – powiedziała. Nasza sala nie różniła się od pokoju w akademiku, tyle że okna miały specjalne szyby odporne na uderzenia, a „lustro” w łazience było z nierdzewnej stali. Zamknięcie drzwi nie zapewniało nam

prywatności, ponieważ znajdował się w nich otwór podobny do bulaja, wychodzący na korytarz, gdzie nigdy nie gaszono światła.

Moja współlokatorka Jody powiedziała mi, że Cilla, nasza wspólna psychiatra, śpiewała kiedyś w choroku Lou Reeda. Życie Jody poza szpitalem, jakkolwiek przebiegało, mocno ją postarzyło; wyglądała na znacznie więcej niż swoje osiemnaście lat, do czego przyczyniały się też grube czarne kreski wokół oczu. Przed przyjęciem na oddział kazano jej usunąć ćwieki z twarzy i w dolnej wardze miała teraz rząd małych dziurek.

W przeciwieństwie do Jody Cilla się nie malowała, a i tak sprawiała wrażenie, że ma mniej niż pięćdziesiąt lat, a na tyle ją oceniałam. Widok jej wolnych od zmarszczek rysów działał

uspokajająco, podobnie jak jej życzliwe spojrzenie. Musiało ją kosztować wiele trudu wypracowanie takiego wyrazu twarzy –

neutralnego, bez śladu osądzania, jakby patrzyła na zwykłą pacjentkę, a nie na kobietę odpowiedzialną za śmierć

narzeczonego. To była mina, jaką usiłowałam przybierać w więzieniu na Rikers Island podczas cotygodniowych spotkań z internetowymi oszustami i ekshibicjonistami, które należały do programu moich studiów.

Siedziałam na sofie, a ona na fotelu z poduszką ortopedyczną. Wyobrażałam ją sobie w tamtych czasach, jak w czarnych skorzanych spodniach i butach na platformie śpiewa za plecami świetnego nowojorskiego rockmana. Wyciągnęła paczkę gum Nicorette.

– Nie ma pani nic przeciwko? – spytała.

Pustawy szpitalny gabinet był pomalowany na uspokajające kolory ziemi. Za biurkiem wisiał obraz utrzymany w tonacji oranżu i sjeni, z gatunku sztuki abstrakcyjnej – kiedyś uważano ją za radykalną, a dziś zdobiła ścianę każdego terapeuty. Malowidło stanowiło jedyny jaskrawy akcent w tym wnętrzu.

– Wygląda pani, jakby trochę odpoczęła tej nocy.

– Jeśli koszmary nocne można uznać za relaksujące.

– Zwiększyć pani dawkę ambienu?

– Nie ma takiej dawki, która by mi przyniosła spokój.

– Być może spokój jeszcze nie jest celem – powiedziała.

– W takim razie co tu robimy?

– Proszę mi powiedzieć, kiedy ostatni raz czuła pani spokój.

Nie musiałam wyteżać pamięci: to było pod koniec czerwca, w pierwszy weekend, który spędziliśmy razem z Bennettem.

Spotkaliśmy się znowu między Montrealem a Brooklynem, w staroświeckim pensjonacie w Bar Harbor, wyszukany przez

Bennetta. On przyjechał samochodem, ja autobusem. Płynęliśmy kajakiem wzdłuż brzegu, gdy nagle z lasu wyszedł łoś. Jego rogi musiały mieć rozpiętość chyba trzech metrów, wyglądał jak poł

zwierzę, poł drzewo. Nigdy wcześniej nie widziałam równie majestatycznej istoty.



Oboje z Bennettem przeżyliśmy moment zachwytu, żadne z nas nie czuło potrzeby, żeby się odzywać.

– Dlaczego pani płacze? – spytała Cilla.

– Byłam wtedy z nim.

Podsunęła mi dyżurne pudełko z chusteczkami, ale nie skorzystałam.

– Zniszczyłam to, co kochałam. Potrafi pani znaleźć odpowiednią dawkę, żebym się z tym pogodziła?

Nie odpowiedziała. Bo coż można było powiedzieć?

– A do tego jestem pokręcona. Tęsknię za moimi psami.

Popatrzyła na mnie tym neutralnym, nieruchomym spojrzeniem, jakby mnie prowokowała do szukania sposobu, by je przełamać.

– Czasami czuję się równie winna z powodu Cloud, jak i z powodu Bennetta. Po co brałam dodatkowe psy?

– Ma pani dobre serce.

– Doprawdy? To nie był pierwszy raz.

– Sprawowała pani wcześniej tymczasową opiekę nad psami?

– Zbieracze wykorzystują zwierzęta do samouzdrawiania – powiedziałam.

– Uważa się pani za zbieraczkę? – spytała Cilla.

– Dostrzegam w sobie taki potencjał. Jako dziecko znosiłam do domu wszystkie bezpieczne koty i psy, każde nieopierzone pisklę, które wypadło z gniazda. Wie pani co? Te pisklęta były chore. Dlatego matki się ich pozbywały. Kiedyś przez takie jedno umarła moja ukochana papużka.

– Ludzie nie powinni okazywać serca z powodu niedających się przewidzieć konsekwencji? – drążyła.

Sięgnęłam po chusteczkę higieniczną z pudełka na stoliku między nami, chociaż wcale nie była mi potrzebna, nie płakałam.

Chciałam coś miętosić w rękach.

– Śmierć Bennetta była niemożliwa do przewidzenia? –

spytałam. – A co pani powie o matce noworodka, która trzyma w domu pytona? O kobiecie, która przyjmuje z powrotem do

mieszkania eksmitowanego konkubenta, a potem nie wierzy córce, oskarżającej go o molestowanie?

– Właśnie nad takim typem drapieżnika prowadzi pani badania?

– Prowadzę badania nad ofiarami.

W końcu opowiedziałam jej, jak poznałam Bennetta. Był osobnikiem kontrolnym, którego szukałam. *Tak czy nie. Wolałby postępować słusznie, niż być szczęśliwy. Często czuje się prowokowany. Opiekuńczy wobec*

*kobiet. Lubi mieć poczucie władzy nad kobietami. Kobiety go okłamują.* Według wszelkich kryteriów Bennett posiadał osobowość typu B: osobnik pozbawiony agresji, typ faceta, jakiego matka chciałaby mieć za zięcia. Nigdy nie pociągali mnie mężczyźni, którzy podobali się mojej matce. Dlatego jego czarująca odpowiedź na moj anons tak mnie zaintrygowała. Nie próbował flirtować. Nie traktował ekranu komputera jak lustro, żeby się mizdrzyć. Ani razu nie użył zaimka „ja”. Policzyłam czasowniki w pierwszej osobie. Przeciętny respondent płci męskiej umieszczał dziewiętnaście w pierwszym mejlu. W drugiej osobie pojawiały się najwyżej trzy, zwykle mniej.

Mejl Bennetta miał formę kwestionariusza. Jakiej książki nie zabrałabyś na bezludną wyspę? Brzmienie którego angielskiego słowa najbardziej ci się podoba? Lubisz zwierzęta bardziej niż ludzi? Przy jakiej piosence płaczesz, ale wstydzisz się do tego przyznać? Kiedy nie wzięłabyś sobie wolnego? Uważasz, że liczby emitują kolor?

– Sądzi pani, że Bennett był pani ofiarą? – spytała Cilla.

Dlaczego spotkał go taki los? Nie potrafiłam przestać myśleć o tym „dlaczego”. Pitbule mu nie zagrażały, nie licząc

początkowego zachowania Chestera, który chciał chronić swoją panią. Bennett się ich nie bał, jak utrzymywał, ale poskarżył się, że Chester na niego warczał, kiedy próbował usunąć z podłogi zamrożone kości ze szpikiem. Bennett nie należał do miłośników zwierząt, ale warunkowo je akceptował. Jak traktował psy podczas mojej nieobecności?

– Dlaczego wybrała pani wiktymologię jako przedmiot studiów? – spytała Cilla.

– Myślę, że to ona mnie wybrała.

### 3

Ofiary stają się ocalałymi dopiero po fakcie. W jaki sposób drapieżnik wybiera ofiarę?

Powiedzmy, że pięć uczennic opuszcza plac zabaw.

Drapieżnik siedzi w samochodzie po drugiej stronie ulicy.

Stosowana przez niego metoda selekcji w niczym nie przypomina wybierania przez stado wilków najsłabszego jelenia, czy może jednak mają ze sobą coś wspólnego?

Obserwuje chod każdej z dziewcząt, typuje jej najbardziej wyrazistą cechę – nieśmiałość, tupet, żywiołowość, rozmarzenie.

Powstrzymuje się z wyborem ofiary, dopoki nie pojawi się taka, która spełni pewne warunki. Pierwsza z wychodzących

dziewczynek cały czas podskakuje: to ja w czasach szkolnych.

Byłaby łatwym celem, ale ten konkretny drapieżnik nie chce podskakującej.

„Podskakujące”, jak się okazuje, stanowią

kłopotliwy łup. Stawiają opór. Druga dziewczynka, która przyciąga jego wzrok, ma po obu bokach roześmiane przyjaciółki, i chociaż jest w jego typie, on nie zamierza aż tak się trudzić, żeby ją z nimi rozdzielać i ryzykować wpadkę. Trzecia dziewczynka rozmawia głośno przez telefon, a ubior czwartej jest zbyt chłopięcy. Piąta ma lekką nadwagę i skręca w palcach kosmyk grzywki. Włosy zasłaniają jej twarz, co jest wiarygodną oznaką niskiej samooceny i emocjonalnego wycofania. „Skręcające” nigdy się nie bronią. Ona już wie, że jest ofiarą, jeśli nie w tym momencie, to wkrótce. Nie będzie musiał się wysilać, aby ją czarować. Czy wilk musi czarować słabego jelenia?

„Metoda podejścia” określa sposób, w jaki sprawca zbliża się do ofiary. Daje wskazówki co do jego umiejętności społecznych, budowy ciała, zdolności manipulacji. Trzy główne metody podejścia to: oszustwo, zaskoczenie i napaść. W pierwszej sprawca przekonuje ofiarę, że potrzebuje jej pomocy – wyobraźmy sobie Teda Bundy’ego z ręką na temblaku, jak prosi młodą kobietę, żeby mu pomogła wydostać coś z jego pozbawionej okien furgonetki. W

drugiej metodzie napastnik leży i czeka, a potem obezwładnia ofiarę – wyobraźmy sobie nożownika ukrytego pod autem, który czeka, aż kobieta wróci z zakupami i otworzy swojego minivana.

Wtedy przecina jej ścięgno Achillesa, żeby nie mogła uciec.

Napaść wymaga gwałtownego i zdecydowanego użycia siły, aby szybko pokonać opór stawiany przez ofiarę – wyobraźmy sobie wtargnięcie do domu, podczas którego wszyscy pechowcy przebywający w środku są szybko zabijani albo gwałceni i zabijani.

Ocena ryzyka określa stopień prawdopodobieństwa, że

konkretna osoba stanie się ofiarą. Są trzy poziomy ryzyka: niski, średni i wysoki.

Kwalifikacja odbywa się na podstawie oceny życia osobistego, zawodowego i towarzyskiego. prostytutka z oczywistych powodów należy do grupy wysokiego ryzyka: ma do czynienia z dużą liczbą obcych, nierzadko z narkomanami, bywa sama w mieście nocą i nikt nie zauważy jej nieobecności. Ofiara niskiego ryzyka ma stabilną pracę, mnóstwo przyjaciół i znajomych, trudno przewidzieć, gdzie i kiedy się pojawi.

A jeśli istniał inny czynnik ryzyka – nadmierne zaufanie, wynikające nie tyle z łatwowierności, co ze współczucia? Na przykład mała dziewczynka, zwabiona do samochodu drapieźnika, bo ten poprosił ją o pomoc w poszukiwaniach zaginionego kotka?

Tak to działa u ludzi.

Studiowałam pod kierunkiem psychiatry, który pozwalał pacjentom przyprowadzać na sesje swoje psy. Opowiedział mi o kobiecie, która pojawiła się ze swoim wytresowanym mieszańcem owczarka; pies leżał w pozycji „waruj” u jej stop, nawet kiedy wymachując rękami, z ożywieniem przedstawiała swoje racje.

Obok niej inny pacjent, na lekach antypsychotycznych, siedział spokojnie obok swojego setera, mówił monotonnym głosem, a jego pies wstał i zaczął nerwowo krążyć po gabinecie, a nawet powarkiwiał i kładł uszy po sobie. Wniosek? Psy potrafią dostrzec różnicę między zachowaniem neurotycznym, a takim, które stanowi prawdziwe zagrożenie.

Czy Bennett groził moim psom?

Cilla pomogła mi ułożyć list kondolencyjny do rodziców

Bennetta. Pokazał mi kiedyś ich zdjęcie: jego stary ojciec grał na akordeonie w wiejskiej kuchni, a matka, ubrana w fartuch, tańczyła. Kiedy Cilla spytała, co o nich opowiadał, niewiele potrafiłam sobie przypomnieć. Żałowałam, że nie spytałam o więcej. Cilla doradziła, żebym nie skupiała się w liście na swoim poczuciu straty.

Mój brat Steven poprosił jednego z detektywów pracujących dla jego kancelarii, żeby znalazł ich adres, ponieważ policja jakoś nie mogła sobie z tym poradzić: Pan Jean-Pierre i Pani Marie Vaux-Trudeau z Saint-Elzear w Quebecu, miasteczka liczącego mniej niż trzy tysiące mieszkańców.

– Rodzice Bennetta nie istnieją – oznajmił Steven podczas swoich odwiedzin w Bellevue, gdy zaczynałam drugi tydzień pobytu na oddziale. Przyjeżdżał prawie co wieczor; siedzieliśmy na plastikowych krzesłach w świetlicy, podczas gdy w telewizji na Discovery leciał serial *Póki nas śmierć nie rozłączy*. Wyobraźcie sobie końską dawkę całego sezonu opowieści o małżonkach, którzy zabijają się nawzajem... podczas miesiąca miodowego.

Moja współlokatorka Jody trzymała się w pobliżu, bo wiedziała, że Steven zawsze przynosi czekoladę. Udawała, że słucha muzyki przez słuchawki, żeby nas nie krępować, ale widziałam, jak wyłącza dźwięk.

- Chciałeś powiedzieć, że twój detektyw nie zdołał ich odnaleźć – sprostowałam.
- Następnym razem, Steve – przerwała nam Jody – mogłbyś przynieść taką z kawałkami bekonu i solą?
- Bekon w czekoladzie? – zdziwił się Steven.
- Może źle przedyktowałam nazwisko – powiedziałam.
- Moj człowiek sprawdził wszystkie możliwości pisowni. Nie ma nikogo o tym nazwisku w Saint-Elzear.
- Może pomyliłam nazwę miasta.
- Sprawdził wszędzie w okolicy.
- Muszą gdzieś być. Ktoś powinien ich zawiadomić, że ich syn nie żyje.
- Kazałem mojemu człowiekowi poszukać w miejskim archiwum aktu urodzenia Bennetta. Nikt o takim imieniu i nazwisku nigdy tam nie mieszkał.
- Nie prosiłam, żebyś sprawdzał Bennetta.
- Nie sprawdzałem Bennetta, starałem się znaleźć jego rodziców dla ciebie.

Znałam mojego brata lepiej niż ktokolwiek na świecie. Jako dzieci byliśmy nierozłączni i z oddaniem opiekowaliśmy się sobą nawzajem, co jest typowe u potomstwa osoby cierpiącej na psychozę maniako-depresyjną. Kiedy ojciec wchodził w fazę depresji, ignorował Stevena, natomiast w fazie manii go atakował.

Choroba dwubiegunowa jest jednym z niewielu przypadków, gdy drapieżnik i ofiara zamieszkują to samo ciało w tym samym czasie.

Co prowadzi do nierównej walki.

- Chcesz, żeby moj człowiek nadal szukał rodziców Bennetta? – zapytał Steven.
- Oczywiście, że chcę.

Po wyjściu Stevena Jody pracowała nad swoją czekoladą.

– Mojej nauczycielce kreatywnego pisania z Sarah Lawrence przydarzyło się to samo. Poznała Anglika w sieci i zakochała się w nim.

- Dlaczego twoja nauczycielka miałaby ci opowiadać o swoim życiu uczuciowym? – spytałam, choć trudno było mi się skupić na Jody.

Cały czas wracałam myślami do momentu, gdy dowiedziałam się od Stevena, że Bennett podał mi fałszywe miejsce urodzenia.

- Program wymaga, abyśmy się spotykały sam na sam na poł godziny tygodniowo i dyskutowały o moim pisaniu. A nie ma o czym gadać i obie to wiemy. Okazało się, że Anglik w rzeczywistości miał dwanaście lat.
- Tak bywa. – Sięgnęłam do lampki przy łożku, żeby ją

zgasić.

– Poczekaj. Wreszcie to rozgryzłam. Jesteś gorszą wersją tej aktorki, Charlotte Rampling... Seksownie przymknięte oczy, które zmieniają kolor od orzechowego po zielony w zależności od światła, kości policzkowe. Strasznie mnie to męczyło.

– Gorszą wersją...

– I niższą – doprecyzowała Jody. – Moja siostra i ja jesteśmy gorszymi wersjami Joan Fontaine i Olivii de Havilland. Oglądamy mnóstwo starych filmów. Z drugiej strony twój brat jest jakby lepszą wersją Nicolasa Cage'a.

– Myślę, że on by się z tym zgodził. Nie znam twojej siostry, ale nie sądzę, żebyście były gorszą wersją kogokolwiek – dodałam uprzejmie i wyłączyłam lampkę. – Dobranoc.

Odwrociłam się plecami do Jody, by uciąć rozmowę. Chociaż trudno było mi udawać, że jestem tu sama.

Po co ktoś miałby podawać fałszywe miejsce urodzenia?

Z bogatego arsenału kłamstw, jakimi mężczyźni karmili kobiety, to było co najmniej zaskakujące. Dlaczego miałby oszukiwać? Nie potrafiłam tego zrozumieć. Chyba że zmienił

nazwisko. Jednym z powodów, dla których ludzie zmieniali

tożsamość – nie licząc małżeństw, gdy kobiety przybierały nazwisko męża – było zerwanie więzów z przeszłością, aby zacząć życie od nowa. A jeśli zmienił nazwisko, to co jeszcze mógł

zmienić? Historię swojego dzieciństwa? Przecież o rodzicach mówił z miłością.

Jak wyglądało dzieciństwo, które pragnąłby mieć, a nie miał? Kim byli ludzie w wiejskiej kuchni? Bennett przypominał tamtego mężczyznę z akordeonem ze zdjęcia.

Wierciłam się na posłaniu, aż w końcu wylądowałam

odwrocona twarzą do drugiego łóżka. Jody, nawet jeśli nie spała, leżała bez ruchu. Nie mogłam zapomnieć jej głupiej zabawy w porównywanie. Czyją gorszą wersją był Bennett? Przywoływałam w myślach twarze aktorów, których oglądałam w nadawanych późną nocą filmach. Zatrzymałam się przy legendarnym

Montgomerym Clifcie. Miał poważny wypadek samochodowy –

wjechał w drzewo – podczas kręcenia *W poszukiwaniu*

*deszczowego drzewa*, a choć operacja plastyczna twarzy, której wymagał, przyniosła niezłe efekty jak na lata pięćdziesiąte, jego późniejszy wygląd zdecydowanie różnił się od pierwotnego.

Pomyślałam, że Bennett był gorszą wersją gorszej wersji

Montgomery'ego Clifta. Natychmiast poczułam wstyd – skąd takie złośliwe porównanie? Przecież mogłam mu zarzucić jedynie

kłamstwo na temat pochodzenia.

Jody nadal leżała w bezruchu. Żałowałam, że nie dzieję

pokoju z Kathy. Wtedy nie gasiłabym światła i nie odwracałabym się do niej

plecami. Rozważałybyśmy rozmaite możliwości

związane z tą dziwną sytuacją, układałybyśmy najbardziej zwariowane scenariusze, aż wreszcie obie płakałybyśmy ze śmiechu. Na koniec przypomniałaby mi o dwoistej naturze człowieka i udzieliła rady, że powinnam przeprowadzić rozpoznanie i podjąć ryzyko, jakie niesie z sobą wiara.

Wiara jej służyła. Żadny przygod, niezłomny i mądry duch prowadził ją przez życie, jakiego wielu mogło jej pozazdrościć...

do pewnego momentu. W wieku dwudziestu ośmiu lat, na trzecim roku medycyny na Uniwersytecie Nowojorskim, dowiedziała się, że ma raka piersi, już z przerzutami do kości. Chodziła na zajęcia i spotykała się z ludźmi podczas pierwszej chemioterapii; pojawiała się na oddziale z odkrytą głową – żadnej peruki czy turbanu z chusty. Pacjenci codziennie widzieli jej męstwo; przychodziła tam dla nich, podczas gdy ktoś inny dawno by się poddał.

Przeżyła osiem lat od momentu postawienia diagnozy. Przez cztery z nich mieszkaliśmy razem na Vinegar Hill, przy wjeździe na Brooklyn Bridge. Zmarła tuż przed tym, jak poznałam Bennetta.

A teraz siedzę w wariatkowie ze studentką z Sarah Lawrence College.

Co by zrobiła Kathy?

Ja zarezerwowałabym bilet na poranny lot do Montrealu, użyła klucza, który dał mi Bennett, i dowiedziała się jak najwięcej.

## 4

Wychodzę dziś po południu – oznajmiłam Cilli następnego ranka. Siedziałyśmy w jej gabinecie i piłyśmy herbatę. Widywałam się z nią codziennie; obiecała, że później też mogę do niej przychodzić. Skubałam nitki moich modnie podartych dżinsów.

– Chyba powinna pani zostać jeszcze parę dni. Przynajmniej do czasu zapewnienia sobie odpowiedniego wsparcia.

Miałam poczucie, że to ona jest moim wsparciem, ona i Steven.

– Steven wynajął specjalną firmę porządkową, która zajęła się moim mieszkaniem.

– Na pewno czuje się pani gotowa wrocić do tego domu, nawet wysprzątanego?

– Istnieją jeszcze inne środki czyszczące poza tymi, których wszyscy używamy? Nie potrafiłabym usunąć nawet krwi z nosa z chusteczki – powiedziałam. – Nie wracam do domu. Jadę do Montrealu, do mieszkania Bennetta, żeby znaleźć domowy numer i adres jego rodziców. Nie wrocę do domu, zanim nie stawię im czoła.

– Uważa pani, że to do niej, a nie do władz, należy przekazanie im tej wiadomości?

– Nikt inny nie potrafił ich znaleźć, nawet detektyw Stevena.

– A pani sądzi, że ich znajdzie?

– Był niesamowicie zorganizowany. Wieształ swoje koszule i krawaty według koloru. Jestem pewna, że znajdę adres gdzieś w jego biurku. Tak uporządkowanego biurka w życiu nie widziałam.

– Zatem była pani w jego mieszkaniu?

– Nie, pokazał mi na Skypie.

Mieliśmy zwyczaj jadać obiady na Skypie.

Decydowaliśmy się na chińszczyznę, wybieraliśmy te same dania i jedliśmy tak, jakbyśmy siedzieli naprzeciw siebie. Stoł Bennetta był przykryty obrusem, ja używałam tylko maty pod talerz.

– Jest pani przygotowana na to, co może znaleźć? – spytała Cilla.

Rutynowe pytanie w każdej terapii – sama nieraz je zadawałam podczas wywiadów z osadzonymi w Rikers. Wszyscy zawsze odpowiadali twierdząco.

Przedtem jednak musiałam zobaczyć moje psy.

Pojechałam ekspresową linią metra do wschodniego

Harlemu. Przyszło mi do głowy, że tego dnia odbywa się parada z okazji Dnia Portoryko, widziałam mnóstwo portorykańskich flag na trąbiących samochodach, a na ulicach panował duży ruch, ale zaraz sobie uświadomiłam, że przecież mamy wrzesień,



a parada jest w czerwcu. Zapach schroniska – smrod odchodow i strachu – uderzył mnie w nozdrza już przecznicę od celu.

Drzwi wejściowe zalepione były ulotkami zachęcającymi do sterylizacji zwierząt domowych. Tuż za nimi, w pomieszczeniu wypełnionym płaczącymi dziećmi, nastolatkami o twarzach

wypranych z emocji i znękanymi dorosłymi, urzędowały za ladą trzy recepcjonistki, z ktorych żadna na oko nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Dwie rozmawiały przez telefon, trzecia sama musiała sobie radzić z rozemocjonowanym tłumem; niektorzy szukali zaginionego psa, inni przyjechali swojego oddać. W tej sytuacji mogły upłynąć całe godziny, zanim ktoś by się do mnie odezwał.

Przytapałam spojrzenie krępego pracownika obsługującego kojce, nazwanego przez jedną z kobiet imieniem Enrique.

Zapytałam go cicho, czy wie, gdzie są przetrzymywane psy, ktore przed dziesięcioma dniami przywiozły służby weterynaryjne.

Poinformował mnie, że tygodniowo przyjmują ponad setkę psow.

– Ma pani numery ich kojcow?

Nie miałam pojęcia o numerach kojcow.

– Te, ktore mają w papierach, że został zabity człowiek – wyjaśniłam.

– Pit z czerwonym nosem i duży biały?

– Tak, wielki pirenejczyk.

– Są na oddziale czwartym, ale trzymają je z nakazu ministerstwa zdrowia. – Widząc moją minę, dodał: – Z powodu pogryzienia człowieka. Chociaż widziałem w papierach, że zrobili coś znacznie gorszego.

– To moje psy.

– Nie mogę pozwolić pani ich wyprowadzić ani wpuścić pani do kojca. Mają w karcie stemple z ostrzeżeniem.

– Chciałabym je zobaczyć. Proszę mnie tam zaprowadzić.

Tylko na nie zerknę.

Widziałam, jak Enrique zerka na recepcjonistki, a potem gestem pokazuje mi drogę. Minęliśmy znak zakazujący wstępu osobom postronnym i znaleźliśmy się w rozbrzmiewającym

wyciem azylu, trochę podobnym do Bellevue. Starałam się nie patrzeć na oszalałe ze strachu i zdenerwowania psy, obracające się w kołko w ciasnych klatkach, przewrocone miski, odchody zarówno na ziemi, jak i na ścianach. Dlaczego nie było tam ludzi, ktorzy by zadbali o potrzeby tych zwierząt?

Cloud lubiła spać w moim łóżku.

Wciśnięta w narożnik klatki, z opuszczoną głową, kuliła uszy z przerażenia. Kiedy się zbliżyłam, podniosła wzrok i zaskomlała.

Zawołałam ją po imieniu i wyciągnęłam rękę.

Enrique mnie powstrzymał.

– Nie może pani dotykać psa.

Opadłam na kolana i szepnęłam do Cloud.

– Skarbie, tak mi przykro, że tu trafiłaś.

Czy patrzyłam na morderczynię? Nigdy nie uwierzę, że ten pies zabił Bennetta; pozostawały jedynie Chester i George.

– Gdzie jest George, pitbul?

– W sąsiednim kojcu. Z brzegu.

Uświadomiłam sobie, że dobiegające moich uszu

popiskiwanie wydaje George, który rozpoznał mój głos i mój zapach. Żałowałam, że w ogóle spotkałam tego psa. Żałowałam, że nie potrafię go nienawidzić. Gdyby nie on i zastrzelony Chester, Bennett nadal by żył. Może George siedział w celi śmierci z jakiegoś powodu, kiedy zabrałam go na przechowanie do swojego domu. Z powodu innego niż przepełnione schronisko. Ale był

naprawdę delikatny i łagodny. Jedyne znany mi pies, który brał jedzenie z ręki, nie używając przy tym zębów, tylko warg.

Łzy płynęły mi po twarzy. George był psem beta, przy

Chesterze – alfie. Jakie to miało znaczenie przy szukaniu odpowiedzi na pytanie, czy mogłabym mu wybaczyć? Nie

chciałam oka za oko. Mogło się to wydawać dziwne w zaistniałych okolicznościach, ale nie pragnęłam cierpienia George'a. A matka, której syn zabija swojego ojca, jej męża? Oczekuje się od niej, żeby znienawidziła syna? To ten sam chłopiec, którego kochała jeszcze przed godziną. Czyż nie wybierze przebaczenia? I jak to w ogóle jest możliwe?

– Mam robotę – odezwał się Enrique. – Przyślę tu jedną z wolontariuszek. Proszę mi obiecać, że nie będzie pani dotykać psów.

Podziękowałam mu, kiedy zamykał drzwi, a potem usiadłam

między klatkami na brudnej podłodze, w miejscu, z którego mogłam widzieć je oba, a one mogły widzieć mnie, ale nie siebie nawzajem. Starłam się nazwać to, co czuję. Uważałam, że jestem odpowiedzialna za los Cloud. Nie trafiłaby do tej klatki, gdyby nie moj – tu doszła we mnie do głosu terapeutka – patologiczny altruizm, kiedy akt bezinteresowności sprawia niezamierzoną krzywdę innym.

– Odważna z ciebie dziewczyna, że tu przyszałaś. –

Wolontariuszka, która właśnie się pojawiła, była zaskakująco czysta i schludna, jak na pracownicę takiego miejsca. Miała na sobie T-shirt z nazwą schroniska. Może dopiero zaczęła swoją zmianę? – Enrique mnie tu przysłał. Jestem Billie. –

Przykucnęła i wyciągnęła rękę w stronę klatki George'a, czekała, aż pies wstanie i zbierze się na odwagę, żeby podejść bliżej, a potem wsunęła palce do środka i pozwoliła mu je polizać.

– Nie boisz się? Wiesz, co moje psy zrobiły?

– Widziałam twoje zdjęcie w internecie. – Znała całą historię, a mimo to dotykała George’a. Przywarł bokiem do metalowych prętów, żeby mogła pogłaskać cały bok. Usłyszałam westchnienie, pomruk psiego zadowolenia. – Jest słodki – orzekła Billie, skrobiąc go paznokciami po żebrach.

Nie wierzyłam własnym oczom.

– Przykro mi z powodu twojej straty. – Cofnęła palce, a gdy George obrocił się w ciasnej klatce, żeby mogła powtórzyć pieszczotę z drugiej strony, domyśliła się, o co mu chodzi, i zaczęła drapać nadstawiony bok. – Był przystojny? Twój narzeczony.

Znowu mnie zaskoczyła. Kto pyta osobę w żałobie o takie

rzeczy? Mimo to ją polubiłam. Była pierwszą osobą, poza Cillą, która rozmawiała ze mną jak z kobietą, która miała to wszystko przetrwać. Nie ośmieliłabym się twierdzić, że posiadam wiarę dostępną innym, a mimo to udawałam, że tak jest. Nauczyłam się od Kathy, że przetrwanie jest możliwe. Musiałam tylko zachowywać się tak, jakbym już wychodziła na prostą.

Wracając do dziwnego pytania Billie – odpowiedziałam w

myślach przecząco. Nie, Bennett raczej nie był przystojny, zauważyłam to od razu i w tym samym momencie uznałam za

nieistotne. Pociągało mnie w nim coś innego – jego pewność siebie, jakiś wewnętrzny potencjał.

– Twoje psy są silniejsze, niż ci się wydaje. Lepiej wyjdźmy, zanim ktoś cię tu nakryje. Powinnaś mieć zgodę sądu na widzenie.

Twoje psy są dowodem w sprawie.

Pożegnałam się z Cloud, ale do George’a się nie odezwałam, mimo iż wciąż stał przyciśnięty bokiem do prętów.

Razem z Billie opuściłam izolatkę.

– Są bezpieczne? – spytałam.

– Na razie. Nic im nie grozi, dopoki stanowią dowód.

Nie zadałam pytania: „A potem?”. Obie wiedziałyśmy, co je czeka.

– Zaopiekuję się nimi. Proszę. – Podała mi swoją wizytówkę, tylko imię, nazwisko i numer telefonu. – Jestem tu trzy razy w tygodniu. Zadzwoń, powiem ci, co u nich słychać.

Podziękowałam i spytałam, jak to się stało, że została wolontariuszką w schronisku.

– Miałam tu kiedyś własnego psa, owczarka z domieszką chow-chowa. Pogryzł dziecko sąsiadów. Ja bym też pogryzła tę smarkulę, gdyby mnie drażniła tak, jak drażniła Cubby’ego.

– Co się stało z Cubbym?

– Przestał być dowodem w sprawie.

– A mimo to nadal tu pracujesz?

– Bo jestem tu potrzebna.

## 5

Steven czekał przed schroniskiem. Zaproponował, że mnie odwiezie na lotnisko. Uważał, że wizyta u psow świadczy o moim szaleństwie.

– Jak możesz na nie patrzeć, wiedząc, co zrobiły?

Probowałam wykorzystać analogię do matki syna, który popełnił morderstwo, ale Steven mi przerwał.

– To są psy, nie dzieci.

Mnie ta analogia przekonywała.

– Znałeś Cloud od szczeniaka.

– Mowię o tym drugim.

Nie planowałam noclegu w Montrealu. Zamierzałam znaleźć informacje umożliwiające kontakt z rodzicami Bennetta i wyjechać.

Steven kazał mi obiecać, że po powrocie stawię się w jego mieszkaniu.

– Pojechałem wczoraj do ciebie i sprawdziłem, jak wysprzątało. Mieszkanie wygląda nieskazitelnie, ale nie ma na czym spać. Zabrali łożko.

– Co jeszcze zabrali?

– Prawdę mówiąc, pustawo tam teraz. Ale zrobili to, co musieli. Na pewno chcesz tam wrócić?

Brat troszczył się o mnie zawsze. Przez całe życie.

Rozładowywał wściekłość ojca, gdy kierowała się przeciwko mnie. Nasz ojciec nie był agresywny z natury, zdarzało mu się to, kiedy okres manii dobiegał końca i popadał w depresję. W swoich najczarniejszych nastrojach nieraz zamachnął się nożem na matkę.

Mnie postrzegał jako jej mniejszą wersję, równie nieposłuszną. W

któryś letni wieczór, gdy miałam dziesięć lat, a Steven

osiemnaście, ojciec wszedł do kuchni i zobaczył pustą misę na owoce.

– Kto zjadł moje brzoskwinie?! – wrzasnął. Słysząc go było w przerobionej na część mieszkalną piwnicy, gdzie oglądaliśmy ze Stevenem telewizję. – Pozwoliłaś im zjeść moje brzoskwinie?

I odpowiedź matki.

– Były dla wszystkich.

Steven ruszył na górę po schodach, ja za nim.

– Ja zjadłem te pieprzone brzoskwinie – oznajmił, choć tak naprawdę to ja je zjadłam.

Oberwał za mnie. Dwa miesiące później ojciec wyrzucił go z domu i Steven pojechał autostopem do Nowego Jorku. Najął się do ekipy budowlanej w Hoboken i

podjął studia wieczorowe z prawa karnego w Wyższej Szkole Prawa Karnego imienia Johna Jaya.

Zanim zjawiłam się w Nowym Jorku, Steven wyjechał do Afganistanu, by pracować jako prawnik dla Departamentu Stanu. Podróżował do odległych wiosek i zachęcał przywódców miejscowych społeczności, by zgodnie z jednym z głównych założeń islamu wspierali potrzebujących i tworzyli system publicznej obrony. Uważał swoją działalność za niezwykle ważną, ale warunki życia go wykańczały. On i jego współpracownicy mieszkali w bunkrze przerobionym na hotel, który został wysadzony w powietrze przez talibów kilka miesięcy po wyjeździe Stevena. Po powrocie do Nowego Jorku pracował w organizacji pozarządowej AVAAZ, której nazwa oznaczała „głos” w kilku europejskich, środkowowschodnich i azjatyckich językach.

Angażował się w firmowane przez nią misje humanitarne i programy, poczynawszy od zwalczania handlu ludźmi po obronę praw zwierząt. Wylądowałam w Dorval tuż przed godziną szczytu, złapałam taksówkę i podałam kierowcy adres Bennetta w Quartier Latin, przy ulicy Saint-Urbain, montrealским odpowiedniku Bedford Avenue, epicentrum hipsterskiego świata, oddalonego o niecały kilometr od mojego mieszkania. Domy w Quartier Latin przypominały szeregowki w Williamsburgu, ale Francuzi pomalowali je na blady odcień niebieskiego i ozdobili balkonami o kutyach balustradach, jakie widuje się w Nowym Orleanie; w Williamsburgu ozdoby domów stanowiły kapliczki z Matką Boską i wyjątkowo kiczowate dekoracje symbolizujące powiązania z Włochami.

Ruszyliśmy jedną z ulic handlowych. Mimo jesiennego chłodu ludzie przesiadywali w kawiarnianych ogródkach. Jeszcze kilka przecznic i kierowca zwolnił, żeby odczytywać numery na domach. Czterdziestego drugiego nie było.

– Jest pani pewna, że dobrze zapisała adres?

– To jest ulica Saint-Urbain? Południowa czy północna część?

– To powinno być tutaj.

Zapłaciłam za kurs i wysiadłam. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zapisałam cyfr w odwrotnej kolejności; cofnęłam się dwie przecznice, ale pod dwudziestym czwartym znalazłam pralnię. Bennett opowiadał mi o małej restauracji pod swoim mieszkaniem, gdzie właściciel smażył mu najlepsze omlety na świecie, nazywała się Deux coś-tam. Przeszłam tam i z powrotem, ale nie dostrzegłam żadnej restauracji. Wstukałam namiary Bennetta w GPS w telefonie i czekałam na wskazówki, ale wyświetlacz pokazał, że nie ma takiego adresu.

– Och, bez jaj – powiedziałam na głos. Weszłam do sklepu i spytałam, czy w

pobliżu jest restauracja o nazwie Deux coś-tam.

– To jest Montreal. Tu wszystko jest Deux coś-tam –  
odpowiedziała ekspedientka.

Przeszłam jeszcze raz tę samą trasę, jakby numery miały się w magiczny sposób zmienić, a coraz silniejsze poczucie niepokoju ulotnić. Czy pisałam kiedyś do niego na ten adres? Nie, korzystaliśmy jedynie z mejli i Skype'a. Prokowałam sobie przypomnieć cokolwiek, co mówił na temat sąsiedztwa albo

znajomych, ale zapamiętałam tylko muzyków, których

reprezentował. Był agentem muzycznym działającym w Kanadzie indyjskich zespołów. Może któryś z nich koncertował akurat w mieście. Kupiłam w kiosku gazetę i torebkę czekoladowych pralinek. Znalazłam za rogiem kawiarnię z ogrodkiem i usiadłam na zewnątrz mimo chłodu. Odetchnęłam kilka razy głęboko i otworzyłam gazetę na stronie z programem wydarzeń artystycznych. Nie dostrzegłam ani jednego zespołu, którego nazwę bym rozpoznała.

Zauważyłam, że w kawiarni zrobiło się tłoczno i ludzie

zamawiają obiad. Moj samolot odlatywał dopiero o północy.

Rozbłyły uliczne lampy. Kelner znow do mnie podszedł, więc tym razem poprosiłam o frytki z serem i sosem oraz małą

dietetyczną colę.

– Może być dietetyczna Pepsi?

Przyniósł mi małą butelkę. Inaczej niż w Stanach, tu małe oznaczało naprawdę małe. Poczulałam się oszukana.

Nie wiedziałam, co robić. Przez ostatnie dwa lata uczyłam się na pamięć procedur i metodologii, badałam miejsca zbrodni, interpretowałam policyjne raporty, zgłębiałam sprawy osob zaginionych i portrety psychologiczne ofiar. Mimo to nie miałam pojęcia, jaki model zastosować w tym przypadku. Przyszła mi do głowy śmieszna myśl: mogłabym zgłosić zaginięcie nieżyjącego człowieka. Dlaczego Bennett podał mi fałszywy adres? Co przede mną ukrywał? Żonę? Rodzinę? Miał problemy z policją? To dlatego zawsze przyjeżdżał do mnie. Czyli pensjonaty ze

wścibskimi właścicielkami i mdląco słodkimi śniadaniem brały się z konieczności utrzymania tajemnicy, nie z romantyzmu. Co jeszcze było kłamstwem?

Po kim odbywałam żałobę?

## 6

Mieszkanie Stevena, gdzie koczowałam na rozkładanej sofie, znajdowało się w odległości pieszego spaceru od biura koronera Manhattanu przy Pierwszej Alei. Tam zwożono wszystkie ciała.

Przeżywałam pełnowymiarowy niepokój oczekiwania.

Poprzedniego wieczoru znowu dzwonili z biura koronera i wezwali mnie na przesłuchanie. Pocieszałam się, że nie będzie aż tak źle, jak sobie wyobrażam. Wracałam pamięcią do pierwszego razu, gdy zobaczyłam zwłoki na zajęciach z anatomii. Musiałam się zmusić do patrzenia, kiedy już przewyciężyłam strach, że zwymiotuję albo zemdleję. Tamtego dnia czysto naukowe zainteresowanie w końcu zwyciężyło i poczułam się całkiem normalnie. Teraz jednak nie chodziło o zwykłe ciało. Bennett – czy kimkolwiek był – nie nadawał się do identyfikacji. Chyba nie zażądają, bym oglądała jego zwłoki?

Spodziewałam się złości Stevena na wieść o moim odkryciu w Montrealu i rzeczywiście był zły, ale głównie na siebie, za to, że nie zweryfikował swoich podejrzeń, kiedy Bennett wciąż znajdował wymowki, by uniknąć spotkania. Akurat bym go posłuchała...

Nie zachodziłam do mojego mieszkania od czasu opuszczenia Bellevue, więc miałam ograniczony wybór, co na siebie włożyć: wczorajsze dżinsy, botki do kostek i prążkowany golf, w którym byłam w Montrealu.

Steven poszedł na spotkanie w konsulacie Afganistanu:

AVAAZ walczył o przyznanie azylu afgańskim tłumaczom. Prosił, żebym zaczekała do popołudnia, by mógł mi towarzyszyć, ale zapewniłam go, że dam sobie radę sama. Wtedy przypomniał, że nie chodzi o egzamin na prawo jazdy. Uparłam się przy swoim; musiałam się dowiedzieć, jaką formę przyjmie moje zmieniające się postrzeżenie Bennetta, kiedy zobaczę jego zmasakrowane ciało. Przecież już wiedziałam, że to ciało należało do kogoś innego, niż sądziłam.

Przed monolitycznym szarym budynkiem stała przyczepa z urządzeniami grzewczymi. Spodziewałabym się raczej przyczepy chłodni. Przez płaski drewniany pomost zakrywający kable elektryczne weszłam do holu.

Przedstawiłam się kobiecie za ladą recepcji i wyjaśniłam, że mam spotkanie na czwartym piętrze. Kazała mi usiąść i

zadzwo niła, by potwierdzić moją wizytę. Zauważyłam dziwny zestaw czasopism na stolikach – „Sports Illustrated”, „Parents”,

„Garden & Gun” oraz pokrętnie egzystencjalne „Self”. Po kilku minutach z windy wysiadł młody człowiek w laboratoryjnym



fartuchu i spytał, czy nazywam się Morgan Prager. Zaprosił mnie do innej poczekalni, w której śmierdziało formaliną i nie było żadnej prasy.

– Muszę oglądać ciało? – spytałam, wiedząc, że nie będę w stanie się na to zdobyć.

– Zwykle przeprowadzamy identyfikację z użyciem zdjęć,

ale nie zamierzam o to prosić. Mam tylko kilka pytań. Rozumiem, że była pani zaręczona ze zmarłym. Czy narzeczony miał jakieś tatuaże, znaki szczególne, blizny czy deformacje?

– Domyślam się, że nie chodzi o bliznę na łuku brwiowym.

– Przykro mi, ale muszę zadać te pytania.

– Nie, to ja przepraszam, po prostu nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Bennett nie miał tatuaży. Ale nie wiem, czy naprawdę miał na imię Bennett. Miał?

– Jego odciski palców nie figurują w bazie danych.

– Co się stanie z ciałem, jeśli nikt go nie zidentyfikuje?

– Będzie tu przetrzymywane przez sześć miesięcy, a następnie pochowane na cmentarzu miejskim na Hart Island.

Nie mogłam zidentyfikować ciała, ale czy mogłam żądać, by mi je wydano? I czy tego chciałam?

Detektyw powiedział, że przy zwłokach nie znaleziono żadnych dokumentów, w moim mieszkaniu także ich nie było.

– A co z jego komórką? – spytałam. – Zawsze miał ją przy sobie.

– Mieliśmy nadzieję, że pani wie, gdzie się podziała. I jego portfel.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś je zabrał?

– Chcę powiedzieć, że policja nie trafiła na ich ślad.

Czułam, że odnosi się do mnie krytycznie, bo nie wiedziałam, gdzie jest telefon Bennetta i jego portfel; był rozczarowany, że nie potrafię pomóc w śledztwie.

Ze zdumieniem poczułam, że łzy płyną mi po twarzy.

– Proszę posłuchać, nie wiem, kim on był. Wydawało mi się, że go znam, ale się myliłam. Kiedy pan się tego dowie, proszę mnie zawiadomić, dobrze?

Metrem linii L wrociłam do Williamsburga, do przystanku

Bedford, na basen w centrum rekreacyjnym Metropolitan,

wybudowanym w latach trzydziestych jako łaźnie publiczne. Nad całą długością basenu rozciągał się szklany dach; można było obserwować promienie słońca na kafkach, pływając w wodzie o temperaturze dwudziestu siedmiu stopni. Przymknąwszy oczy, udawałam, że pływam się w Morzu Karaibskim.

Pływanie było stałym punktem mojego programu zajęć –

pięć dni w tygodniu, czy lato, czy zima – oraz moją pasją.

Właściwie „pływanie” nie jest dobrym słowem. Ja biegałam w głębokiej wodzie.

Używałam AquaJoggera, prostego urządzenia zapinanego w pasie, które utrzymywało człowieka na powierzchni.

Niektórzy przebierali nogami w tempie zwykłego joggingu, ale ja biegałam najszybciej jak się dało. Woda mnie spowalniała, stawiała opór; doznanie przypominało pościg za pociągiem we śnie.

Szatnia z popsutymi wentylatorami, włosami w kratkach odpływowych, śmierdząca amoniakiem i lakierem do włosów, nie zapowiadała urody samego basenu – długiego na ponad

dwadzieścia metrów, z trzema szerokimi torami, rozjarzonego światłem.

Wybrałam tor przeznaczony do wolnego ruchu, na którym gromadzili się ćwiczący pływanie na boku, z deskami oraz plotkary, które gwarzyły, taplając się przy brzegu. Tor miał szerokość mniej więcej taką, jak wagon metra i wypełniało go podobnie różnorodne towarzystwo.

Zwykle wchodziłam do basenu po drabince, ale tego dnia wskoczyłam – potrzebowałam ciszy i naporu wody, tych paru sekund, podczas których nie liczy się to, co nad powierzchnią.

Wynurzyłam się, zaczerpnęłam tchu i zaczęłam biec w tempie, które mnie zaskoczyło. Minęłam niewidomą kobietę ćwiczącą podskoki na płytszym końcu, starsze panie w czepkach pod prysznic zamiast kąpielowych, w pełnym makijażu, otyłego chłopca, który kręcił się w miejscu. Gdybym była na suchym lądzie, gnałabym z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę.

Uciekałam od ciała mojego kochanka w chłodni, od swojej łatwowierności, od wstydu. Sądziłam, że im większą energię włożę w pokonywanie oporu wody, tym lepiej się poczuje, ale zmagalam się z siłą tak potężną, że w końcu mój organizm nie wiedział, czy to go odpręży, czy jedynie męczy.

Gdy wreszcie wyszłam na brzeg, znowu poczułam grawitację.

Bieganie w głębokiej wodzie służy astronautom do nauki poruszania się w stanie nieważkości.

Opuściłam centrum rekreacyjne tuż przed rozpoczęciem dwugodzinnego seansu pływania „tylko dla kobiet”; w tym czasie rzeczywiście wyłącznie kobiety, głównie chasydki, korzystały z basenu. Na oknach wychodzących do holu zaciągnięto zasłony; ratowniczką także była płci żeńskiej. W szatni dziesiątka kobiet w różnym wieku przebierała się w stroje kąpielowe, długie suknie wykonane z odpowiedniego do pływania materiału. Sama używałam kostiumu Speedo, ale nigdy nie wyczułam z ich strony dezaprobaty. Szczerze mówiąc, traktowały mnie jak powietrze.

Poza Ethel, którą zaciekałam tak samo jak ona mnie. Mówiła, że wie dzie stateczne życie z rodziną swojego męża Satmara w

Williamsburgu, poza okresem letnim, kiedy z dumą sprawuje stanowisko ratowniczką na koszernym obozie dla dziewcząt w gorach Catskill. Powiedziała mi o

firmie Aqua Modesta, dystrybutorze oryginalnych koszernych strojów kąpielowych, z internetowym sklepem sprzedającym „skromne” kostiumy do pływania. W lecie sama nosiła ich najnowszy model o nazwie „capris”. Wyjaśniła mi, że chodzi o to, by łokcie i kolana pozostały zakryte. Wytarłam się pod prysznicem i dopiero wtedy przeszłam do zatłoczonej przebieralni. W tym momencie wyglądała tak, jakby w szafkach pozawieszano ludzkie skalpy. To były peruki tych kobiet!

– Musiałaś patrzeć na ciało? – spytał Steven.

– Na szczęście nie.

– Powiedzieli, kim był?

– Nie ma palców, więc nie ma też odcisków.

Nonszalancki sposób mówienia nie oddawał stanu mojego umysłu. Był raczej próbą stłumienia wzbierającej hysterii.

Odczekałam, aż Steven pojdzie spać i zalogowałam się do ogólnokrajowego systemu poszukiwania osób zaginionych i niezidentyfikowanych, powszechnie dostępnej bazy danych.

Wszyscy z mojego kursu autopsji psychologicznej musieli się rejestrować w tym systemie. Kliknęłam numer sprawy, otrzymany od pracownika biura koronera: ME 13-02544.

Wiek minimalny: 20

Wiek maksymalny: 40

Rasa: biała

Grupa etniczna:

Płeć: męczyzna

Waga: 67 kg

Wzrost: 173 cm, zmierzony

Wykaz części ciała (sprawdzić wszystkie punkty, które mają zastosowanie):

Wszystkie części ciała – znaleziono

Głowa lub część głowy – nie znaleziono

Tors – nie znaleziono

Jedna lub więcej kończyn – nie znaleziono

Jedna lub obie ręce – nie znaleziono

Uwagi o znalezionych częściach ciała:

Ślady psich zębów widoczne na wszystkich kończynach i częściach kończyn, torsie i szyi

Stan ciała: twarz wyrwana

Potem weszłam do bazy osób zaginionych. Ktoś musiał zawiadomić policję, kiedy Bennett, lub kimkolwiek był, nie wrócił do domu – żona albo prawdziwa matka, nie żadna Marie Vaux-Trudeau.

Przeszłam na stronę zaawansowanego wyszukiwania i wprowadziłam opis Bennetta, datę, kiedy ostatnio był widziany i przybliżony wiek. Trzy przypadki osob zaginionych w obszarze metropolitalnym Nowego Jorku pasowały do opisu i daty zaginięcia.

Zawahałam się; chciałam zobaczyć rezultaty i jednocześnie czułam lęk. Żadna postać z fotografii nawet z grubsza nie przypominała Bennetta.

Weszłam na stronę, którą mi pokazywał, żeby sprawdzić listę reprezentowanych przez niego indyjskich zespołów. Twierdził, że reprezentował. Zespoły istniały naprawdę, ale żaden nie miał

menedżera o nazwisku Bennett Vaux-Trudeau. Sporządziłam krotką listę łatwych do zweryfikowania „faktów”. Okazało się, że nie studiował na Uniwersytecie McGill, nie zdobył stypendium Berklee College of Music, nie grał na basie z Radiohead.

Czy istniało coś, o czym Bennett powiedział mi prawdę?

Zostałam u Stevena prawie tydzień, zanim go poprosiłam, aby poszedł ze mną zabrać trochę ubrań i książek z mojego mieszkania. Zdjęto już policyjną żółtą taśmę, ale i tak kilku moich sąsiadów wyjrzało na korytarz, gdy obrociałam klucz w zamku.

Pani Szymanski złożyła mi kondolencje, które brzmiały całkiem szczerze. Grace del Forno zatrzasnęła drzwi, kiedy na nią spojrzałam.

Czekałam w salonie, a Steven z listą, którą mu przygotowałam, wszedł do pozbawionej łożka sypialni po kilka potrzebnych mi rzeczy. Jak na filmie, patrzyłam na zdjęcie zrobione w Maine, stojące na ławie: Bennett obejmował mnie ramieniem, a w tle rozpościerało się jezioro Androscoggin. Przez moment poczułam w głowie zamęt, sądziłam, że ekipa porządkująca miejsce zbrodni takie rzeczy również usuwa. Zamęt się wzmógł, gdy zobaczyłam uśmiech na twarzy Bennetta. On też był kłamstwem? Przyjrzałam mu się uważnie. Szukałam w nim jakiegoś chłodu, który byłby wskazówką, gdybym go wcześniej zauważyła, ale ku mojemu przerażeniu wydał mi się taki sam jak zawsze.

Steven stanął w progu z dwiema parami dżinsów w rękach i pytaniem na twarzy.

– Jedne i drugie – odpowiedziałam; czułam się jak tchorz, bo bałam się wejść do własnej sypialni. Po chwili wyniosł niewielką stertę moich książek. Poprosiłam, żeby nie zapomniał o moim laptopie. Nie chciałam nadal korzystać z jego komputera. Nie chciałam, by Steven odkrył, co planowałam sprawdzić: stronę ostrzegającą przed oszustami uczuciowymi, którą poleciła mi Cilla. Z drugiej strony, jego również mogła zainteresować, jako że niedawno został niemile zaskoczony przez nową dziewczynę.

Cilla, z którą zaczęłam się spotykać na terapii w jej gabinecie na Upper West Side, podała mi nazwy stron, na których mogłam znaleźć inne kobiety oszukane w podobny sposób; Cilla twierdziła, że to pomogło wielu jej pacjentkom.

Wiedziałam o tych stronach. Korzystałam z nich podczas moich badań, gdy szukałam kobiet odpowiadających definicji patologicznej altruistki. Kobiety umieszczały tam wyznania:

„Kocha, oświadcza się, dostaje pieniądze, znika”. „Dlaczego czuję się winna?”. „Chce mnie złamać?”. „Pozostaje mi nadzieja, że karma istnieje”. Nigdy nie wierzyłam w amatorską psychologię ani w „dzielenie się” mądrościami. Uważałam się już za ekspertkę w tej dziedzinie i nie chciałam się zniżyć do tego poziomu. Ale byłam zdesperowana.

Weszłam do kuchni po wodę do podlania fikusa. Minęłam rattanowy kosz, w którym trzymałam zabawki moich psów. Uniosłam pokrywę i zobaczyłam, że jest pusty. Steven musiał wyrazić zgodę, żeby firma porządkowa je zabrała. Rozejrzałam się za psimi miskami. Szukałam też śladów krwi, przeoczonych przez sprzątaczy.

Wrociliśmy ze Stevenem do jego mieszkania, a ja oznajmiłam, że jestem bardzo zmęczona. Poczekaliśmy, aż Steven pojdzie spać i otworzyłam swój laptop.

Socjopaci stanowią cztery procent populacji, dwanaście milionów Amerykanów. Nie muszą być brutalnymi przestępcami; większość z nich to czarujący, inteligentni ludzie, potrafiący udawać troskę, a nawet miłość. Brakuje im jednak sumienia, są niezdolni do empatii, nie mają też poczucia winy ani wstydu. I są mistrzami manipulacji. Dziewięć procent socjopatów w dzieciństwie i wieku dorostania torturuje albo zabija zwierzęta.

Każdy, kto studiuje wiktymologię, zna podawane przez podręcznik diagnostyczno-statystyczny, wydanie piąte, kryteria pozwalające zidentyfikować antyspołeczne zaburzenie

osobowości, czyli socjopatę.

Socjopaci bezustannie kłamią.

Socjopaci nie przepraszają.

Socjopaci uważają, że zasady ich nie obowiązują.

Socjopaci wierzą, że to, co powiedzą, staje się prawdą.

Jedynymi ludźmi, którzy tolerują socjopatów przez dłuższy czas są ci, których socjopata zdołał zmanipulować.

Socjopaci nie traktują dobrze zwierząt domowych.

Socjopaci prawie zawsze wdają się w romanse.

Weszłam na Lovefraud.com. Przeczytałam o kobiecie, której narzeczony miał wytatuowane na torsie imię innej kobiety.

Powiedział jej, że to imię jego młodszej siostry, która zmarła przy narodzinach. Okazało się imieniem jego żony.

Około czwartej nad ranem oczy zamykały mi się już ze zmęczenia, ale nagle się ożywiłam.

Wątek: Związana z socjopata  
Wprowadzony przez osobę czytającą Lovefraud

## 5 czerwca 2013

20 wejść

*Poznałam go na portalu randkowym dla samotnych Żydów.*

*Jego pierwszy list był czarujący. Zamiast pisać o sobie, zadawał pytania o mnie. Jakiej książki nie zabrałabyś ze sobą na bezludną wyspę? Przy jakiej piosence płaczesz, ale wstydzisz się do tego przyznać? Lubisz zwierzęta bardziej niż ludzi? Peter L. był*

*agentem literackim; pokazał mi swoją stronę, słyszałam też o kilku pisarzach, których reprezentował.*

*Mieszkałam wtedy w Bostonie, a on na Manhattanie.*

*Przyjeżdżał do mnie w odwiedziny, ale nigdy nie zapraszał do siebie. Nigdy mnie nie przedstawił swoim znajomym i nigdy nie chciał poznać moich. Twierdził, że mamy tak niewiele czasu dla siebie, że pragnie się skupić wyłącznie na mnie.*

*Rozdzieleni prowadziliśmy intymne rozmowy na Skypie. Z początku mnie to krępowało, ale sprawił, że poczułam się swobodnie. Jego zainteresowanie moją pracą też wydawało się szczere. Zajmuję się analizowaniem raportów bostońskiej policji.*

*Ktoregoś wieczoru zobaczyłam, że jeden z pisarzy Petera ma wystąpienie w księgarni Harvardu w Cambridge. Kupiłam książkę i gdy prosiłam o autograf, napomknęłam, że znam jego agenta.*

*„Skąd pani zna Harriet?”, spytał, sięgając po pióro. „Nie”, sprostowałam. „Petera”, Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.*

*„Kto to jest Peter?”. Kiedy jeszcze tego samego wieczoru przez telefon powiedziałam o zdarzeniu Peterowi, oburzył się:*

*„Szpiegowałaś mnie?”. Szpiegowałam? Mimo to nadal się z nim widywałam, choć czułam, że wyczuł moją nieufność. Spotykaliśmy się w weekendy, tak jak wcześniej, ale teraz zamiast do mnie jeździliśmy do romantycznych pensjonatów w Maine.*

*Wkrótce poprosił mnie o rękę. Sprzedałam swoje mieszkanie, rzuciłam pracę i zjawiłam się na umówionym miejscu Penn Station. Po chwili dostałam esemesa, w którym przeproszał, że musi pracować do późna. i kazał mi poczekać w jego mieszkaniu.*

*Miałam tam wejść przy użyciu klucza, który kiedyś mi dał...*

*Taki adres oczywiście nie istniał.*

Nakręcenie Stevena sprawiło mi jakąś gorzką przyjemność.

Jego narastająca wściekłość dodawała mi skrzydeł.

– Gdyby nie to, że facet nie żyje, sam bym go zabił –

oznajmił. Stęskniłam się za tego rodzaju lojalnością. Steven zawsze stał po mojej stronie, czy chodziło o klasyczne

rozkwaszenie nosa chłopakowi, który rozpuszczał o mnie plotki w szkole, czy cierpliwe uczenie mnie prowadzenia auta ze zwykłą skrzynią biegów, po tym, jak ojciec mnie olał.

Steven zmieszał dwa martini i powoli opróżniał kieliszek, podczas gdy ja swój wychyliłam do dna jednym haustem. Mieszkał

na dwudziestym osmym piętrze wąskiego wieżowca przy

Czterdziestej Osmej. Z sofy w salonie widać było światła gmachu ONZ.

– Nie pozwolę, żeby Cloud zapłaciła za moje błędy –

powiedziałam z mocą, nadstawiając kieliszek po dolewkę. –

Możesz ją bronić na przesłuchaniu? To już niedługo.

– Chciałbym, ale to nie moja działka. Myślę, że

skuteczniejszy będzie moj kolega ze studiów, Laurence McKenzie.

Był redaktorem „Przeglądu prawniczego”, a po zrobieniu dyplomu odrzucił wszystkie oferty, które reszta z nas przyjęłaby z pocałowaniem ręki. Poświęcił się obronie praw zwierząt.

Spotykamy się na drinka kilka razy w roku. Widuję jego nazwisko wśród sponsorów AVAAZ. Zadzwoń do niego w twoim imieniu?

– Stać mnie na jego usługi?

– Dla mojej siostry zrobi to pro bono.

Kancelaria McKenziego znajdowała się w coraz modniejszej

dzielnicy Bushwick, nieopodal stacji metra przy Montrose Avenue, między warsztatem samochodowym i nowym sklepem z drogimi, choć niewartymi swej ceny serami. W recepcji zasiadała młoda kobieta ostrzyżona na jeża, z odciskiem zwierzęcej łapy wielkości srebrnego dolara wytatuowanym z boku szyi. Nie kazała mi czekać, tylko od razu zaprowadziła do gabinetu McKenziego.

Mężczyzna za biurkiem na pierwszy rzut oka dobiegał

czterdziestki. Rozmawiał przez telefon. Wskazał mi krzesło i podniósł w górę palec, co miało oznaczać, że zaraz skończy rozmowę. Miałam okazję spojrzeć na korkową tablicę pełną poprzipinanych pineskami zdjęć psów; wyglądało to trochę jak u położnika chwalonego się fotkami dzieci, którym pomógł przyjść na świat. Na fotografii oprawionej w ramkę McKenzie dotykał

trąbę słonia, na innej otaczały go szympansy. Była tam też zabawna rysunkowa



historyjka Shanahana: na pierwszym obrazku tonący chłopiec woła do stojącego na brzegu psa collie „Lassie, wezwij pomoc!”, a na drugim Lassie leży na kozetce u psychiatry.

Ubranie McKenziego nie zdradzało, że jest prawnikiem. Był ubrany w dżinsy i T-shirt z nadrukiem zachęcającym do adopcji psa oraz konturem głowy pitbula. Miał miłą, serdeczną twarz.

Długość jego szpakowatych włosów z pewnością nie przyciągała uwagi podczas wystąpienia w sądzie. Usłyszałam szelest pod biurkiem, a zaraz potem wynurzył się stamtąd – i leniwie przeciągnął – wielki chart.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił gospodarz po odłożeniu słuchawki, było zapoznanie mnie z suką. Delikatna pręgowana Faye nosiła zwykłą luźną obrozę i naszyjnik ze sztucznych pereł.

Zamiast polizać moją rękę, zaszczekała cicho zębami, jakby zmarzła. McKenzie wyjaśnił, że to zachowanie typowe dla chartów.

Następnie spytał, czy przyniosłam zdjęcie Cloud.

Zaczęłam przeglądać albumy w telefonie. Na wszystkich aktualnych zdjęciach Cloud były również Chester i George, a ja poczułam ukłucie wyrzutów sumienia. Zatrzymałam się przy

jednym, na którym Chester i George leżeli obok siebie na moim łóżku, a Cloud rozłożyła się na grzbiecie w poprzek poduszek.

Uniosłam telefon i pokazałam je prawnikowi.

– Ktorego z nich zastrzeliła policja?

Wskazałam Chestera.

– A dwa pozostałe są przetrzymywane przez służby weterynaryjne?

– Nie wolno mi ich nawet dotknąć.

– Steven opowiedział mi o wszystkim.

Zaczęłam płakać.

– Wspomniał, że nie stać mnie na adwokata?

McKenzie wstał, żeby podać mi kubek wody z dystrybutora.

– Nie robię tego dla pieniędzy. Rozejrzyj się. – Szerokim gestem wskazał fotografie na ścianie. – Ci klienci mi nie zapłacili, a uzyskałem korzystne dla nich werdykty.

– O co oskarżano tego słonia?

– Jasmine zaatakowała swojego tresera w cyrku. Zdołałem udowodnić, że się broniła, bo używał paralizatora.

– Ale nie zabiła tresera.

– Miał szczęście.

McKenzie powiedział mi, czego potrzebuje na początek:

karty weterynaryjnej Cloud oraz opinii o jej charakterze, wystawionej przez American Temperament Test Society.

– Jestem dobry w tym, co robię – zapewnił, żeby – jak sądziłam – zbyć moje pytanie o szanse na uratowanie Cloud.

Wkrotce miałam się przekonać, że zbyt skromnie ocenił swoje możliwości.

– Steven szczerze cię podziwia. – Znow załamam się łzami, za co przeprosiłam.

Faye podniosła się i podeszła, żeby mnie pocieszyć.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił ją i zwrócił się do mnie: – Ona też jest dobra w tym, co robi.

Zapadał zmierzch, kiedy otworzyłam nowe drzwi mojego mieszkania (stare wyważyli policjanci). Po raz pierwszy zamierzałam spędzić noc u siebie.

Łazienka i sypialnia były jedynymi pomieszczeniami, do których nie weszłam tu podczas ostatniej wizyty ze Stevenem.

Polecił wymienić drzwi w łazience; minęło wiele czasu, zanim zrozumiałam powód. A kto powiesił nową zasłonę prysznicową, taką jak w hotelu, z białą marszczoną bawełną na przezroczystym plastiku? Kolekcja jednorazowych hotelowych szamponów została usunięta – wyrzucona? Papier toaletowy, marki której nigdy wcześniej nie kupowałam, miał na opakowaniu rysunek rozbawionego szczeniaka. Firma sprzątająca wymieniła wszystko, co leżało na widoku, ale nie opróżniła szafki z lekami. Na jednej z półek należących do Bennetta znalazłam jego golarkę. Wzięłam ją do ręki przez kawałek papieru toaletowego i zaniósłam do kuchni, z zamiarem umieszczenia w zamykanej foliowej torebce w celu zbadania DNA. Dopiero po chwili uprzytomniłam sobie, że to bez sensu: ciało Bennetta znajdowało się w kostnicy. Wyrzuciłam golarkę do śmieci.

Z sypialni zniknęła większość sprzętów. Dywany również.

Na typowej metalowej ramie leżał nowy materac. Pod niewłaściwą ścianą. Sypiałam po prawej stronie łóżka, nigdy od ściany.

Powiedziałam Bennettowi o epizodzie z serialu *Strefa mroku*, który oglądałam jako podatne na wpływy dziecko – małą dziewczynkę, śpiącą przy ścianie, pochłonął czwarty wymiar i ściana się za nią zamknęła. Z początku Bennett uważał moj zwyczaj za czarujący, ale podczas ostatniego pobytu w Maine oznajmił: „Jeśli mnie kochasz, będziesz spać przy ścianie”. Nie rozumiałam, dlaczego miałoby to mocniej świadczyć o mojej miłości niż ustna deklaracja. Pomyślałam wówczas, że zapaliło się typowe czerwone światełko ostrzegające przed zachowaniami kontrolującymi, stanowiącymi patologię. Przesunęłam się pod ścianę, ale nie zasnęłam. Następnego ranka kochał się ze mną z pasją, która uwiodła mnie na nowo. Zawsze potrafił mnie uwieść, chociaż wiedziałam, że szczyci się swoim talentem, bez względu na sposób, w jaki go wykorzystywał.

Znalazłam czystą pościel i posłałam łóżko. Przez telefon

zamówiłam chińskie jedzenie z restauracji na rogu i przy kuchennym stole przejrzałam pocztę i rachunki. Nie znalazłam niczego, co nie mogłoby poczekać.

Otworzyłam laptop i włączyłam CNN. Możliwe, że byłam jedyną trzydziestolatką w Williamsburgu oglądającą wiadomości o tej porze. Po odebraniu chińszczyzny oglądałam dalej. Dopiero kiedy skończyłam jeść, zauważyłam, że zapomniałam dodać sosu sojowego. Zazwyczaj mieszałam go z musztardą i obficie polewałam jedzenie. Nic dziwnego, że nie czułam żadnego smaku.

Przegląd zawartości szafki, w której trzymałam alkohol, wykazał jedynie poł butelki tequili i trochę starego rumu. Ani grama szkockiej, na którą chyba miałam ochotę.

W sypialni brakowało lampki do czytania. Domyśliłam się, że ekipa porządkowa nie zdołała usunąć krwi z jedwabnego abazuru, który kupiłam na pchlim targu w Meeker. Położyłam się i zamknęłam oczy. Ten materac był twardszy, pościel miększa w dotyku; ale żaden fizyczny komfort nie potrafił przegnać wizji wypełniających ten pokój. Wspomnienie wywołało objawy szoku i żalu – zaczęłam dygotać i płakać. Dlaczego sądziłam, że będę mogła tak po prostu wejść do pomieszczenia skażonego śmiercią, a tym bardziej w nim spać? Gdybym mieszkała gdziekolwiek indziej, nie w Nowym Jorku, mogłabym się przeprowadzić, ale na tutejszym rynku nieruchomości taka możliwość nie wchodziła w rachubę. Nie musiałam jednak spać akurat w tym pokoju.

Kuchnia również nie była bezpieczna. Przypomniłam sobie poranki, kiedy Bennett strofował mnie za zostawianie okruchów na blatach, podczas gdy tak naprawę to on jadał w nocy kanapki po zażyciu ambienu i rano tego nie pamiętał, co stanowiło częsty efekt uboczny przyjmowania tego leku. Czasami nie pamiętał, że się ze mną kochał. Tak przynajmniej twierdził. Przysięgał wówczas, że tylko jednego nigdy nie mogłoby zapomnieć – jak bardzo mnie kocha. Tekst był łzawy, a mimo to dawałam się przekonać.

Zaniosłam kieliszek rumu do salonu. Nie pierwszy raz miałam przespać noc na kanapie. Zakładając, że w ogóle mogłabym zasnąć. Jak? Telewizor znajdował się w sypialni (przytwierdzony do ściany), a że potrzebowałam towarzystwa, pozostawały mi książki.

Nie miałam ochoty na klasykę, życie Winstona Churchilla również nie bardzo mnie interesowało. Nie zamierzałam ponownie czytać *Zbrodni i kary*. Nie chciałam czytać niczego, co już znałam.

Wodząc oczami po półkach, zatrzymałam wzrok na tytule, którego nie rozpoznałam: *Niebezpieczne związki*. Kiedyś widziałam film, ale nie pamiętałam, bym kupowała książkę. Okładka nosiła ślady zużycia, wiele stron miało zagięte rogi. Dostrzegłam komentarze na marginesach, ale nie umiałam powiedzieć, czy zostały sporządzone ręką

Bennetta. Uświadomiłam sobie, że nie znam jego pisma. Gust literacki miał wyrobiony. Czasami zostawiał u mnie powieści, które odkrywałam z radością, na przykład *Pięte dziecko* Doris Lessing. To, że podobają się nam te same książki, było dla mnie bardzo ważne.

Dostrzegłam podkreślenia: „Nieroztropne istoty, które w dzisiejszym kochanku nie umieją widzieć jutrzejszego wroga”.

Zerknąwszy na wcześniejszy tekst, zorientowałam się, że kobieta mówi o innej kobiecie.

W filmowej adaptacji powieści o zepsutym francuskim arystokracie z osiemnastego wieku dwoje dawnych kochanków zabawia się nawzajem opowieściami o seksualnych podbojach.

Markiza i Valmont czynią sztukę z niszczenia tych, których uwiedli, a którzy ich pokochali. Za nic mają uczucia odrzuconych, dla nich liczy się jedynie gra i wzajemna lojalność. Ich układ zostaje jednak skompromitowany, a markiza oskarża Valmonta, że zakochał się w jednym z obiektów pożądania, wówczas gra zamienia się w śmiertelny pojedynek.

Bennett sam dokonał podkreśleń, czy kupił używaną książkę?

Kolejny zaznaczony fragment: „Mężczyzna poi się szczęściem, które odczuwa, zaś kobieta szczęściem, które daje. (...) Szczęściem jednej strony jest zaspokajać swoje pragnienia. Drugiej przede wszystkim budzić je”.

Miałam nadzieję, że ktoś inny podkreślił te zdania, ponieważ budziły we mnie wściekłość. Całkowicie zburzyły moją obraz naszego związku.

Zabrałam książkę na kanapę. Och, ta pamięć ciała!

A potem przypomniałam sobie inne rzeczy. Bennett zawsze brał prysznic natychmiast po zbliżeniu.

Bennett kazał mi dojadać każdy zamowiony deser, aż w końcu przestałam zamawiać desery. Później dał mi drogą skorzaną spodnicę o rozmiar za małą. Komplement czy napomnienie?

Te wydarzenia nie następowały równocześnie. Między wspomnianymi zgrzytami upływało na tyle dużo czasu, bym tłumiła w sobie głos instynktu i rozstrzygała wątpliwości na korzyść Bennetta. Ten człowiek miał zwyczaj przystawać na ulicy i odwracać mnie tak, żebyśmy mogli zobaczyć nasze odbicie w szybie sklepowej witryny. „Spojrz na nich”, mówił wówczas.

Duma czy arogancja?

Cilla mogła sądzić, że nic nie zyskam, gdy dowiem się, kim naprawdę był Bennett, ale Cilla go nie kochała ani nie przeprowadzała ślepej próby z udziałem drapieżników i jednostek kontrolnych,

proby, która przede wszystkim zapoczątkowała moją znajomość z Bennettem.

Tamtego wieczoru czytałam przypadkowo wybrane

fragmenty *Niebezpiecznych związków*, szukając wskazówek, kim mógł być Bennett albo kim chciał być, jeśli to on dokonał

podkreśleń. Im więcej dowiadywałam się o markizie, tym większy niepokój budziły we mnie pewne elementy jej historii. Bennett opowiadał mi o swojej dawnej znajomej – używając określenia „znajoma”, narysował w powietrzu znak cudzysłowu – z czasów młodości. Gdy w pewnym kasynie w Montrealu świętował

sprzedaż dwóch obrazów, które „odziedziczył” – tym razem

cudzysłow pochodzi ode mnie – podeszła do niego piękna kobieta i powiedziała: „Musisz to zobaczyć”.

Pokazała mu siwowłosą kobietę, która wkładała żetony do

jednorękiego bandyty, oddzielonego sznurem od rzędu podobnych maszyn. Jej długie białe rękawiczki były brudne od dotykania monet. Piękna „znajoma” Bennetta zwróciła mu uwagę na stojącego w pobliżu starszego mężczyznę z megafonem, który wciąż od nowa prosił żonę, by odeszła od urządzenia. Kasyno wezwało go, kiedy jego żona zdążyła już przegrać trzydzieści tysięcy dolarów.

Bennett był przekonany, że piękna kobieta uważa tę historię za pouczającą, tymczasem ona szepnęła mu do ucha: „To gra.

Przyciągają uwagę. Dostali pokój za darmo”. Tu Bennett rzekomo zwrócił jej uwagę, iż nie otrzymają z powrotem trzydziestu tysięcy dolarów, na co piękna kobieta odpowiedziała, że staruszek jest milionerem. Prosi żonę, żeby wkładała te brudne rękawiczki i wzbudzała litość, dopóki go nie wezwą, aby ją ratował przed nią samą. „Mężczyzna poi się szczęściem, które odczuwa, zaś kobieta szczęściem, które daje”<sup>3</sup>.

Bennett spytał, skąd ona to wszystko wie, na co wyjaśniła, że widziała ich miesiąc wcześniej w innym kasynie. „Kasynom to nie przeszkadza, tak czy owak, zarabiają swoje”, dodała.

Bennett wyznał mi, że ta piękna kobieta nadawała kształt jego życiu przez następne trzy lata.

Wiele godzin później nadal nie spałam. Włożyłam szlafrok i po schodach wyszłam na dach. Moj budynek miał tylko pięć pięter, ale i tak był wyższy od sąsiednich domów z dachami krytymi papą, krzywymi kominami i talerzami anten. Stąd rozpościerał się wyraźny, choć miejscami zakłócony widok na Manhattan. Kiedy się tu wprowadziłam przed rokiem, mogłam oglądać Williamsburg Bridge, ale trwająca nieustannie zabudowa nabrzeża stopniowo zasłoniła ten widokowy korytarz. Zabrałam Bennetta na dach, żeby razem obserwować fajerwerki z okazji czwartego lipca, kiedy pierwszy raz spędzał u mnie weekend. Zawsze oglądałam fajerwerki ze Stevenem, ale tym razem skłamałam, że wyjeżdżam z miasta. Bennett oznajmił mi, że nie jest gotowy poznać mojego starszego brata, a poza tym nie chce dzielić się czasem, który spędza ze mną.

Co roku miasto organizowało pokaz nad inną rzeką.

Tegoroczne widowisko odbywało się nad Hudsonem. Bennett stwierdził, że to wygląda, jakby ci z New Jersey atakowali Nowy Jork. Kim on był?

Widmowe chmury przemykały szybko po niebie; ogarnął mnie lęk, że już nigdy nie będę się czuła normalnie. Bennett nucił wtedy piosenkę The Drifters *Up on the Roof*, kołysaliśmy się w powolnym tańcu. Powiedział, że jeden z jego zespołów nagra nową interpretację tego utworu. A ja mu uwierzyłam.

Usiadłam na kulawym leżaku, który ktoś zostawił przy murku okalającym dach. Tylko raz widziałam gwiazdy nad miastem – po tym, jak wyłączono światła podczas huraganu Sandy.

Tego wieczoru większość budynków biurowych w centrum była ciemna, w przeciwieństwie do nowego gmachu World Trade

Center. Jarzył się światłem, a księżyc w nowiu – symbol islamu – zajmował na niebie taką pozycję, że wyglądał, jakby dotykał wieży.

3 Choderlos de Laclos, *Niebezpieczne związki*.

Udało się. Przetrwałam pierwszą noc. Niewiele spałam, ale przeżyłam. W kuchennej szafce, którą otworzyłam, żeby wyjąć filtr do kawy, znajdowało się też musli Bennetta. Postanowiłam kupić kawę w drodze na zajęcia. Schudłam o jeden rozmiar, więc włożyłam obcisłe dżinsy i bawełniany golf. Makijaż ograniczyłam do jednego maźnięcia korektorem pod każdym okiem.

Wejście na Lovefraud.com po tym, co przeczytałam poprzedniego wieczoru, uwydatniło elokwencję markizy w porównaniu z kiczowatym wyznaniem wykiwanej Amerykanki. W odpowiedzi na znaleziony przed kilkoma dniami list napisałam: *Czytałam o Twoich strasznych przeżyciach z empatią i*

*mocnym poczuciem, że wiem, o czym piszesz. Ja także byłam związana z mężczyzną, który zadawał mi identyczne pytania, udawał, że jest agentem, nigdy mnie do siebie nie zaprosił, zawsze spotykał się ze mną w pensjonatach w Maine. Dał mi klucz do swojego mieszkania, ale podobnie jak w Twoim przypadku okazało się, że taki adres nie istnieje. Sama rozumiesz, dlaczego pilnie muszę z Tobą porozmawiać. Możesz się ze mną skontaktować na [yesorno@hotmail.com](mailto:yesorno@hotmail.com).*

To był bezpieczny adres mejlowy, który podawałam uczestnikom moich badań.

Powrot na uczelnię nie był łatwy. Planowałam wejść na wykład, kiedy profesor już zacznie mówić i wyjść parę minut przed końcem. Po dwóch latach studiów magisterskich została mi do zaliczenia Psychologia i prawo. Nazwa brzmiała, jakby chodziło o jakiś kurs wstępny, lecz w istocie zgłębialiśmy zagadnienia dotyczące powiązań zdrowia psychicznego z

kwestiami prawnymi. Przepadła mi już jedna czwarta wykładów.

Ostatniego wysłuchałam rano w dniu śmierci Bennetta. Obawiałam się zainteresowania kolegów z roku i tego, jak będą mnie postrzegać: wiktymolożka, która stała się ofiarą.

Populacja studentów Wyższej Szkoły Prawa Karnego imienia Johna Jaya obejmowała osoby o rozmaitych motywacjach do nauki, od dzielnicowego, który podnosił swoje kwalifikacje, żeby szybciej awansować, poprzez byłego strażnika więziennego

ubiegającego się o stanowisko naczelnika, po psychiatrę chcącego przeprowadzać autopsje psychologiczne. Środmiejski kampus rozciągał się na pięć kwartałów w zachodniej części dzielnicy, niedaleko szpitala Roosevelta. W budynku, który chętnie fotografowano, wzniesionym w 1832 roku z marmuru i czerwonej cegły, podobnym do tych kojarzonych z Ivy League, mieściła się administracja. Moje zajęcia odbywały się w typowej nowoczesnej przybudowce. Przeciągnęłam identyfikator ze zdjęciem przez

elektroniczny czytnik i skierowałam się po schodach do właściwej sali. Profesor rozmawiał z jednym ze studentów o obsłudze programu PowerPoint. Światła wciąż się paliły, więc wszyscy dobrze mnie widzieli. Unikając kontaktu wzrokowego, zrzuciłam plecak i zajęłam szczęśliwie puste miejsce obok zaprzyjaźnionego policjanta z Dominikany, któremu trafnie nadano imię Amabile.

Kiedy przez krotki czas się umawialiśmy, zdradził mi, że oznacza „życzliwość”. Nakrył dłonią moją dłoń i przez chwilę przytrzymał.

Zauważyłam, że nosi koszulkę z hasłem poparcia dla studenckiej drużyny koszykownicy. Musiałam być tematem wielu rozmów.

Przypuszczałam, że pewnego dnia referat opisujący moj przypadek zostanie włączony do literatury kryminologicznej.

Podjęłam te studia, żeby odpowiedzieć na jedno pytanie, nie to, które zadawała większość: Dlaczego pewni ludzie przekraczają granicę?, ale: Dlaczego pozostali jej nie przekraczają? Chciałam wiedzieć, co mnie powstrzymuje i na ile mocno. Moje zainteresowanie było więcej niż naukowe, było osobiste.

Steven i ja pochodziliśmy ze Środkowego Zachodu, ze wszystkimi związanymi z tym stereotypami: nasz ojciec był konserwatywny, samodzielny, uczciwy i uparty... poza fazą manii, wówczas bowiem stawał się charyzmatyczny, żądny przygod i uwodzicielski. Podczas jednej z tych faz nasza matka go poślubiła.

Przybyła do Illinois z Kalifornii. Była córką mieszkańców Oklahomy, którzy uciekli przed burzami piaskowymi w latach trzydziestych, nie zdołali się zaczepić w Dolinie Kalifornijskiej i wylądowali w Chicago, gdzie pracowali w rzeźni i mieszkali w południowej części miasta ze świeżo przybyłymi z Południa Murzynami. Nasza matka, niezależna, lekkomyślna, prozna i piękna, nie zamierzała ugrzęznąć na South Side na dobre. Była w siódmym miesiącu ciąży ze Stevenem, kiedy mąż zademonstrował jej cały wachlarz swoich psychicznych odchyłeń. Zaczęło się od tego, że zlekceważył ostrzeżenie położnika przed stosunkami w końcowej fazie ciąży. Kiedy żona odmówiła mu współżycia, przespał się z jej szesnastoletnią siostrzenicą. Kobiety odgrywały się na mężach za mniejsze przewinienia. Dlaczego nasza matka nie przekroczyła granicy?

W liceum byłam przeciętną uczennicą, ale marzyłam o zostaniu artystką, aktorką, poetką, zgodnie z młodzieńczą tradycją chciałam pojąć za głos serca, bez zastanawiania się, czy aby posiadam jakikolwiek talent. Tuż po maturze wsiadłam w autobus do Nowego Jorku i dotarłam do Port Authority w deszczową letnią noc o drugiej nad ranem.

Planowałam zatrzymać się w YWCA, ale poznałam w autobusie dziewczynę, która już zrobiła to, co ja planowałam.

Odwiedziła matkę w Cleveland i właśnie wracała do Brooklynu, gdzie mieszkała od sześciu miesięcy. Pracowała jako kelnerka, do czasu aż zaczęła karierę modelki, i



zaprosiła mnie do siebie.

Mieszkała w kawalerce na parterze z widokiem na dawną stocznię.

Prowizoryczna kuchnia składała się z płyty grzewczej i mikroskopijnej lodowki. Gołe ściany pokrywała farba w odcieniu morskiej zieleni, kojarzącym się ze szpitalnymi wnętrzami, miejscami zdrapana. Ja spałam na dmuchanym materacu, a ona zajęła rozkładaną sofę.

Około szostej rano usłyszałam chrobot klucza w drzwiach.

Do mieszkania wszedł jakiś mężczyzna. Zawołałam Candice, moją gospodynię.

– To mój chłopak Doug – wyjaśniła sennym głosem.

– Hej – przywitał się Doug, a potem zwrocił się do Candice:

– Cześć, dziecinko. – Usiadł na brzegu sofy i zdjął z nog kowbojki.

Nie nosił skarpetek. Z jakiegoś powodu to wzmogło mój niepokój.

Zaczęłam się zbierać z materaca, z którego już zdążyło zejść powietrze.

– To ja już pojdę. Dzięki za nocleg.

– Nie musisz wychodzić – powiedział, ściągając koszulę. –

Za parę godzin muszę być w pracy.

Moja torba znajdowała się po drugiej stronie pokoju, żeby ją wziąć, musiałabym przejść obok niego. Spałam tylko w podkoszulku i skąpych majtkach.

Doug zdjął dzinsy. Nie odrywałam wzroku od swojej torby,

ale widziałam kątem oka, że bielizny również nie używał. Położył

się na sofie obok Candice, a ja w duchu nakazywałam sobie spokój; byłam w

Nowym Jorku i miałam szczęście, że trafiło mi się miejsce do spania.

Materac leżał niecałe dwa metry od sofy, więc oczywiście

słyszałam, jak Candice każe swojemu chłopakowi przestać, choć zrobiła to bez złości. Byłam jeszcze dziewicą, ale wzięłam udział

w kilku podwójnych randkach i wiedziałam, co się święci. Do głowy przychodziły mi jedynie słowa: pojsć na całość. Układałam już opowieść dla moich przyjaciół w New Trier w Winnetce, szkole słynącej z utalentowanych i nad wiek rozwiniętych uczniów, takich jak Ann-Margaret i Rock Hudson, aczkolwiek u moich znajomych zdolności jakoś długo się nie ujawniały.

Zamknęłam oczy, nakryłam głowę poduszką i udawałam, że już bywałam w podobnych sytuacjach. Po jakimś czasie ich aktywność ustała i z powrotem usnęłam.

Obudził mnie własny kaszel, wydawało mi się, że z powodu

poduszki. Nadal zakrywała mi twarz, a do tego coś na nią

napierało. Nie mogłam złapać powietrza; próbowałam się

wyswobodzić, ale czyjeś ramiona przyciskały mi ją do twarzy.

– Och, na litość boską, ty fiucie, zostaw ją w spokoju –

usłyszałam głos Candice. Ręce nie zwolniły nacisku. Zaczęłam się rzucać i kopać.

– Pozwol jej przynajmniej oddychać – powiedziała Candice.

Jedna ręka puściła poduszkę i udało mi się zaczerpnąć tchu, nim przygniotła mi ramiona.

– Chwyć ją za nogi! – zawołał Doug do Candice.

– Nie chcę znow oberwać – odpowiedziała Candice, ale złapała mnie za kostki. Materac spłaszczył się już do grubości śpiwora.

– Mówiłem ci, że w materacu jest dziura – powiedział Doug.

– Chore kolano znowu będzie mi dokuczać.

– Byłeś wczoraj w Walgreensie.

– Co z tego?

– Sprzedają tam dmuchane materace.

Mimo powagi tej sytuacji, ich głupia sprzeczka kazała mi wierzyć, że nic złego się nie wydarzy.

– Jeśli mnie puścisz, to mogę pojsć po nowy materac. –

Poczułam, że moje słowa zrobiły na nim wrażenie, bo nieco zwolnił uścisk, a potem chwycił mnie jeszcze mocniej.

– Masz nas za idiotów – syknął Doug.

– Candice – zaczęłam błagalnie. – Nie rozumiem, dlaczego mi to robisz.

– To nie ona ci to robi, tylko ja – sprostował Doug.

Odzyskałam nadzieję, że wyjdę z tego bez szwanku.

– Nic nikomu nie powiem, jeśli mnie puścicie. Nie wiem, gdzie jestem. Chcę tylko stąd wyjść.

– Dziecinko, podaj mi taśmę klejącą spod zlewu.

Przygniatał mnie całym swoim ciałem. Poduszka wciąż zakrywała mi twarz, ale przynajmniej mogłam oddychać.

Przekręciłam głowę i zobaczyłam, że Candice jest ubrana tak samo jak ja, ale teraz miała na sobie T-shirt Douga. Odrywała kawałek srebrnej taśmy.

– Przytrzymaj jej głowę – zwróciła się do Douga. Następnie przykucnęła i zakleiła mi usta. Znajdowała się tak blisko, że nagle poczułam zapach spermy jej chłopaka. Gdyby nie obawa, że się udławię, z pewnością bym zwymiotowała.

– Przymocuj jej nadgarstek taśmą do grzejnika – rozkazał Doug.

Chwycił moją prawą rękę i przytknął do zimnego żeberka.

Candice oderwała kolejny kawałek taśmy, a potem owinęła mi wokół przegubu, a Doug nucił *Crazy Little Thing Called Love*.

Kiedy skończyła mocować moją drugą rękę do nogi biurka, Doug zsunął się ze mnie, po drodze zdejmując mi majtki. Usłyszałam odgłos własnego protestu przez taśmę zaklejającą usta.

– Dziecinko, możesz mi podać piwo? – odezwał się Doug.

- Nie jestem twoją służącą, poza tym się skończyło.
- Do cholery, miałaś kupić!
- Och, niby kiedy? Dopiero co wrociłam z pieprzonego Cleveland.
- No to idź teraz i kup.
- Akurat coś jest otwarte o szostej rano!
- Walgreens jest otwarty.
- Mają tam piwo?
- Owszem, mają piwo!

Modliłam się, żeby Candice nie zostawiła mnie z nim samej.

Wciągnęła legginsy, a potem przetrząsnęła kieszenie Douga w poszukiwaniu pieniędzy.

– Była taka chętna, żeby nam kupić materac, to pozwolmy jej zapłacić za piwo – powiedział Doug.

Candice podniosła moje dzinsy i zabrała całą moją gotówkę, trzysta dolarów.

– Następnym razem skorzystaj z czekow podróжных – poradziła, po czym zamknęła za sobą drzwi.

– Szkoda zasłaniać takie ładne usta – odezwał się Doug. –

Wiesz co? Może zdejmę taśmę, a ty będziesz cicho.

Skinęłam głową.

– Będzie trochę bolało. – Myślałam, że zerwie taśmę jednym ruchem, jak plaster, ale ścigał ją powoli, jakby to była gra wstępna. – Miałaś dużo chłopaków?

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Czy może jednego ulubionego? Założę się, że pozwoliłaś mu dojść do drugiej bazy. – Podciągnął mi koszulkę i zaczął ugniatać sutki. – Candice tym razem przeszła samą siebie. – Kiedy pocierał członkiem w głębinie między moimi piersiami, zadzwonił jego telefon. Zanim odebrał, sprawdził numer na wyświetlaczu.

– Co znowu? – Słuchając, potarł czubkiem penisa moją brodawkę. – Wszystko jedno, Coors. – Rozłączył się i rzucił: –

Cholera. – Zszedł ze mnie i stanął przy oknie. Nie miał już pełnej erekcji.

Zaczął się masturbować, ale bez pożądanego skutku, więc wrocił i usiadł mi okrakiem na klatce piersiowej.

– Pomożesz mi tymi ładnymi ustami – rozkazał.

Odruchowo przekręciłam głowę na bok, ale chwycił mnie za szczękę i siłą otworzył mi usta. Wepchnął się do środka. Dławiłam się, łzy płynęły mi z oczu.

Widocznie go to podniecało, bo znowu stwardniał.

– Zwykle czekam na Candice, ale tym razem chyba nie dam rady.

Wyciągnął członka z moich ust, kolanem rozepchnął mi nogi i natychmiast przestałam być dziewczyną. Szybko skończył, a ja nadal żyłam. Był jeszcze we mnie, kiedy weszła Candice z piwem.

– Pieprzony dupku, miałeś poczekać.

– No coż, gdybyś się tak nie wlekła z powrotem...

Mimo to otworzyła puszkę i mu podała. Następnie zrobiła to samo z drugą i pociągnęła spory łyk. Wreszcie otworzyła trzecią i postawiła na podłodze obok mnie.

– A co to, poczułaś się gospodynią? – spytał Doug.

– Jej też na pewno chce się pić. Prawda, Morgan?

Jak gdyby nigdy nic wyjęła szczyryk i uwolniła jedną z moich rąk. Mogłam usiąść; kiedy to robiłam, koszulka zsunęła się i zakryła mi brzuch. Na myśl o picciu z nimi piwa robiło mi się niedobrze, ale nie chciałam ich prowokować. Sięgnęłam po puszkę i zmusiłam się do przełknięcia małego łyka.

Candice spojrzała na budzik na biurku, do którego wciąż byłam przywiązana.

– Lepiej myśl o zbieraniu się do pracy.

– Mam tu czystą koszulę? Tylko mi znowu nie mów, że byłaś w Cleveland.

Candice podeszła do małej szafy i cisnęła w niego podkoszulkiem z długimi rękawami.

– Podrzuć ją na dworzec autobusowy? – spytała.

Przecięła taśmę na mojej drugiej ręce, podała mi torbę i po chwili zostałam zapędzona do białej furgonetki. W drodze – a miałam nadzieję, że naprawdę zmierzamy do Port Authority – Doug włączył stację ze starymi przebojami, w której leciał jeden hit za drugim. Cieszyłam się, że nie muszę z nim rozmawiać.

Siedziałam z tyłu i patrzyłam, jak kiwa głową w rytm muzyki.

Gdy dojechalismy na miejsce, wyłączył radio.

– Teraz cię wypuszczę, a ty masz się nie odwracać, dopoki nie doliczysz do sześćdziesięciu. Chyba że chcesz mnie znowu zobaczyć.

Nie odwróciłam się, dopoki nie doliczyłam do sześciuset.

Gdy wykład dobiegł końca, Amabile wziął mnie za rękę.

– Chodź ze mną. – I szybko wyszliśmy z sali, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Powiedział, że ma zapasowy kask i zaproponował mi podwozkę do Rikers swoim harleyem.

Oboje co tydzień o tej porze spotykaliśmy się tam z pacjentami, a ja dodatkowo miałam sporo do nadrobienia. Nigdy nie

zamierzałam pracować jako psycholog, ale do uzyskania dyplomu należało zaliczyć siedemset godzin praktyki. Rikers nie było więzieniem, tylko aresztem, co oznaczało, że osadzeni czekali tam na proces albo odsiadali wyrok poniżej dwunastu miesięcy. Moi pacjenci mieli nadzieję, że sesje z psychologiem zapewnią im przychylniejsze spojrzenie sędziego. Ponieważ większość aresztantów w Rikers (około czternastu

tysięcy osob) dopiero czekała na proces, wszyscy byli „niewinni”.

Obejmowałam Amabile mocno w pasie, kiedy pędziliśmy nieoznakowanym mostem Francisa Buono w Queens – jedyną drogą na wyspę. Na spotkaniu organizacyjnym dowiedzieliśmy się, że podczas wojny secesyjnej Rikers Island służyła za wojskowy poligon. Aresztem stała się w 1932 roku.

W 1957 roku samolot Northeast Airlines, lot numer 823, rozbił się na wyspie tuż po wystartowaniu z pobliskiego lotniska LaGuardia; spośród dziewięćdziesięciu pięciu pasażerów i sześciu członków załogi dwadzieścia osob zginęło, a siedemdziesiąt osiem zostało rannych. Personel i osadzeni z Rikers pobiegli natychmiast na miejsce katastrofy, żeby udzielić pomocy ofiarom. W rezultacie z pięćdziesięciu siedmiu więźniów, którzy brali udział w akcji ratunkowej, trzydziestu wypuszczono, a szesnastu zmniejszono wymiar kary o poł roku decyzją nowojorskiej komisji do spraw zwolnień warunkowych.

Dowiedzieliśmy się też, że rysunek Salvadora Dali, prezent w ramach przeprosin za to, że nie mógł wziąć udziału w dyskusji na temat sztuki dla więźniów, wisiał w jadalni dla osadzonych w latach 1965–1981, kiedy przeniesiono go do głównego holu ze względów bezpieczeństwa. Rysunek został skradziony w 2003

roku przez kilku strażników i zastąpiony kopią.

Obiekt przypominał małe miasteczko. Były tam szkoły, przychodnie lekarskie, boiska, kaplice, siłownie, instytucje odwykowe dla narkomanów, sklepy spożywcze, zakłady

fryzjerskie, piekarnia, pralnia automatyczna, elektrownia, punkt krawiecki, drukarnia, dworzec autobusowy, a nawet myjnia

samochodowa. Wyspa Rikers stanowiła największą na świecie kolonię karną.

Spotykałam się z pacjentami w małej przybudowce poza przepelnionym oddziałem, gdzie przez całą dobę, siedem dni w tygodniu, paliły się jarzeniowki. Telewizory pozostawały włączone od siódmej rano do północy. Mężczyźni chodzili w pomarańczowych kombinezonach i wyglądali, jakby mieszkali na dworcu i czekali na autobus, który nigdy nie przyjedzie.

Zostaliśmy z Amabile wylegitymowani, przeszukani i wpuszczeni do środka, po czym ruszyliśmy przez labirynt korytarzy z kratami w oknach i drzwiami, które mogli otwierać wyłącznie strażnicy.

Gabinet dzieliłam z trzema innymi magistrantami; niespełna pięć metrow kwadratowych – mniej niż cela – posiadał

wyposażenie w postaci dwóch identycznych składanych krzeseł oraz zamykanej metalowej szafki.

Pierwszym pacjentem był chudy biały mężczyzna ostrzyżony na jeża, z uchem jak kalafior, skazany na siedem miesięcy za obnażanie się w Metropolitan Museum, w skrzydle eksponującym greckie rzeźby. Ustawiał się na końcu

rzędu marmurowych aktów i czekał na dziewczynki z wycieczek szkolnych. Nie okazywał

skruchy, utrzymywał, że jest niewinny, bo nie wiedział, że ma rozpięty rozporek.

Zaczynał sesje od dowcipu, próbując mnie zbić z tropu albo oczarować; nie zawsze potrafiłam rozpoznać, o którą z tych dwóch ewentualności mu chodzi. Co więcej, odpowiadał na moje pytania wyłącznie żartem.

– Więzień mówi: „Pani doktor, usunęliście mi już śledzionę, migdałki, trzeci migdał i jedną z nerek. Przyszedłem do pani, żeby się dowiedzieć, czy może mnie pani stąd wydostać”! Lekarka odpowiada: „Przecież to robię... Po kawałku”!

– Prosi mnie pan, żebym go wydostała z tego miejsca? – spytałam.

– Facet ucieka z więzienia, znajduje dom, włamuje się i szuka pieniędzy, ale znajduje tylko młodą parę w łóżku. Każe mężczyźnie wstać i przywiązuje go do krzesła. Przywiązuje dziewczynę do łóżka, wchodzi na nią, całuje ją w szyję, po czym idzie do łazienki. Mąż wtedy mówi do żony: „Słuchaj, ten człowiek uciekł z więzienia, spojrz na jego ciuchy!

Prawdopodobnie od lat nie dotykał kobiety. Widziałem, jak cię pocałował w szyję. Jeśli zażąda seksu, nie opieraj się, nie marudź, po prostu rob, co ci każe. Jak się zezłości, to nas zabije. Bądź silna, skarbie. Kocham cię”. Ona odpowiada: „On mnie nie całował w szyję. Tylko powiedział mi na ucho, że jest gejem, podobasz mu się i spytał, czy mamy w łazience wazelinę”.

– Boi się pan, że zostanie tu zgwałcony?

– Psychiatra robi poranny obchód w szpitalu wariatów. „Jak się pan dziś czuje?”, pyta pierwszego pacjenta. Pacjent jest nagi, ma erekcję i posypuje swojego penisa orzeszkami. Odwraca się do lekarza i mówi: „Pierdolę orzeszki. Trochę tu pobędę”.

– Godzi się pan z faktem, że jakiś czas tu pobędzie?

– Wie pani co? Chyba mam alergię na pani twarz.

Czekałam na zabojcą puentę.

– Tak, fiut mi puchnie za każdym razem, kiedy ją widzę.

– Skończymy dziś wcześniej. – Dałam strażnikowi sygnał przez wzmocnione okno w drzwiach, żeby mnie uwolnił od tego pacjenta. Siedziałam na składanym krześle i przypominałam sobie, dlaczego wybrałam tę pracę. Gdybyż Bennett był tak oczywisty jak ten ekshibicjonista-dowcipniś. Ilu potrzeba socjopatów, żeby wymienić żarówkę? Jednego. Trzyma żarówkę, a cały świat kręci się wokół niego.

Widziałam Douga i Candice jeszcze raz.

Podaliśmy im omlety i domowe frytki, a Doug poprosił o ostry sos. Nie rozpoznali mnie, przez mój kelnerski uniform, fryzurę, zafarbowane włosy i fakt, że byli na ciężkim kacu. Kiedy Doug upuścił noż i poprosił o czysty, przyniosłam noż do steków i zastanawiałam się, czy nie wbić mu go w pierś, pięć centymetrow pod obojczykiem,

gdzie znajduje się naturalna przerwa między żebrami. Może to ręka mojej matki unieruchomiła moją dłoń w tym decydującym momencie. A może uświadomiłam sobie, że zadżganie Douga będzie jedynie formą, jaką przyjmie moja autodestrukcja. Poza tym, żeby zadowolić mściciela, akt zemsty wymagał umiejętnego stopniowania napięcia i odpowiedniej dramaturgii.

Znalazłam mieszkanie w Vinegar Hill na spółkę z dwiema studentkami medycyny. Jedną z nich była Kathy. Podjęłam pracę kelnerki w tej restauracji w Bushwick, żeby zapłacić za dodatkowe zajęcia z poezji w New School. Poezja wydała mi się formą najbardziej naturalną, szczerze mówiąc, napisałam kilka wierszy o Dougu i Candice.

Ich śniadanie kosztowało dwadzieścia jeden dolarów i dwanaście centów; zostawili mi niecałego dolara napiwku.

Przyjęłam tego dnia w Rikers jeszcze jednego pacjenta – w porównaniu z ekshibicjonistą-dowcipnisem jego sesja

przypominała spacer po parku. Później Amabile podrzucił mnie do domu i spytał, czy chcę, żeby wszedł do środka. Odpowiedziałam, że nic mi nie jest, po czym podziękowałam mu za życzliwość i troskę. Przestaliśmy się spotykać, kiedy poznałam Bennetta, cieszyłam się, że pozostaliśmy przyjaciółmi.

Kiedy odjechał, weszłam do Mother's, gdzie kupiłam wegetariańskiego burgera, frytki ze słodkich ziemniaków i dietetyczną colę, świadoma bezsensu popijania dietetyczną colą frytek.

Otworzyłam wszystkie okna, bo nadal dało się wyczuć w powietrzu zapach środków czyszczących. Znajomy buddysta zaproponował, że przyjdzie i „odymi” moje mieszkanie, żeby zneutralizować aurę masakry, tylko czy byłabym w stanie tu mieszkać nawet po takiej ceremonii? Zakręciło mi się w głowie, uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech. Położyłam torebkę z jedzeniem przy komputerze, zjadłam kilka frytek i sprawdziłam pocztę na Hotmailu.

*Jestem osobą, której szukasz. Są też inne. Nie jesteś pierwszą kobietą, której moje przeżycia wydały się znajome. Mężczyzna znany mi jako „Peter” ma około 173 cm, ciemne włosy i niewielką bliznę na jednym łuku brwiowym, waży trochę za dużo jak na ten wzrost – nie jest specjalnie atrakcyjny, ale to nie miało znaczenia.*

*Cechuje go charyzmatyczna pewność siebie. Czy człowiek, z którym byłaś związana, zakochał się w Tobie bardzo szybko?*

*Przyniósł Ci perfumy Bulgari Green Tea i nalegał, żebyś zawsze ich używała? Nie znosił Twoich zwierząt domowych? Jeśli chcesz pogadać, wolałabym to zrobić osobiście w jakimś miejscu publicznym. Mieszkasz w Bostonie? Mogę się z Tobą spotkać w barze U Clarke'a tuż przy South Station, od strony Atlantic Avenue. Założę ręcznie dziergany pomarańczowy szalik.*

*Odpowiada Ci to?*

Następnego ranka wsiadłam w pociąg do Bostonu.



Bar u Clarke'a był zamknięty. Nie tego dnia, ale w ogóle. W oknie wisiała tabliczka „Do wynajęcia”. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy kobieta chciała się ze mną spotkać w środku, czy przed barem, ale kiedy ujrzałam tabliczkę, uznałam, że na pewno na zewnątrz. Stałam tam pół godziny. Dlaczego? Z tego samego powodu, dla którego przemierzałam tam i z powrotem rue Saint-Urbain w poszukiwaniu knajpki z omletami. Zauważyłam na rogu policjanta i ruszyłam w jego stronę, ale nagle sobie uświadomiłam, że nie wiedziałabym nawet, o co go zapytać. Nie znałam jej nazwiska, wiedziałam jedynie, że pracowała w policji i zakochała się w tym samym mężczyźnie.

Czyżby zmieniła zdanie i postanowiła nie spotykać się ze mną? Wyciągnęłam wniosek, że jest odważna, przede wszystkim dlatego, że umieściła w sieci swój list, a poza tym była policjantką.

Może coś jej wypadło? Nie wymieniliśmy się numerami telefonów. Wysłałam jej mejla, a potem przeszłam na drugą stronę Atlantic Avenue do kawiarni, żeby dalej czekać. Wybrałam boks z widokiem na zamknięty bar U Clarke'a. Po trzeciej filiżance kawy postanowiłam wstąpić do najbliższego komisariatu, gdzie – jak sobie wyobrażałam – pracowała. W poście na Lovefraud napisała, że zajmuje się analizą raportów powypadkowych. Ile młodych kobiet zajmujących się analizą raportów powypadkowych mogło pracować w jednym komisariacie? Przywiozłam ze sobą zdjęcie Bennetta, a raczej pół zdjęcia, które znalazłam na ławie, pozostawione przez ekipę sprzątającą. Swoją podobiznę odcięłam.

Komisariat znajdował się dziesięć przecznic od baru; wielki ceglany budynek mógł kiedyś mieścić sierociniec albo bibliotekę.

Prezentował się dostojniej niż posterunek 90 na Brooklynie, który mijałam codziennie w drodze na przystanek linii J. Posterunek 90 nie mógł być niczym innym, tylko posterunkiem policji.

Funkcjonariusz przy ladzie recepcji użerał się z jakąś starszą kobietą, która chciała wiedzieć, gdzie zabrali jej syna.

Odczekałam, aż policjant uspokoi swoją rozmowczynię na tyle, żeby znow usiadła.

– Zastanawiam się, czy mogłby mi pan pomoc – odezwałam

się stanowczym tonem, wyćwiczonym do zwracania się zarówno do policjantów, jak i przestępców, z którymi stykałam się na gruncie zawodowym. – Studiuję na wydziale prawa karnego w szkole Johna Jaya w Nowym Jorku. Mam umówione spotkanie z waszym analitykiem raportów powypadkowych. Powie mi pan, gdzie mogę ją znaleźć?

– Jego, nie ją. Pierwsze piętro. Ale muszę zobaczyć jakiś dokument.

Pokazałam mu legitymację studencką ze zdjęciem i

wyjaśniłam, że szukam kobiety.

– Gerald Marks jest u nas od niedawna. Chyba że chodzi pani o Susan Rorke?

– Możliwe. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale nie znam

nazwiska kobiety, której szukam, tylko jej stanowisko, wiem też, że pracuje w komisariacie najbliższym miejsca, gdzie miałyśmy dziś się spotkać. Orientuje się pan, gdzie mogłabym ją znaleźć?

– Przykro mi, proszę pani, ale Susan zmarła sześć tygodni temu.

– Kobieta, której szukam, zrezygnowała z tej pracy, przeniosła się do Nowego Jorku, ale wróciła tutaj w lecie.

– Susan rzeczywiście zrezygnowała z pracy, ale wróciła tuż przed tym, jak została zabita.

– Powiedział pan, że zmarła. Została zabita?

– Nie mogę ujawniać szczegółów śledztwa.

Dokonałam szybkich obliczeń. Musiała zginąć niedługo po zamieszczeniu listu na Lovefraud, jeżeli to była Susan Rorke.

Jeżeli jednak Susan Rorke nie żyła od sześciu tygodni, to kto odpowiedział na mojego mejla? Spytałam sierżanta, czy mogłabym porozmawiać z którymś z jej kolegów.

Sięgnął po telefon.

– Możesz przyjść do recepcji? – rzucił do słuchawki.

Kilka minut później stanął przede mną młody mężczyzna, który wyglądał, jakby jeździł do pracy na deskorolce. Przedstawił się jako detektyw Homes.

– Ta pani pyta o Susan Rorke – powiedział sierżant.

– Możliwe, że o nią – powtórzyłam i wyjaśniłam sprawę Homesowi.

– Co pani wie na temat tego śledztwa?

– Nic, chyba że Susan Rorke znała tego człowieka. –

Wręczyłam mu zdjęcie Bennetta.

– Skąd pani to ma?

Wyczułam, że detektyw widział wcześniej Bennetta. Miałam usłyszeć coś, czego nie chciałam wiedzieć. Ale przecież już to wiedziałam.

– Czy ten człowiek był związany z Susan Rorke? – spytałam.

– To moje śledztwo. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Był moim narzeczonym.

– Jak się nazywa?

– Może pan mi to powie. – Nie znałam Bennetta w żadnym sensie; nie znałam jego historii, możliwości, motywacji. Od tej niewiedzy kręciło mi się w głowie, muliło w żołądku.

– Wejdzie pani na górę i obejrzy kilka zdjęć?

W milczeniu szliśmy po schodach. Musiałam mocno trzymać się poręczy. Czułam na przemian zdumienie i wstyd, że mogłam aż tak bardzo się pomylić co do mężczyzny, którego kochałam.

Biurko detektywa okazało się zaskakująco schludne. Na blacie leżał jedynie niewielki stos teczek; jedną z nich otworzył, wskazawszy mi wcześniej krzesło. W środku znajdowała się przypięta spinaczem fotografia jakiejś kobiety. Mniej więcej w moim wieku, atrakcyjna, trzymała na kolanach jednookiego teriera rasy Jack Russel.

– Rozpoznaje pani tę kobietę?

– Zakładam, że to Susan Rorke. Ale nie, nie rozpoznaję jej.

Pokazał mi kolejne zdjęcie. Tym razem Susan Rorke uśmiechała się szeroko na tle słonecznego, gorskiego krajobrazu.

Opierała głowę na ramieniu Bennetta.

– Czy to jest mężczyzna, którego uważała pani za swojego narzeczonego?

– Jak umarła?

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Żołądek podchodził mi do gardła, choć na zewnątrz zachowałam kamienny spokój.

– Mogę dostać szklankę wody?

Kiedy powstało to zdjęcie? Zanim poznałam Bennetta?

Detektyw wrócił od automatu z wodą i wręczył mi papierowy kubek w staroświeckim kształcie różka.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – spytałam po opróżnieniu kubka.

– Kiedy zostało zrobione pani zdjęcie przedstawiające tego człowieka? – odpowiedział pytaniem.

– Jest podejrzanym?

– Proszę odpowiadać wprost.

– Dobrze. Moje zostało zrobione w Maine jakiś miesiąc przed jego tragiczną śmiercią.

– On nie żyje?

– Na pewno pan o tym czytał. Został zabity przez psy. Ja znalazłam ciało.

– To się stało w Nowym Jorku.

– Na Brooklynie. Dwudziestego września.

– Nie wiedziałem, że chodzi o człowieka, którego szukamy. –

Przeprosił i sięgnął po telefon. Zakładałam, że chce powiadomić swojego przełożonego. Czułam się jak w stanie nieważkości.

Uważał Bennetta za mordercę?

Na koniec dał mi swoją wizytówkę i powiedział, że się odezwie.

– Jak mogę się z panią skontaktować?

Podyktowałam mu swój numer i otworzyłam torebkę.

– Myślę, że powinien pan to zobaczyć. – Podałam mu wydrukowany list, który znalazłam na Lovefraud.

Poczekaliśmy, aż skończy czytać, a następnie zapytałam, jak umarła.

– Wypadła z drugiego piętra w schronisku dla bezdomnych, w którym pracowała jako wolontariuszka. Uważamy, że została wypchnięta.

– Dlaczego tak uważacie?

– Na ramie okiennej powstały zadrapania, kiedy się broniała.

– I uważacie, że wypchnął ją Bennett?

– Znamy go pod innym imieniem.

– Ale nie może mi pan zdradzić jakim, tak?

– Mogę zrobić kopię?

Podałam mu przecięte nożyczkami zdjęcie, a kiedy odniósł mi je z powrotem, nie byłam w stanie na nie spojrzeć. Wsunęłam je między dwa kawałki tektury, używane dla ochrony przed zniszczeniem. Tym razem nawet nie zasunęłam zamka w przegrodce, gdzie trzymałam je oddzielone od reszty rzeczy, które nosiłam w plecaku: nieużywanych kosmetyków do makijażu, wypisanych długopisów, niedojedzonych batonów energetycznych, bardziej kalorycznych niż ulubione, ale zakazane Milky Way.

Na zewnątrz czekała mnie banalna niespodzianka: świat wyglądał tak samo jak wcześniej, zanim dowiedziałam się o tym wszystkim. Kiedy wszyscy znajdują się w identycznej sytuacji, na przykład jakaś społeczność stawia czoło atakowi tornada, tworzy się coś w rodzaju ostrożnej solidarności. Ja byłam sama ze swoim odkryciem; jeszcze nigdy nie czułam się tak bardzo wyizolowana i tak się nie bałam.

Inna kobieta poszłaby zapewne do baru. Mnie jednak nie przychodziły do głowy żadne zachcianki. Wyobraziłam sobie siebie ciągnącą wózek z bielizną do prania, wypełniony pościelą i ręcznikami, zapachowymi chusteczkami do suszarki i detergentem.

Chciałam zaciągnąć mój wózek do małej pralni w sąsiedztwie i zadać właścicielowi proste pytania, na przykład kiedy dodać zmiękczacza do wody. Chciałam siedzieć na plastikowym krześle i patrzeć, jak moje pranie wiruje w bębnie pralki i robi się czyste.

Chciałam je składać, jeszcze ciepłe, a potem zawieźć do domu ten skromny dowód, że mogę funkcjonować w tym świecie i poprawić jakąś drobną rzecz.

Czy moje psy mnie uratowały?

## 10

Gdzie był człowiek, którego znałam jako Bennetta, sześć tygodni wcześniej, kiedy Susan Rorke została zamordowana? Wracalam pociągiem do Nowego Jorku. Sprawdziłam kalendarz w telefonie i upewniłam się, że mam rację – Bennett spotkał się ze mną w tamten weekend w Old Orchard Beach Inn, żółtym wiktoriańskim domu na klifie, z widokiem na ocean, w odległości krótkiego spaceru od mola.

Susan zginęła w piątek. Z Bostonu do Old Orchard Beach w Maine były dwie godziny jazdy samochodem. Czy Bennett wypchnął ją z okna w Bostonie, a potem przejechał wynajętym autem sto sześćdziesiąt kilometrów do wypoczynkowej miejscowości nad morzem, żeby spędzić ze mną romantyczny weekend? Owszem, miał na to dość czasu. Byłam już zameldowana w pensjonacie, kiedy przyjechał. Kiedy kupił białe róże, które wręczył mi na powitanie? Ucałował mnie jak zwykle i spytał, gdzie możemy dostać drinka. Powiedziałam, że obsługa serwuje wino przy kominku, na co odparł, że potrzebuje prawdziwego drinka. Pamiętam, że mnie to zaskoczyło. Oznajmił też, że najpierw musi wziąć prysznic i się przebrać. Twierdził, że wyjechał z Montrealu o dziewiątej rano, co oznaczało, że prowadził sześć godzin bez przerwy, nic więc dziwnego, że chciał się odświeżyć. Był w dobrym humorze i z całą pewnością poświęcał mi dużo uwagi. Apetyt mu dopisywał: na obiad zjedliśmy homara, a potem, oczywiście, się kochaliśmy. Czy miał na skorze zadrapania? Jak mocno Susan się broniła? Potem uparł się na spacer brzegiem morza w świetle księżycy, chociaż było zimno. Szliśmy deptakiem, prawie pustym ze względu na porę i temperaturę. Usłyszałam fragment rozmowy mijających nas ludzi, w języku quebecois, kanadyjskiej odmianie francuskiego, i spytałam go, co mówili. Odpowiedział, że cieszyli się na mecz towarzyski Maple Leafs z Montreal Canadiens, który miał się odbyć następnego dnia. Wrociłam myślami do bezowocnych poszukiwań mieszkania Bennetta w Montrealu; zastanawiałam się, czy w ogóle znał francuski. Wyszukałam w Google terminarz rozgrywek ligi hokejowej i okazało się, że drużyna Montreal Canadiens nie rozgrywała wówczas żadnego meczu towarzyskiego.

Później, już w pokoju, kiedy zdjął spodnie, zobaczyłam świeży siniak na jego goleni. Spytałam, skąd go ma, na co odparł, że się uderzył, kiedy pomagał jednemu ze swoich zespołów przenosić sprzęt. Jednemu z zespołów, których nie reprezentował. Tamtej nocy przesunęłam się na prawą stronę łóżka, jak

zwykle. Lewa strona przylegała do ściany, a Bennett znał mój lęk z czasów dzieciństwa. Kiedy zasypiałam w jego ramionach, powiedział szeptem: „Jeśli mnie kochasz, to będziesz spać przy ścianie”. A gdybym się sprzeciwiła? Co by mnie spotkało?

Następnego ranka... och, wolałabym zapomnieć, jak wyglądało nasze zbliżenie. Z perspektywy tego wszystkiego, czego

dowiedziałam się o Bennecie, wydało mi się odrażające. Jednak tamtej nocy chyba w ogóle nie puścił mojej ręki. Nadal ją trzymał, kiedy się obudziłam.

Dojechałam na Penn Station tuż po północy. Byłam wyczerpana, ale nie chciało mi się spać. Po powrocie do domu przejrzałam wszystkie artykuły na temat śmierci Susan Rorke.

Opisywano trzydziestopięcioletnią policyjną analityczkę, która co tydzień udzielała się jako wolontariuszka w schronisku dla bezdomnych w południowym Bostonie. Początkowo jej śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek. Nie wróciła do pracy po przerwie, podczas której miała naprawić roletę na drugim piętrze.

Ciało pani Rorke znaleziono w uliczce za schroniskiem. Policja doszła do wniosku, że Rorke wypadła przez otwarte okno i zginęła na miejscu od uderzenia o beton. Z następnego artykułu wynikało, że policja bada sprawę jej śmierci, dopuszcza też możliwość zabójstwa. Szukali bezdomnego mężczyzny, który tamtego wieczoru przebywał w schronisku. Świadkowie zeznali, że przed zdarzeniem kłócił się z panią Rorke. Znaleziono go, przesłuchano i wypuszczono. Policja nadal traktowała jej śmierć jako morderstwo i kontynuowała śledztwo.

Potem weszłam na Facebooka. Na profilu zobaczyłam to samo zdjęcie, które pokazywał mi detektyw – z jednookim Jackiem Russelem na kolanach. Ciekawiło mnie, co się stało z psem. Przejrzałam jej wpisy z ostatnich paru miesięcy i oto, co znalazłam: zdjęcie lewej ręki, z rozpostartymi palcami, prezentujące brylantowy pierścionek zaręczynowy. Mniej więcej jednokaratowy brylant miał staroświecki markizowy szlif i był osadzony albo w białym złocie, albo w platynie. Komentarze pod spodem były podobne: Kiedy go wreszcie poznamy?

Wyjęłam z górnej szuflady małe skórzane pudełeczko wyściełane aksamitem, w środku był pierścionek, który dostałam od Bennetta, identyczny. Kusiło mnie, żeby go wyrzucić, ale zdawałam sobie sprawę, że stanowi dowód rzeczowy. Dowód mojej przynależności do zgromadzenia wykiwanych. Jeśli Susan i ja byłyśmy siostrami z jednej kongregacji, to musiała do niej należeć również kobieta, która odpisała mi na Lovefraud, podszywając się pod Susan Rorke. Nawet ona podejrzewała, że jest nas więcej. Skoro trzy, to dlaczego nie cztery? Albo więcej?

Przeszłam na Lovefraud i zostawiłam prywatną wiadomość dla numeru trzy.

*Kim jesteś? Dlaczego udawałaś Susan Rorke? Dlaczego*

*sądziysz, że mężczyzna, którego znałaś jako „Petera” oszukał inne kobiety? Pojechałam spotkać się z Tobą w dobrej wierze i odkryłam, że kobieta, którą udawałaś, została zabita sześć tygodni temu. Mam informacje o człowieku znanym mi jako „Bennett”, które Cię zainteresują. Niczego nie zmyślam, żeby Cię zwabić.*

*Jestem absolutnie szczerą. Nie wiem, dlaczego się ze mną nie spotkałaś, ale jeśli się go boisz, to niepotrzebnie. Proszę, napisz do mnie.*

Poczułam głód i po raz pierwszy od tygodni miałam ochotę na coś zdrowego. Przeszłam kilka przecznic do Champs. Otwierali o szóstej rano. Jak zwykle byłam jedyną klientką bez tatuaży na rękach i nogach. Personelowi zawsze dopisywał dobry humor.

Dostałam boks tylko dla siebie i usiadłam pod ścianą udekorowaną szyldami z lat pięćdziesiątych. Zamówiłam podwójną porcję smażonego tofu z tymi ich tajemniczymi przyprawami i bananem.

Posłodziłam kawę prawdziwym cukrem trzcinowym. Kiedy się rozglądałam za transseksualistą z obsługi, aby poprosić o dolewkę, zobaczyłam, że drzwi się otwierają. Nie od razu go poznałam.

Rozpinał sprzączki od rowerowego kasku. Dopiero kiedy zobaczyłam włosy, zorientowałam się, że to McKenzie, mój adwokat. Miał na sobie koszulkę, miejscami moką od potu, i czarne szorty do kolan, które akurat na nim nie wyglądały jak przebranie.

Spojrzał na mój talerz.

– Lepiej, żeby to nie był ostatni banan.

– Masz ochotę? – Wskazałam mu miejsce naprzeciw siebie.

Wśliznął się do boksu i nie zaglądając do karty, zamówił to samo co ja. Ściągnął kawałek banana z mojego talerza.

– Żywiłem się tym, kiedy pracowałem w Portoryko.

– Kiedy to było?

– Reprezentowałem pewnego konia w Vieques. Farmer mieszkający niedaleko jednej z baz marynarki, gdzie przeprowadzano probne bombardowania, zauważył, że jego cenny ogier stracił płodność. Uzyskaliśmy wyrok korzystny dla farmera i jego ogiera.

Uniosłam filiżankę w geście salutu.

– Umowiłaś się już na test charakteru? – zapytał.

– W przyszły piątek na Staten Island.

– Świetnie. Życzę powodzenia.

Kiedy przyniesiono jego jedzenie, chciałam zmienić temat, by nie pomyślał, że zaprosiłam go do stolika po to, aby korzystać z porad prawnych.

– Nie byłam w samym Vieques, ale widziałam je z Saint Thomas.

– Uwielbiam te wyspy. Co tam robiłaś?

– Jeździłam tam ponurkować w wakacje i przywieźć ze sobą kilka patyczaków. – Popatrzył na mnie pytająco, więc wyjaśniłam:

– Bezdomnych, wychudzonych zwierzątek, które żywią się resztkami wygrzebanymi ze śmietników. Pracuję dla organizacji non-profit, która umieszcza wyspiarskie psy w domach na stałym lądzie.

– I jak ci się tam nurkowało?

– Rafy cierpią. Za każdym razem, gdy statek wycieczkowy wrzuca do oceanu dwa tysiące turystów wysmarowanych kremami z filtrem, koral się utlenia i obumiera. Cieszę się, że widziałam te rafy, zanim znikną. Nurkowałeś w okolicach Vieques?

– Trochę.

– Niesamowite wrażenie, prawda? Pływać kanionami z koralu. Te barwy... Nurkowałeś kiedyś w nocy, kiedy otwierają się miękkie korale? Jakbyś przepływał przez różany ogród, tyle że z latarką. I te ryby... Goniły cię kiedyś ławice pokolców królewskich? Wszystkie jednocześnie zmieniają kierunek i mienią się opalizująco.

Odłożył widelec, chociaż nie skończył swoich bananów.

Czułam, że powiedziałam coś niewłaściwego.

– Czuj się zaproszona na śniadanie – powiedział i sięgnął do kieszeni po pieniądze. Podziękowałam mu, na co odparł, że musi złożyć pewne dokumenty w sądzie w centrum miasta.

– Na rowerze?

– Dzięki temu strażnicy biorą mnie za gońca, nie muszę wchodzić na górę i wdawać się w pogawędki.

Obserwowałam przez okno, jak odpina rower i odjeżdża w stronę Williamsburg Bridge.

Dojadłam jego banany, podziękowałam obsłudze i wróciłam do domu.

Jeszcze przed sprawdzeniem, czy nadeszła odpowiedź na mój ostatni wpis na Lovefraud, wpisałam w Google „Laurence

McKenzie”. Ominęłam dokonania zawodowe i znalazłam artykuł, który sprawił, że poczułam się okropnie. Dowiedziałam się, że przed pięciu laty nurkował z żoną nieopodal Vieques. Podczas schodzenia w dół jego żonę porwały bardzo silne prądy.

Znaleziono ją po kilku minutach; unosiła się na wodzie twarzą do dołu, nieprzytomna, z częściowo wypompowaną kamizelką ratowniczo-wypornościową i pustą butlą tlenową.

Nie udało się przywrócić funkcji życiowych.



# 11

Prawdopodobieństwo, że człowiek zostanie porażony piorunem w Stanach Zjednoczonych wynosi jeden do sześciuset tysięcy. I jest sześć razy większe niż to, że zostanie zabity przez psa jakiegokolwiek rasy. Ponadto czterokrotnie większe jest prawdopodobieństwo, że zostanie zabity przez krowę niż przez psa.

Stałam przed czymś, co wyglądało jak wybieg dla koni na Staten Island. Czekałam, aż treserka wprowadzi Cloud na pierwszą część testu, kiedy dostrzegłam Billie idącą przez parking. Od naszego spotkania dzwoniłam do niej kilka razy zapytać o moje psy.

Pomachała do mnie.

– Bierzesz w tym udział? – spytałam.

– Nie mogłabym pozwolić, żeby testowano te psiaki bez mojego wsparcia.

Wzdrygnęłam się wewnętrznie na to radosne powitanie.

Czyżby należała do osob, które karmią się dramataми innych?

Widziałam ją tylko raz w przytłaczającej scenerii schroniska i nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jest atrakcyjna i

wysportowana. Miała na sobie dżinsy z podwiniętymi mankietami i karmelowe botki do kostek. Mimo pierwszych jesiennych

chłodów rozpięty żakiet ukazywał obcisłą koszulkę, którą pamiętałam z organizacji ratującej zwierzęta; miała dwuznaczny napis SHOW ME YOUR PITS. Posiadałam identyczną, ale nie miałam odwagi jej nosić.

– Nie mogę uwierzyć, że tu przyjechałaś – powiedziałam.

– Oglądałam to wiele razy. Szkoda, że nie mają testów charakteru dla facetów.

Zaprowadziła mnie za wystającą skałkę, skąd mogliśmy obserwować, nie będąc widzianymi. Powiedziała, że nasza obecność rozpraszałaby Cloud.

– Mam dla ciebie niespodziankę – dodała szeptem, kiedy treserka weszła na wybieg z Cloud prowadzoną na krótkiej smyczy. – Zobaczysz.

Cloud i kobieta stanęły naprzeciw czwórki sędziów – trzech kobiet w średnim wieku oraz mężczyzny po trzydziestce. Cloud sprawiała wrażenie szczęśliwej, że jest na zewnątrz; trochę się bałam, że świeże powietrze i słońce ją rozkojarzą!

Billie wyjaśniła, że pierwsza część testu określi reakcję psa na obce osoby. Najpierw patrzyliśmy, jak „neutralna” obca osoba zbliża się do Cloud, przystaje i

życzy treserce miłego dnia. Cloud w ogóle nie zareagowała. „Przyjacielska” osoba podeszła szybkim, rażnym krokiem, zagadała serdecznie do Cloud i pogłaskała ją po głowie. Cloud zamierdała ogonem i polizała jej rękę. Trzecia osoba podeszła schyłona, wymachując ramionami i przemawiając głośnym, ożywionym głosem.

Billie nachyliła się do mojego ucha.

– Oceniają ją pod kątem agresji, niepohamowanego odruchu ucieczki i paniki.

– Na miejscu Cloud wykazałabym wszystkie trzy.

– Po tym, co przesłaś, wcale ci się nie dziwię.

Jednak moja suka pokazała klasę. Nie chwyciła przynęty.

Treserka oprowadziła Cloud wokół ringu, mijając niewielkie zamaskowane stanowiska, które wyglądały jak kryjówki dla

myśliwych. Przy każdym z nich następowały różnego rodzaju akcje prowokacyjne: hałaśliwe potrząsanie monetami w

metalowym pudełku, nagłe otwarcie wielkiego parasola. Cloud zaskoczona schowała się za treserką.

– Na teście z parasolem wykłada się najwięcej psow.

Pożądaną reakcją jest zaciekawienie, a potem odejście – powiedziała Billie.

– Ale ona zawsze się bała parasoli. Wezmą to pod uwagę?

– To nie będzie decydujące, jeśli zaliczy wszystko inne. A poza tym strach jest lepszy niż agresja.

Po tym jak Cloud przeszła pomyślnie sprawdzian reakcji na strzał – ktoś wypalił tuż obok niej z kapiszona – sędziowie uznali test za zaliczony. Vicki Hearne, nieżyjąca już filozofka i trenerka psow, pisała o tym „co kryje się za iluzją krwiożerczości”. Cloud była wielkim psem, z potężnymi szczękami, więc złana krwią wyglądała na krwiożerczą bestię, ale to była tylko iluzja i krył się pod nią strach.

Uprowadzono mnie, że nie będę mogła odwiedzić Cloud po teście, więc chwyciwszy kurtkę i torebkę, odwróciłam się, żeby pożegnać Billie... i zobaczyłam, jak ta sama treserka wprowadza na ring George’a.

Spojrzałam zdumiona na Billie.

– Niespodzianka – wyjaśniła z uśmiechem.

– Kto dał pozwolenie na przetestowanie George’a?

– Po prostu nie sądzę, żeby był zabojcą.

– To nie była twoja decyzja.

Na ringu treserka wydała George’owi komendę „siad – zostań”. A potem George śpiewająco zaliczył te same testy, które wcześniej przeszła Cloud – neutralna, przyjacielska, niepokojąca obca osoba, grzechoczące monety, parasol. Nic mu nie przeszkadzało spełniać oczekiwania treserki. Pamiętałam, jak gorliwie zawsze wypełniał polecenia. Wraz z tą refleksją przyszła też inna: że

Bennett wypchnął kobietę z okna. Co w takim razie mógł zrobić psu? George wychudł, wyglądał tak jak wówczas, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam – zebra psa powinny być wyczuwalne w dotyku, a nie widoczne przez skórę. Między innymi dlatego zdecydowałam się wziąć go na przechowanie. To

wspaniałe uczucie – odkarmić wygłodzone zwierzę.

Jednak strzał go przeraził.

Uciekł za plecy treserki i gnałby dalej przed siebie, gdyby nie szarpnęła za smycz i nie ustawiła go z powrotem przy nodze.

– Słyszał, jak zastrzelono Chestera – wyjaśniłam. –

Powinnam o tym powiedzieć sędziom?

– To nie jest rzadka reakcja – odparła Billie. – Więcej psow ucieka podczas fajerwerkow czwartego lipca niż w jakikolwiek inny dzień roku.

Uspokojenie George'a zajęło treserce kilka minut. W końcu usiadł, za co został pochwalony. Nawet z daleka widziałam, jak polizał ją po rękę. Po przejściu bez problemu przez arkusz marszczącego się plastiku, odmówił jednak wejścia na metalową kratę. Przywarł do ziemi całym swoim ciężarem i ani myślał się ruszyć. Treserka pociągnęła za smycz i wtedy usłyszałyśmy warczenie George'a.

– Cholera – jęknęłam. – Od siedzenia latami w wilgotnej klatce ma wrażliwe łapy. Czy ci ludzie nie rozumieją, że zdarzają się różne sytuacje?

Natychmiast łzy napłynęły mi do oczu. Broniałam swojego psa, psa, który zabił człowieka. Czy Bennett próbował przeciągnąć George'a przez kratki nawiewu w podłodze mojego mieszkania?

Szukałam jakiegokolwiek wytłumaczenia dla tego, co się stało.

Billie, widząc moją rozpacz, na chwilę objęła mnie ramieniem.

– Nic nie jest przesądzone, dopoki trwa test.

Kiedy się skończył, sędziowie ogłosili, że chętnie sprawdzą reakcje George'a powtornie, za jakiś czas. Napięcie towarzyszące obu testom wyczerpało mnie i bardzo przygnębiło. Billie spytała, czy jadłam coś rano, a kiedy zaprzeczyłam, powiedziała, że zna w pobliżu knajpkę z ohydną kawą i pysznymi naleśnikami.

Zaproponowała wspólny posiłek.

Skorzane siedzenia w jej volvo o dziwo nie miały na sobie psich kłaków, zważywszy na to, ile czasu spędzała z

podopiecznymi schroniska. Nie mogłam tego powiedzieć o otrzymanej od Stevena kanapie, która wymagała przykrywania narzutą przed wizytami Bennetta.

– Dziękuję, że sprowadziłaś George'a – powiedziałam.

Knajpa w niczym nie przypominała Champs. Tutejsi klienci

prezentowali tatuaże w postaci typowych symboli militarnych lub słowa „mama”

wpisanego w serce. Naleśniki miały w sobie gluten.

Zamówiłam porcję z kuleczkami czekolady i bitą śmietaną, a Billie poprzestała na tej ohydnej kawie.

Nie zwierzałam się żadnej dziewczynie od czasu śmierci

Kathy. Choć ledwie znałam Billie, opowiedziałam jej o Bennecie i jego oszustwie. Im dłużej mówiłam, tym bardziej się rozkręcałam.

W gorączkowym pośpiechu opowiedziałam jej całą zwariowaną historię, ze wszystkimi białymi plamami i znakami zapytania, o tym, jak się poznaliśmy online, kiedy prowadziłam badania nad socjopatami i ich ofiarami, wszystko, również o fałszywym adresie w Montrealu i kluczu do nieistniejącego mieszkania. Billy powiedziała, że Bennett przypomina jej faceta, z którym kiedyś się spotykała. Facet notorycznie kłamał, a kiedy go zdemaskowała, stwierdził, że po prostu starał się w ten sposób ją zabawić.

– „Kłamię przed sobą przez cały czas...” – zacytowała Billie.

– „...i nigdy sobie nie wierzę”<sup>4</sup> – dokończyłam.

– „Outsiderzy” – powiedziałyśmy równocześnie. – S.E.

Hinton.

Okazało się, że obie wiele razy oglądałyśmy film, który nakręcono na podstawie tej powieści, o Amerykanach meksykańskiego pochodzenia mieszkających w Tulsie, Johnnym i Kucyku, z których jeden zabija członka wrogiego gangu. Matt Dillon, Patrick Swayze, Rob Lowe i Tom Cruise zagrali w tym filmie, zanim stali się sławni.

– W historii Bennetta także jest morderstwo. –

Opowiedziałam jej o Susan Rorke.

– Sądysz, że to Bennett ją zabił?

– Policja tak uważa.

– Dlaczego? – spytała Billie.

– Zawsze podejrzewają najpierw męża albo narzeczonego.

– Bennett z nią także był zaręczony?

– Dał nam identyczne pierścionki.

– Mam nadzieję, że chociaż były drogie.

– Myślę, że były. – Boże, zupełnie to przeoczyłam. – Mogę ci zadać osobiste pytanie? Często bywasz w schronisku, wzięłaś dzisiaj wolne... Z czego żyjesz?

– Jestem rentierką. Pod ścisłym nadzorem. Moja babka mi nie ufa.

Kelnerka w końcu postawiła przede mną naleśniki.

– Co policja robi w sytuacji, gdy główny podejrzany nie żyje? Nie mogą go postawić przed sądem – powiedziała Billie.

– Nie sądzę, żebyśmy z Susan Rorke były jedynymi kobietami oszukanymi przez Bennetta. Wydaje mi się, że napisała do mnie trzecia.

- Na Reportyourex.com?
- Na Lovefraud.com. Zaproponowała spotkanie, ale nie przyszła.
- Mogła się nie pojawić z wielu powodów.
- Podawała się za Susan Rorke. Może nie wiedziała, że Susan Rorke nie żyje.
- A może wiedziała.

Kiedy przyniesiono rachunek, Billie zapłaciła, chociaż zamówiła tylko kawę.

Ruszyliśmy w stronę centrum.

– Przy niej używał innego imienia – powiedziałam. –

Przedstawił się jako Peter. Ale to był on. Pokazałam detektywowi zdjęcie, a on potwierdził.

- Więc kim jest ta trzecia kobieta?
- Albo dziesiąta.
- Może psy wyrządziły ci przysługę.
- Też o tym pomyślałam.
- Chodziło mi o to, że wypchnął ją z okna.
- Wobec mnie nigdy nie stosował przemocy. Ale jak mogłam nic nie wyczuć?
- Psy wyczuły.

Poprosiłam Billie o wysadzenie mnie na Delancey Street.

Chciałam przejść przez Williamsburg Bridge, czułam potrzebę jakiejś fizycznej, niewymagającej myślenia aktywności.

Rozpościerał się stamtąd widok na centrum Manhattanu z dwoma potężnymi mostami – Manhattan i Brooklyn – spinającymi brzegi East River w jej dolnym biegu. Brooklyn Bridge zbudowano wcześniej, jako najdłuższy wówczas most podwieszony, a także jeden z najpiękniejszych. Manhattan Bridge, kombinacja

metalowych rozpor i zastrzałów, był trzeci z kolei. Pomiędzy nimi powstał most Williamsburg, okrzyknięty najbrzydszą konstrukcją na East River. Idąc nim, nie widziało się jednak brzydoty, widok wynagradzał uciążliwości w postaci hałasu ciężarówek, samochodów i wagonów metra, napierających z obu stron na

upartych piechurów i rowerzystów. Nawet Edward Hopper

namalował pejzaż zatytułowany *Z mostu Williamsburg*. Chodnik kończy się w dzielnicy chasydów, gdzie kobiety nadal noszą peruki, a mężczyźni hodują pejsy i brody. A w soboty, nawet podczas upałów, wkładają wielkie futrzane czapy nazywane sztrajmel. W obrębie dziesięciu przecznicy słyszy się rozmowy w jidysz, po hiszpańsku, po chińsku, wreszcie po włosku. Między innymi dlatego tam zamieszkałam.

Wspięłam się po schodach do mojego mieszkania i

odsłuchiłam wiadomość od detektywa z Bostonu. Nie było jeszcze piątej, więc

natychmiast oddzwoniłam.

– Pani Prager, mam kilka pytań w związku ze śledztwem w sprawie śmierci Susan Rorke. Czy moment jest odpowiedni na rozmowę?

– Tak samo odpowiedni jak każdy inny.

– Chciałbym panią spytać o weekend, kiedy zginęła, a pani spotkała się w Maine z człowiekiem, którego znała pani jako Bennetta.

– Co chce pan wiedzieć?

– Powiedziała pani, że przyjechał samochodem z Montrealu do Old Orchard Beach. O której dotarł na miejsce?

– Godzinę po mnie, około szesnastej, ale nie wiem, czy przyjechał z Montrealu.

– Zauważyła pani coś dziwnego w jego zachowaniu albo wyglądzie?

– Zachowywał się normalnie, ale później zauważyłam wielkiego siniaka na jego nodze. Powiedział, że uderzył się, gdy przenosił sprzęt któregoś ze swoich zespołów, ale to było kłamstwo. Nie reprezentował żadnych zespołów.

– Kiedy pani odkryła, że kłamał na temat swojej pracy?

– Właściwie kłamał we wszystkim. Dowiedziałam się kilka tygodni po jego śmierci. Udało się panu odkryć, kim on jest?

– Prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa, musimy przestrzegać określonych procedur. Czy osoba podająca się za Susan Rorke kontaktowała się z panią ponownie?

– Nie, ale kim ona była? I skąd wiedziała o Bennecie, o Susan i o mnie?

– Badamy ten wątek.

– A co już wiadomo? Kim był Bennett?

– Powiem pani, kiedy się dowiem.

– Ale uważa pan, że jest winny?

– Jedyne sędzia i ława przysięgłych mogą go uznać za winnego – odparł detektyw. – A umarli nie mogą być sądzeni.

4 S.E. Hinton, *Outsiderzy*, tłum. Jędrzej Polak, Zysk i S-ka, Poznań 1998.

## 12

Tamtego wieczoru wstąpiłam do Turkey's Nest na Bedford, poderwałam chłopaka i poszłam z nim do domu. Nie planowałam tego, po prostu to zrobiłam. W Turkey's Nest mają najmniej hipsterską szafę grającą w Williamsburgu i karmią ostatnich przedstawicieli klasy robotniczej. W przypiływie wisielczej fantazji wcisnęłam kilka ćwierćdolarówek do szafy grającej i puściłam *Crazy Patsy Cline*. Kiedy piosenka dobiegła końca, jakiś przystojniak zapytał mnie, dlaczego wybrałam akurat ten utwór.

Wlałam już w siebie dwie whisky.

– Sprawdzam, kto jest na tyle szalony, żeby ze mną zatańczyć – odpowiedziałam.

Sięgnął do kieszeni obcisłych džinsów, wyjął garść monet i po kolei wcisnął do maszyny. Piosenka rozbrzmiała od nowa.

– Jesteś szalona? – spytał, przyciągając mnie do siebie.

– Nie chcesz wiedzieć – odparłam.

– Przekonaj się. – Wprowadził mnie na parkiet – wąską przestrzeń między barem a stołem bilardowym.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Ja zawsze zaczynam od mojej byłej żony – podpowiedział.

– Co z nią?

– Odcięła prawe rękawy we wszystkich moich koszulach.

– A co zrobiła twoja prawa ręka?

– Nic, czego by nie zrobiła lewa. Twoja kolej.

– Moj narzeczony był zaręczony z dwiema kobietami jednocześnie. Dał nam identyczne pierścionki.

– Sprawdzam twojego narzeczonego i przebijam moją byłą żonę: wymalowała słowo „duppek” na bramie remizy. Jestem strażakiem.

– Sprawdzam twoją byłą żonę i przebijam moim narzeczonym: zamordował tę drugą narzeczoną.

– O kurczę... – Przestał tańczyć. – Naprawdę?

– Na to wygląda. Ale przyszedłam tu, żeby o tym nie myśleć.

– Siedzi w więzieniu?

– Nie żyje.

Chłopak wziął mnie za rękę i pociągnął z powrotem do baru.

– Co pijesz?

Wypiłam jeszcze dwie kolejki tego samego, a on mi towarzyszył. Mieszkał na Greenpoincie koło Transmitter Park z dwoma kolegami,

rownież strażakami. Żadnego nie było w domu, kiedy tam dotarliśmy. Miał straszny bałagan w pokoju, co akurat mi pasowało. Podobnie jak jego pocałunki. Nie całowałam się z nikim od czasu Bennetta. I ta myśl nie dawała mi spokoju.

Czy wolałabym się całować z Bennettem?

Znałam go rownie dobrze jak tego strażaka.

Umysł zaciął mi się na jednej myśli, podczas gdy ciało wykonywało kolejne ruchy. Dał sobie spokój, kiedy oboje byliśmy jeszcze ubrani.

– Nie ma cię tu, prawda? – zauważył bez złości.

– Chciałabym być, żałuję.

– Wezwę ci taksówkę – zaproponował, bez śladu irytacji w głosie.

Wsadził mnie do samochodu i wręczył kierowcy dwudziestodolarowy banknot.

– Twoja była żona myliła się co do ciebie – powiedziałam.

Wrociałam do mieszkania, ktorego się bałam. Może Cilla

miała rację, że powinnam rozważyć przeprowadzkę, ale nie byłam na to gotowa, zresztą nie było mnie stać. Cilla nie cackała się ze mną, a jeśli udało mi się odzyskać jakąś równowagę, to wyłącznie dzięki niej. Usiadłam w oknie salonu wychodzącym na podworko sąsiadow – z przyciętymi roślinami, rozwieszonym na sznurze praniem i kamiennym ogrodem zen. Przy księżycu w nowiu przesiedziałam z nietkniętym kubkiem herbaty aż do świtu.



## 13

Powiedziałam Stevenowi, że Bennett jest podejrzany o morderstwo.

– Twoje psy są bohaterami – stwierdził.

Kiedy powiedziałam to samo Cilli, spytała, czy dzięki tej wiedzy łatwiej będzie mi wybaczyć sobie.

Powiedziałam też McKenziem.

– Mocna wiadomość – rzucił.

Znow siedzieliśmy w Champs. Poprosiłam o spotkanie, bo chciałam, żeby bronił także George’a.

– Kogo Bennett zabił?

Minął mi już wstyd, że dałam się oszukać.

– Swoją drugą narzeczoną. – Obserwowałam, jak przyswaja tę informację. Przyglądał mi się uważnie, próbował ocenić, jak się miewam.

– Jak umarła?

Opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, a on zapewnił mnie, że zapozna się z raportem policyjnym.

– Zobaczysz, że wobec tamtej używał innej tożsamości.

Podaliśmy mu nazwisko detektywa z Bostonu, żeby mógł się z nim skontaktować. Podaliśmy mu również nazwisko ofiary. Nie mogłam mu podać imienia i nazwiska mojego byłego narzeczonego.

Kiedy spytałam, czy może bronić również George’a, nie ukrywał, że szanse na powodzenie są naprawdę nikłe, ale obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy. To położyło kres mojej rozpacz. Miałam świadomość pewnego rodzaju intymności, jaka wytwarza się pomiędzy dwojgiem ludzi zapatrzonych we wspólny cel. Oboje chcieliśmy tego samego.

Wyszliśmy na zewnątrz; zanim skręciłam w Lorimer Street, wyciągnęłam do niego rękę na pożegnanie. Tymczasem on objął mnie i przytulił. Uścisk trwał kilka sekund dłużej, niż mogłam się spodziewać; później często wracałam do tego myślami.

Zazwyczaj staram się „rozchodzić” złe wieści, a po rozstaniu z McKenziem wspomnienie dotyku jego ramion popchnęło mnie do szybkiego marszu przez dzielnicę. Musiałam zaopatrzyć swoją lodówkę; potrzebowałam podstawowych produktów, mimo że nigdy nie gotowałam. Ruszyłam w kierunku marketu C-Town na Graham, po drodze minęłam restaurację, przed którą każdego popołudnia zasiadało starsze małżeństwo. Ławka przeznaczona była tylko dla klientów, ale nikt z obsługi jakoś nie

kwapił się wyprosić staruszkow. Tkwili tam niczym stały element wyposażenia; zawsze uprzejmie pozdrawiali przechodzące osoby.

Dla siebie nawzajem również byli mili. Na ich widok za każdym razem przychodziła mi do głowy jedna myśl: że wciąż się kochają.

Ta para niejako wymuszała na patrzących rozczulenie, ale zmusiłam się, by stłumić w sobie tego rodzaju reakcję.

Z drzwi restauracji wyszedł mężczyzna z tatuażem na poł twarzy, przedstawiającym pajęczą sieć.

– On z pewnością jest wierny swojemu stylowi życia – powiedziała do męża staruszka.

Po powrocie do domu sprawdziłam Lovefraud i znalazłam następujący mejl:

*Śledzę Twoje wpisy na temat człowieka, którego nazywasz Bennettem, i błagam Cię, żebyś przestała. Niezależnie od tego, jakie informacje masz – albo sądzisz, że masz – na jego temat, nie jestem nimi zainteresowana. Ten człowiek jest ostatnią osobą, której bym się bała, a Twoje sugestie, że oszukuje kobiety, są wierutnym kłamstwem. Jestem z nim zaręczona. Nie podszywałam*

*się pod Susan Rorke, ale jeśli wciąż jej szukasz, powinnaś raczej przepytąć jej szurniętych znajomych. Sama chętnie z Tobą porozmawiam, ale tylko dlatego, że jestem mu to winna.*

Czułam się, jakbym żyła w innym wymiarze, jakbym w nocy przeleciała do innego świata, bo spałam za blisko ściany.

Spotkałam się z Samanthą następnego dnia w piekarni sieci Pain Quotidiens na Upper East Side. Nigdy bym nie odczytała szyldu z francuską wymową, dla mnie „pain” oznaczał po prostu bol, więc wybor miejsca spotkania wydał mi się całkiem trafiony.

Ponieważ umowiliśmy się rano w dzień powszedni,

wszystkie małe stoliki były zajęte. Pozostawał nam długi wspólny stół.

Przyglądałam się klientom w poszukiwaniu kobiety, obok której jest puste miejsce.

Trzy osoby odpowiadały takiemu opisowi. Jedna trzymała torebkę niedbale otwartą na stole, druga pisała esemesa i miała paznokcie pomalowane na czarno, trzecia poprawiała sweter zawieszony na oparciu krzesła. Ta z otwartą torebką mogła uchodzić za ładną; symetrię jej rysów podkreślał

starannie nałożony makijaż. Mniej więcej w moim wieku, ale wyglądała na osobę wymagającą zbyt dużo uwagi jak dla

„Bennetta”. Kobietę z czarnym manikiurem uznałam za zbyt

„gotycką”. Pozostawała trzecia – nerwowa, która tymczasem uporała się ze swetrem i manipulowała sztuczcami. Noż i widelec lśniły, podobnie jak kamień w jej pierścionku zaręczynowym.

Obserwowałam ją, dopoki nie podniosła głowy i nie napotkała mojego wzroku.

Zarumieniła się i na moment uciekła oczami – to był rumieniec złości, nie zakłopotania.  
Podeszłam do wolnego krzesła.  
– Samantha?  
– Mam tylko piętnaście minut.  
Umowiłam się z nią na spotkanie, bo chciałam zobaczyć, kto jeszcze zdobył jego serce. Chciałam zobaczyć, kto jeszcze dał mu się nabrać. Chciałam porównać spustoszenia, jakich w nas dokonał. Chciałam uwolnić te kobiety od złudzenia, że Bennett jest im oddany. Chciałam, by wiedziały, że są bezpieczne. A jakiś brzydki instynkt kazał mi być tą, która im powie o jego śmierci.  
Przywołałam kelnerkę i zamówiłam cappuccino.  
Nie uznawałam owijania w bawełnę, poza tym wiedziałam, że Samantha ma tylko kwadrans, więc od razu poinformowałam ją, że „Bennett” nie żyje.  
– Bzdura – odparła z przekonaniem.  
Wyjęłam zdjęcie, które pokazywałam detektywowi w Bostonie i spytałam kobietę, czy to jej narzeczony.  
Nie odpowiedziała.  
– Umarł sześć tygodni temu.  
– Przysłał mi kwiaty.  
– Znalazłam ciało.  
– Nie rozumiesz. Przysłał mi kwiaty trzy dni temu. A dziś rano dostałam od niego mejla. Ukrywa się przez tych niekompetentnych detektywów z Bostonu. I przez szurniętych znajomych Susan Rorke.  
Jej pewność, że Bennett żyje, zbiła mnie z tropu. Przez moment, zanim się opanowałam, przejrzałam w myślach rozmaite scenariusze „a jeśli...”. A jeśli ciało nie należało do Bennetta? Nikt nie był w stanie go zidentyfikować. Nie miał twarzy. Nie miał odcisków palców. A jeśli Bennett wciąż żyje? Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze ze strachu, ale też podeskcytowała mnie możliwość konfrontacji.  
Poki co zwrociłam się do Samanthy.  
– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Podsunęłam jej zdjęcie przed oczy. – Czy to jest twój narzeczony?  
– Skąd masz jego zdjęcie?  
– Ponieważ byłam z nim zaręczona.  
Prychnęła pogardliwie.  
– Który znajomy Susan Rorke przysłał ci to zdjęcie?  
Przysłali cię tu, żebyś się ze mną spotkała? Probujesz go wydać policji? Wiem, co to znaczy być zaszczytym.

Wyjęłam z torebki małe skorzane pudełeczko wyścielone aksamitem, w którym spoczywał pierścionek od Bennetta.

Wsunęłam pierścionek na palec, by pokazać, że pasuje rozmiarem.

Ułożyłam rękę obok jej dłoni.

– Więc ty też masz pierścionek Susan. Jej znajomi zrobią wszystko, żeby go zrobić. – Głos Samantha wybijał się ponad szmer rozmów przy wspólnym stole. Miałam świadomość, że

ludzie na nas patrzą i słuchają. – Wiedziałam o tym. Susan nie chciała zwrócić pierścionka jego babci, więc zamówił dla mnie kopię.

Tuż przed śmiercią Bennetta wjechałam autem z wypożyczalni w tył taksówki, która zatrzymała się przede mną.

Patrzyłam wówczas przed siebie i dopiero w chwili zderzenia dotarło do mnie, że nie widziałam tego, co miałam tuż przed nosem. Teraz Samantha była tym kierowcą. Zrozumiałam, że mogłabym jej pokazać setki dowodów na dwulicowość Bennetta, a ona by ich nie zobaczyła. Spróbowałam z innej beczki.

– Kto według ciebie zabił Susan Rorke?

– Susan Rorke zabiła Susan Rorke. Zagroziła mu, że jeśli się z nią nie ożeni, to ona się zabije i robi to tak, żeby wyglądało na morderstwo. Podrapała nawet framugę okna, aby upozorować walkę. Zdesperowana suka. – Podniosła głos do tego stopnia, że miałam ochotę ją uciszyć, ale postanowiłam nie przerywać, bo wreszcie zaczęła mówić istotne rzeczy.

– Mogła załatwić sprawę po ludzku, ale nie... Susan Rorke musiała pogryźć innych. Nie miała wstydu. Nie potrafiła znieść, że jesteśmy szczęśliwi i planujemy ślub. Wiesz, co zrobiła tamtego ranka, zanim się zabiła? Zamieściła ogłoszenie o swoich zaręczynach w „Boston Globe”.

Ludzie już nawet nie kryli się z podsłuchiwaniami.

Nienaturalnie ożywiona Samantha gestykulowała tak gwałtownie, że wywrociła pojemnik z pieprzem. Nie przestawała mówić.

Miałam wrażenie, że byłaby zdolna wypchnąć kogoś z okna.

Wyraźnie złapała wiatr w żagle, wyznaczone przez nią piętnaście minut dawno minęło.

– I jeszcze jedno. Pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla bezdomnych głównie z egoizmu. Biedacy nic ją nie obchodzili.

Zależało jej na awansie w pracy i pomyślała, że taka działalność nieźle wygląda w CV.

– A ty gdzie jesteś wolontariuszką? – przerwałam.

– Skąd wiesz, że jestem wolontariuszką?

– A nie?

– Zapewniam cię, że to nie ma nic wspólnego z moim CV!

Podeszła do nas kelnerka i poprosiła Samanthę, by mówiła ciszej.

– Widziałam, jak kobieta zmieniała dziecku pieluchę na stoliku i nikt jej nie zwrócił uwagi! – odgryzła się Samantha.

Poprosiła o rachunek, a potem zrzuciła prawdziwą bombę:

– Pewnie będziesz chciała porozmawiać z jego byłą żoną.

– Był żonaty? – Między nami nastąpiło wyraźne odwrócenie się.

– Twój narzeczony nie powiedział ci, że był już żonaty?

Susan wiedziała.

Zbieranie rzeczy przed wyjściem dało mi czas na zebranie myśli.

– Jak ją znajdę?

– W książce telefonicznej. Sag Harbor. Używa panińskiego nazwiska. Loewi, Pat. Samantha rzuciła mi chłodne „do widzenia”. Patrząc na jej plecy, czułam, że utwierdziła się w swoich domysłach.

Zamierzałam powiedzieć o niej policji z Bostonu. Skąd wiedziała o zadrapaniach na framudze?

Nie czytałam Szekspira od czasu liceum, ale otworzyłam tom dzieł zebranych, żeby jeszcze raz przejrzeć *Otella*. Przez intrygi i kłamstwa zgorzkniałego chorążego Jago generał Otello wierzy, że jego żona Desdemona zdradza go z pewnym porucznikiem.

Rozwścieczony dusi niewinną Desdemonę gołymi rękoma.

Dopiero na studiach dowiedziałam się o istnieniu syndromu Otella, chorobliwej zazdrości, która prowadzi do użycia przemocy. Nie wszystkie społeczeństwa karzą zbrodnie popełnione w afekcie. Na przykład jeśli kobieta z Hongkongu odkryje niewierność męża, wolno jej go zabić, ale jedynie przy użyciu własnych rąk.

Natomiast kochanka męża może zostać uśmiercona przez żonę w dowolny sposób. To stare prawo nadal figuruje w kodeksach. A według statystyk dotyczących przestępczości, zazdrość stanowi jeden z trzech głównych motywów morderstwa.

Siedziałam przy kuchennym stole i zastanawiałam się nad powodem, dla którego miałabym powiadomić detektywa z Bostonu o Samancie. Czy fakt, że moje podejrzania były zaprawione zazdrością, miał jakieś znaczenie? Przypomniałam sobie naszą pierwszą rozmowę o wcześniejszych związkach...

Tyle że w przypadku Bennetta nie chodziło o związki z przeszłości, lecz o te równoległe. Jeszcze jedno wspomnienie z ambitnych zajęć z literatury, na których czytałam *Otella*, tym razem zawdzięczane Williamowi Faulknerowi: „Przeszłość nigdy nie umiera, właściwie nawet nie jest przeszłością”. Kłamstwo Bennetta o studiach na McGill mogło zawierać jeden element prawdy: kochankę o imieniu Sam. Zdrobnienie od Samantha?

Podobno na początku to ona za nim chodziła, tak uporczywie, że jej zachowanie graniczyło ze stalkingiem. Twierdził, że kilka razy zmieniał numer telefonu i

mieszkanie, ale to jej nie zniechęciło.

Ponoć go przeraziła. Według niego śledziła kobietę, z którą się spotykał i podziurawiła jej opony w samochodzie. To nie powstrzymało go przed poproszeniem tej Sam o rękę. Miała pierścionek. Należał do gatunku kłamców, którzy lewitują tuż nad powierzchnią prawdy.

Wybrałam numer detektywa z Bostonu. Rozmawialiśmy ze sobą już kilka razy, więc żadne z nas nie widziało potrzeby zaczynania od zbędnych uprzejmości.

Przedstawiłam swoje podejrzenia wobec Samantha.

– Wiedziała o zadraniach na framudze.

– Pisały o nich gazety. Ta Samantha jest trzecią narzeczoną Bennetta? – Nawet nie próbował ukryć ironii.

– Trzecią, o której wiem. – Nie wspomniałam o byłej żonie.

– Poza tym, że wiedziała o zadraniach na framudze, wysnuła pani swoje oskarżenia na podstawie wyrażonej przez nią opinii, jakoby Susan Rorke sama się zabiła?

– Okazywała chorobliwą zazdrość i irracjonalną złość.

Mówię to jako profesjonalistka.

Wiedziałam, że nie ma znaczenia kierunek moich studiów ani moj przyszły zawód... jeśli znajdę czas i potrafię dostatecznie się skupić, żeby ukończyć pracę magisterską. Tak czy inaczej, detektyw słyszał w moim głosie jedynie zazdrość porzuconej kochanki.

Uliczne lampy rozbłysły w momencie, kiedy się rozłączyłam.

Listopadowy zmierzch zapadał o wpoł do piątej. Nie jadłam nic od spotkania w Pain Quotidien, gdzie zamówiłam jedynie cappuccino.

W mojej kuchni panowała obecnie czystość niewidywana tam nigdy wcześniej. Od powrotu nawet nie usmażyłam tutaj jajka.

Wyjęłam nieliczne składniki, jakie miałam – ketchup, chipsy ziemniaczane oraz plaster stiltona za dwadzieścia dziewięć dolarów, kupiony w sklepie z serami. Nałożyłam okruch sera na niepokruszonego chipsa i zamoczyłam w ketchupie: skrobia, biało, warzywo. Pozwoliłam, by ogarniał mnie mrok. Steven uważał, że powrót do mieszkania po tym, co się stało, świadczy o mojej lekkomyślności. Ale gdybym je opuściła, pewnie nastąpiłyby kolejne przeprowadzki i już nigdy i nigdzie nie czułabym się u siebie.

Podeszłam do okna. Miałam widok na podwórka na tyłach domów. Stare Włoszki wiecznie suszyły pranie na sznurach.

Patrzyłam na mocne ramię jakiejś kobiety, która wciągała rząd prześcieradeł przez otwarte okno.

Zatem Bennett miał kiedyś żonę. Ze wszystkich kłamstw,

jakimi mnie uraczył, to bolało najbardziej. Ostatecznie swoim dwóm pozostałym narzeczonym powiedział o byłej żonie. Powiew wiatru wyrwał ostatnie prześcieradło z rąk mojej sąsiadki; wylądowało na krzewie wystrzyżonym w kształt grzyba.

Zadzwoiłam do Stevena i zapytałam, czy ma ochotę wpaść.

– Jestem w samych skarpetkach i oglądam „Posiekane”.

– Na kanale kryminalnym?

– Kulinarnym. Dzisiejsze składniki to arbuz, sardynki z puszki, żółty ser z pieprzem i poł cukinii.

– A ja właśnie przyrządziłam posiłek z chipsow, stiltona i ketchupu.

– Gdybyś występowała w programie „Posiekane”, zrobiłabyś z tego lazanie. A ty co oglądasz?

– *Póki nas śmierć nie rozłączy: Panna młoda we krwi*. On już był żonaty.

– Pan młody?

– Bennett.

Słyszałam, jak Steven ścisza telewizor.

– On nie żyje, Morgan. Zabrał swoje kłamstwa ze sobą do grobu.

– Nie mogą go złożyć do grobu, dopoki ktoś się nie zgłosi po ciało.

– Skąd wiesz, że był wcześniej żonaty?

Opowiedziałam mu o Samancie.

– Myślisz, że jest niebezpieczna?

Przyznałam, że nie wiem.

– Zaraz do ciebie przyjadę.

– Samantha nie może mnie wypchnąć z okna. Mam kraty.

Poł godziny później Steve zadzwonił do drzwi. Przyjechał ze szczoteczką do zębów i ubraniem do pracy na następny dzień –

ciemnym garniturem, jeszcze w folii z pralni, na spotkanie w ONZ.

Spał na kanapie, którą kupił mi pięć miesięcy wcześniej, w prezencie na moje trzydzieste urodziny.

W przeciwieństwie do oskarżonych ludzi, Cloud i George nie miały prawa do szybkiego procesu, nie przewidziano też kaucji dla psow. Marniały za kratkami, podczas gdy sądy bez pośpiechu robiły swoje. Określenie „marniały” nie oddawało dokładnie stanu rzeczy. Z każdym dniem moje psy podupadały fizycznie i psychicznie, więzione w brudnym, hałaśliwym schronisku,

cierpiącym na niedobory personelu.

A potem McKenzie zadzwonił z wiadomościami, które tchnęły we mnie nadzieję – załatwił termin przesłuchania, za dwa tygodnie. Spotkaliśmy się jak zwykle w Champs. Po raz pierwszy zjawił się tam przede mną. Twarz miał ożywioną; widziałam, że jest zadowolony z ostatnich osiągnięć. Przedstawił mi wiadomość jako prezent, którym była w istocie: wiedziałam, że sprawy z udziałem niebezpiecznych psow mogą się ciągnąć rok albo dłużej.

Zaskoczył mnie na wstępie, gdy powiedział, że wyglądam lepiej. Lepiej niż co? Musiałam mieć zaskoczoną minę, bo poczuł się zmuszony do wyjaśnień.

– Chodziło mi o to, że sprawiasz wrażenie wypoczętej, spokojnej.

– Naprawdę? – spytałam z niedowierzaniem. Najwidoczniej bezsenna noc spędzona na śledzeniu losów byłej żony zmarłego kochanka podziałała odmładzająco. – Dzięki. Ty też.

– Nie potrzebuję rewanzu. Po prostu cieszę się, że widzę cię w dobrej formie. – McKenzie gestem wezwał kelnerkę. Kiedy przyniosła nam menu, nawet do swojego nie zajrzał.

Powiedziałam mu, że przyniosłam oświadczenie mojego weterynarza i wręczyłam mu teczkę, pełną od gromadzonej przez lata dokumentacji medycznej Cloud. Jako szczeniak Cloud zjadła mi eleganckie markowe rajstopy. Operacja wydobycia ich z psiego żołądka kosztowała cztery tysiące dolarów, ale weterynarz oddał

mi rajstopy. A ponieważ kosztowały sześćdziesiąt pięć dolarów, uznałam, że jestem stratna jedynie trzy tysiące dziewięćset trzydzieści pięć.

– Wydałaś sześćdziesiąt pięć dolarów na rajstopy – stwierdził, wertując papiery.

Czytał dalej. Kiedyś Cloud została pokąsana przez osy i kufa tak jej spuchła, że biedaczka nie mogła otworzyć oczu. Innym razem ugryzł ją wąż, kiedy pływała w jeziorze na Florydzie.

Teczka George’a zawierała dokumenty z trzech miesięcy, tylko rutynowe szczepienia i kontrole.



– Dlaczego nie ma rachunków za George’a?

Wyjaśniłam mu, że weterynarz nie pobierał opłat za wizyty George’a i Chestera, ponieważ miał słabość do ludzi ratujących psy.

Kelnerka podała McKenziemu jaskrawozielonego drinka przyrządzonego z siedmiu warzyw. Ja zamówiłam kawę, czarną.

– Przyniosłam też zdjęcia. – Rozłożyłam je w kształcie wachlarza na blacie: wszystkie trzy psy podczas spotkania z niemowlęciem w parku, grające w piłkę z drużyną pierwszoklasistów.

Wręczyłam McKenziemu zeznania sąsiadów, którzy znali Cloud od szczenięcia.

– Jesteś bardzo solidna – pochwalił i schował je do plecaka.

– Mogę jeszcze coś zrobić?

– Czy któryś z sąsiadów zna George’a na tyle dobrze, żeby zeznawać na jego korzyść w sądzie?

– Moi sąsiedzi obserwowali, jak Cloud dorasta, ale bali się George’a. Martwiło mnie, że są uprzedzeni, ponieważ jest pitbuliem. Nigdy nie zrobił nic złego, a mimo to go unikali. –

Wtedy przypomniałam sobie Billie; wsunęła rękę przez kraty, żeby pogłaskać George’a.

– Jedna z wolontariuszek w schronisku go zna i mogłaby zaświadczyć. Mówiłam ci o niej, zorganizowała dla George’a test charakteru. – To by nam pomogło.

Zauważyłam, że użył zaimka „nam”. O czymś to świadczyło.

Byłam wdzięczna, że nie jestem z tym sama. Ogarnął mnie spokój, a nie przywykłam czuć się spokojnie przy mężczyźnie. Spodobało mi się... ale nie ufałam swojemu odczuciu. Pociągali mnie mężczyźni, którzy, jak Bennett, z początku wydawali się mili i troskliwi, a potem ujawniali swoją prawdziwą twarz. Reagowałam wówczas w sposób sprzeczny z intuicją: tym mocniej się angażowałam. Im bardziej mężczyzna mnie kontrolował i trzymał

na dystans, tym mocniej do niego lgnęłam. Nie dlatego, że zyskiwał moje zrozumienie, lecz z dokładnie odwrotnego powodu.

Zaczynałam się bardziej starać, by zasłużyć na jego zaufanie. A im bardziej się starałam, tym mniej mi ufał. Narastał we mnie niepokój, który myliłam z namiętnością. W miarę jak się nasilał, on tym częściej się mnie czepiał, a ja brałam jego czepliwość – „Gdzie byłaś? Dlaczego się spóźniłaś?” – za miłość.

– Jak mogę się skontaktować z tą wolontariuszką?

Dałam mu wizytówkę Billie, którą dostałam od niej w schronisku.

– Mam coś dla ciebie. – Sięgnął do plecaka. – To jest kopia raportu bostońskiej

policii dotyczącego śmierci Susan Rorke. –

Wzięłam od niego ciężką teczkę; zanim zdążyłam ją wsunąć do torby, McKenzie spytał: – Jesteś oswojona ze zdjęciami z miejsca zbrodni, prawda?

– To żaden problem – skłamałam. Ofiary z setek tego rodzaju zdjęć, które oglądałam, nie były zaręczone z moim narzeczonym.

– Napijesz się czegoś poza kawą?

Wymowiłam się od poczęstunku. Bardzo chciałam przeczytać raport i nie mogłam się doczekać wyjścia. (Lęk od ekscytacji dzieli cienka linia).

Czy tylko mi się wydawało, że przez jego twarz przemknął cień rozczarowania, kiedy zbierałam swoje rzeczy? A jeśli właśnie to dostrzegłam – był rozczarowany, że bardziej mnie interesuje Susan Rorke niż moje psy, czy rozczarowany, że nie zostałam z nim dłużej?

Nie mogłam czytać tego raportu w mieszkaniu, w którym zginął Bennett. Przeszłam jedną przecznicę do filii biblioteki publicznej w East Williamsburgu – małego, parterowego budynku z cegły, porośniętego dzikim winem.

Minęłam pusty dział z książeczkami dla dzieci, tłum przy ladzie wypożyczalni wideo, kolejkę bezdomnych czekających na darmowy dostęp do komputera, po czym usiadłam przy pustym długim stole przeznaczonym dla czytających. Zwykle smuciło mnie, że tak niewielu ludzi czyta, ale tego dnia było mi to na rękę.

Rozłożyłam fotografie z miejsca zbrodni. Nie miałam pojęcia, że Susan Rorke wylądowała na wozku ulicznego sprzedawcy jedzenia. Ciało przyjęło odwrotną pozycję: nogi zaczepiły o wózek, tors zwisał ku ziemi. Bluzka zsunęła się i odsłoniła piersi. Pokręcona gimnastyczka. Jeleń powieszony do skruszenia. Probowalam znaleźć jakiś anatomiczny sens w tym, co widziałam. Zestawienie garmazeryjnego wózka z potrzaskanym ciałem miało w sobie coś obscenicznego, więc i moje myśli pobiegły w obscenicznym kierunku: wycofali ten wózek z użycia?

Zawstydzona, wrociłam pamięcią do zdjęć z Facebooka, gdzie prezentowała pierścionek zaręczynowy, którego nie zauważyłam na żadnym zdjęciu z miejsca zbrodni. Zabójca go zabrał? Jako pamiątkę, czy może chciał ukryć dowód? Jeśli zrobił to Bennett, chodziło o ukrycie dowodu. Jeśli Samantha – chciała odzyskać klejnot, rzekomo po jego babce, i zachować, przekonana, że jej się należy.

Raport z autopsji potwierdzał, że Susan Rorke zmarła na skutek doznania tępego urazu. Dzięki moim studiom wiedziałam, że tępy uraz często występuje w medycznych opisach wypadków, samobójstw oraz zbrojstw i może oznaczać szeroki wachlarz powodów, podczas gdy przypadki śmierci od postrzału czy ciosu ostrym narzędziem znacznie zawężają krąg możliwości. Czytałam szybko, wypatrując odpowiedzi na kluczowe pytanie: Czy tępy uraz nastąpił podczas zderzenia

z wozkiem, czy też ofiara doznała go wcześniej? Sekcja nie pozostawiła w tym względzie wątpliwości – przyczyną śmierci było uderzenie w tył głowy narzędziem z końcówką wielkości srebrnej dolarówki,

odpowiadającym obuchowi młotka. Nie znaleziono jednak żadnego młotka na miejscu ani podczas gruntownego przeszukania budynku i okolicy.

Co innego wypchnąć kogoś z okna w napadzie furii, a co innego przynieść ze sobą młotek. Śmierć musiała nastąpić natychmiast.

Pomięłam opis warunków środowiskowych na miejscu zbrodni – nie potrzebowałam wiedzy, jaka temperatura panowała wówczas na zewnątrz.

Pomięłam także relacje funkcjonariuszy, opis miejsca zdarzenia oraz „skali obrażeń”, a także informację o czynnościach śledczych, zaczęłam czytać dopiero przy wykazie dowodów.

Badania toksykologiczne nie wykazały alkoholu ani narkotyków we krwi ofiary. Jej kondycja nie była w żaden sposób nadwerężona do chwili, gdy została zaatakowana przez

niezidentyfikowaną postać, którą zarejestrowała kamera monitoringu z banku po przeciwnej stronie ulicy. Monitoring w schronisku był zepsuty.

Wśród świadków znalazł się ochroniarz, który twierdził, że słyszał krzyk jakiejś kobiety: „Nie, nie, nie, nie!”, kiedy wyszedł

na zewnątrz na papierosa, a zaraz potem Susan Rorke upadła z hukiem w odległości niespełna trzydziestu metrów od niego. Inni świadkowie – trzech mieszkańcy schroniska przebywający w izbie chorych – utrzymywali, że widzieli postać w kapturze, biegnącą korytarzem. Dwoje wolontariuszy, którzy przygotowywali w kuchni lunch, widziało tę samą postać opuszczającą budynek kilka minut po tragicznej śmierci Rorke.

Spojrzałam na zdjęcie samochodu Bennetta przejeżdżającego przez bramkę na autostradzie I-93 o godzinie 13.57 – czterdzieści minut po śmierci Susan Rorke – w drodze na spotkanie ze mną w Old Orchard Beach.

Wreszcie najbardziej obciążający dowód: DNA nasienia znalezionego w pochwie Susan Rorke odpowiadało DNA z ciała „Bennetta” dostarczonego do siedziby koronera na Manhattanie.

Wzięłam głęboki oddech. Bardziej mnie wówczas wzburzyło odkrycie, że Bennett spotkał się ze mną w Maine tuż po odbyciu stosunku z inną kobietą niż możliwość, że przyjechał do mnie po tym, jak ją zabił. Skoro ja byłam zazdrosna, czemu Samantha miałaby nie być? Raport zawiera nagranie rozmowy z numerem 911, pod który Susan zadzwoniła tydzień przed śmiercią. Zgłosiła policji, że poprzecinano jej opony w samochodzie. Tak działała Samantha, jeśli była tą „Sam”, o

ktorej opowiadał mi Bennett.

Kaptur i luźne ubranie skutecznie maskowały płęć sprawcy.

Bennett mógł spędzić poprzednią noc z Susan Rorke i przebywał w Bostonie w dniu, gdy została zabita, ale to nie stanowiło dowodu, że ją zamordował. Wiedząc, że sześćdziesiąt osiem procent wszystkich morderstw na kobietach popełniają ich mężowie lub partnerzy, policja z Bostonu skupiła się na Bennecie. Czyż nie postąpiłabym tak samo, gdybym mogła zachować bezstronność?

Tyle że nie mogłam. Z mojego doświadczenia wynikało, że gniew Bennetta wyrażał się nie w niszczeniu, lecz w kontrolowaniu. Ale może ktoś inny, ktoś lepiej zorientowany ode mnie, miał w związku z Bennetem inne doświadczenia? Na przykład jego była żona. Jeśli był zdolny do morderstwa, mogła o tym wiedzieć.

Złapałam autobus Hampton Jitney na Manhattanie, przy skrzyżowaniu Osiemdziesiątej Szostej z Trzecią Aleją, żeby zająć dobre miejsce. Podróżowanie na tej trasie jesienią nie było tak uciążliwe jak w sezonie, ale zwyczaj pozostał mi z dawnych lat, kiedy tłok na East Endzie mocno dawał mi się we znaki.

Planowałam wykorzystać drogę do Sag Harbor na moją ukończoną w trzech czwartych pracę magisterską. Według reklamy przejazd trwa dwie godziny, ale na autostradzie międzystanowej 495 zawsze panują godziny szczytu.

Usiadłam przy oknie w połowie autokaru i otworzyłam laptop. Po raz setny przejrzałam dane zbierane przez ponad dwa lata. Portale randkowe wykorzystują model oparty na podstawowym algorytmie – gromadzeniu informacji i szukaniu w nich powtarzających się wzorów.

Nawet system adopcji zwierząt domowych działa w taki sposób... tylko lepiej, bo więcej połączeń owocuje miłością.

Zwykle jednak popularne strony randkowe zadają powierzchowne pytania, zbyt ogólne, żeby dało się stworzyć jakikolwiek schemat: Lubisz filmy przygodowe/akcji czy komedie romantyczne? Wolisz plażę czy góry? Jakim zwierzęciem chciałbyś/chciałabyś być? Ja działałam na innej płaszczyźnie: zestawiałam pytania, które mogły być kierowane zarówno do potencjalnych ofiar, jak i potencjalnych drapieżników. Na przykład: „Lubisz, kiedy mężczyzna zamawia dla ciebie w restauracji, nie zapytawszy, na co masz ochotę? /

Lubisz zamawiać dla kobiety w restauracji?”; „Jesteś zadowolona, kiedy mężczyzna poświęca ci uwagę, często sprawdzając, co robisz? / Czujesz potrzebę częstego sprawdzania, co robi kobieta, z którą się spotykasz?”; „Pochlebia ci męska zazdrość? / Interesuje cię erotyczna przeszłość twojej kobiety?”; „Uważasz, że szczerść jest niezbędna?”. Przy wystarczającej ilości danych można wyłapać niespodziewane korelacje. Na przykład zajmująca się statystyką Amy Webb, szukając męża, odkryła, że „mężczyźni pijący szkocką natychmiast nawiązują do perwersyjnego seksu”.

Poważniejszego odkrycia dokonał psycholog sądowy Adrian

Raine. Doszedł do wniosku, że psychopaci mają jeden wspólny czynnik biologiczny – niski puls. Co oznacza, że potrzebują wysokiego poziomu ryzyka, żeby poczuć odpowiedni stopień podniecenia. Doktor Raine odkrył również, że psychopaci działający z powodzeniem – czyli ci, którzy nie dają się złapać – potrafią podwyższyć sobie puls na tyle, by zachować ostrożność.

Gorzej się wiedzie psychopatom, którzy nie doświadczają znaczącego przyśpieszenia pulsu – dążąc do osiągnięcia stanu podniecenia,

uciekają w brawurę i zostają schwytani.

Nie wszyscy socjopaci są psychopatami. I nie chodzi jedynie o stopień zaburzenia. Psychopaci wykazują skłonności do

stosowania przemocy, natomiast u socjopatów bywa z tym różnie.

W zachowaniach przestępczych psychopata zostawia wskazówki, podczas gdy socjopata działa tak, by zminimalizować ryzyko wykrycia. Najtrafniejsza w moich badaniach była teza, że psychopata nie jest w stanie utrzymywać normalnego związku, natomiast socjopata może się wydawać pozornie normalny, choć w istocie funkcjonuje jako ludzki drapieżnik.

Definicje kliniczne podają rozróżnienie polegające na zdolności do odczuwania empatii – według powszechnej opinii psychopaci nie odczuwają jej w ogóle, natomiast socjopaci doświadczają ograniczonej formy empatii, ale wolą ją ignorować.

Psychopaci, w przeciwieństwie do socjopatów, są pozbawieni lęku.

Psychopaci nie odróżniają dobra od zła, socjopaci odróżniają, choć to nie zmienia ich zachowania. Bennett był socjopatą, skoro okłamywał tak swobodnie i całkowicie mnie i wszystkich innych.

Był psychopatą, jeśli zabił Susan Rorke, a następnie przyjechał do Maine, żeby spędzić romantyczny weekend ze mną.

Moja teoria zawierała śmiałą tezę: zarówno socjopatom, jak i psychopatom może brakować empatii, ale socjopaci są świadomi uczuć innych ludzi na tyle, by widzieć, co ich omija – miłość. I chcą jej zaznać. Szukają w swoich ofiarach dobroci i słabości (Speck zabijający pielęgniarki, Bundy proszący o pomoc), ponieważ tam, gdzie dobroć, często jest też miłość.

Praca umysłowa była dobrą odskocznią od myślenia o spotkaniu z Pat Loewi, z którą umowiłam się poprzedniego wieczoru. Powiedziałam, że mam informacje o jej mężu i pragnę z nią porozmawiać. Wyczułam jej wahanie, więc zaproponowałam, że do niej przyjadę, a ona się zgodziła. Rozpoznałam ją, zanim wysiadłam z autobusu, ponieważ uprzedziła, że przyjdzie z psem.

Wśród oczekujących były dwie kobiety trzymające psy na smyczy: postawna amazonka w bryczesach i butach do konnej jazdy

szarpiąca się z retrieverem oraz ta właściwa – nie miałam wątpliwości – była żona Bennetta. Drobnej budowy, ubrana w luźną kurtkę, dzinsy i wellingtony. Miała kręcone rude włosy do ramion, z widocznymi siwymi odrostami. Przy jej nodze siedział zadbane, potężny rottweiler.

Trzymała smycz obiema rękami.

– Audie musi cię poznać, zanim pozwoli się dotknąć.

Powitała mnie raczej chłodno, a do tego przyprowadziła

wsparcie. Ruszyliśmy wolno z przystanku przy Main Street, oddalając się od

nabrzeża. Szłam po prawej stronie Pat, bo lewą zajmowała Audie. Podziękowałam Pat za to, że zgodziła się ze mną spotkać. W milczeniu minęliśmy kilka sklepów dla turystów.

– Pomyślałam, że możemy zabrać Audie na spacer do

Havens Beach – przemówiła w końcu. – Jakies piętnaście minut drogi stąd.

Przyjęliśmy swobodne tempo marszu; po przejściu kilku

przecznic okazałam, że potrzebuję kawy i mogę kupić też dla niej. Odparła, że nie pije kawy, ale kiedy zaproponowałam, że w takim razie przyniosę jej herbatę, dodała, że pije wyłącznie zieloną, a delikatesy, do których zamierzałam wstąpić, takiej nie mają. Weszłam więc sama i po paru minutach wrociłam tylko z kawą.

Szłyśmy dalej główną ulicą, aż w końcu Pat skręciła w lewo, na spokojną drogę między domami. Wszystko, co chciałam

powiedzieć i o co chciałam zapytać, wydawało się zbyt trudne do wyrażenia.

Aczkolwiek moment na przekazanie takich wiadomości nigdy nie jest odpowiedni.

Mimo to pomyślałam, że zaczekam, aż znajdziemy się na plaży.

Havens Beach poza sezonem była prawie pusta. Kilka

puszczonych wolno psow wskakiwało w łagodne fale zatoki, by bardzo szybko uciec z powrotem na plażę. Bałam się, że Pat spuści ze smyczy swoją sukę i rzeczywiście to zrobiła. Audie uparcie wachała moją torebkę... w której tak często zdarzało mi się nosić psie smakołyki.

– Po prostu nie zwracaj na nią uwagi – poradziła Pat.

Wyrzuciłam z siebie, że jej były mąż nie żyje.

– Nigdy nie byliśmy małżeństwem.

Samantha mnie okłamała, czy naprawdę nie wiedziała o tym?

Audie stanęła nagle u boku swojej pani i wbiła we mnie

wzrok. Mimo iż Pat nie podniosła głosu, pies wyczuł napięcie i przybrał postawę obronną.

Opowiedziałam jej o okolicznościach śmierci Bennetta.

Powiedziałam, że byłam z nim wówczas zaręczona. Powiedziałam, że nie byłam jedyną kobietą, z którą był wtedy zaręczony i że inna jego narzeczona została niedawno zamordowana, być może przez dawnego kochanka Pat.

Uznałam, że takie wprowadzenie wystarczy.

– Nie lubił psow, a psy nie lubiły jego. – Pat sprawiała

wrażenie spokojnej, natomiast Audie wyraźnie się ożywiła, odgadując – jak zakładałam – prawdziwe odczucia swojej pani.

Czekałam, aż Pat powie coś więcej. Podniosła z piasku kawałek szkła wygładzony przez morze i uważnie go obejrzała. – Zatem wcale się nie zmienił. Tylko dwie narzeczone?

– Nie wygląda pani na zaskoczoną.

– Żył według własnych zasad. Ale morderstwo to coś

nowego.

Audie wbiegła do wody.

– Policja uważa, że to zrobił – powiedziałam.

– A pani nie?

– Sama nie wiem. – Nie zauważyłam powrotu Audie, dopoki nie otrząsnęła się z wody tuż obok mnie.

– Wiem, że nie reaguję tak, jak pani się spodziewa. Ale to przez tego człowieka.

– Jak długo pani z nim była?

– Wystarczająco długo, żeby wykoleił mi życie. A pani?

– Ja się wywinęłam. Z grubsza. – Nie chciałam się z nią licytować. Chciałam się dowiedzieć, co jej zrobił.

– Prowadziłam dodatkowe zajęcia z malarstwa.

Przeprowadzałam rozmowy wstępne ze studentami, którzy chcieli się zapisać, i wtedy ten zarozumiały dzieciak w obcisłych dżinsach i białym podkoszulku spytał sekretarkę, czy jest miejsce w mojej grupie. Byłam zajęta rozmową z innym studentem. Ten dzieciak – wyglądał na jakieś dwadzieścia jeden lat – nie mógł albo nie chciał czekać na swoją kolej. Kiedy się odwrócił do wyjścia, szepnęłam do sekretarki: „Dla niego zawsze znajdzie się miejsce na moich zajęciach”. Mówiłam szeptem, ale akustyka w pomieszczeniu sprawiła, że usłyszał; zobaczyłam, że się zatrzymał. Byłam od niego dwanaście lat starsza, ale od tamtego momentu za mną latał.

– Malowałam wtedy, szukałam galerii. Z wielkim entuzjazmem mówił o mojej pracy i twierdził, że w przyszłości otworzy własną galerię. Biologiczny zegar nie tykał, ale

zawodowy owszem. Zna pani ten stary dowcip, jak powstał

Holland Tunnel: dali artystom z New Jersey łyżeczki i obiecali, że pierwszy, który się przekopie na Manhattan, dostanie swoją galerię. Potrzebowałam lat, żeby zrozumieć, co on we mnie widział: okazję. Nie miał pieniędzy. Miał natomiast wyjątkowy urok osobisty... i oczarował mnie tak, że zapomniałam o wszystkim, na czym mi zależało.

Szłyśmy równym krokiem po twardym piasku, na zmianę rzucając Audie patyk do aportowania.

– O ironio, nie zdając sobie z tego sprawy, nauczyłam go wszystkiego, czego potrzebował. A kiedy wiedział już o sztuce dość, żeby docenić wartość obrazów mojego dziadka, ukradł

jedyne dwa jego płótna, które posiadałam. Zrobił sobie z nich pożegnalny prezent.

– O Boże.

– Już jest lepiej. Poczulałam się zraniona, że nie ukradł moich prac.

– Zranił wiele z nas, i to mocno.

– O ilu kobietach mówimy?

– Wiem o czterech, łącznie ze mną. Jednocześnie, nie po



kolei.

Parsknęła śmiechem. Audie jakby dostosowała się do zmiany nastroju swojej pani, padła grzbietem na piasek i machała łapami w powietrzu, a potem wstała i dokładnie się otrząsnęła. Cały czas szłyśmy pod wiatr; w pewnym momencie równocześnie, jak na komendę, zrobiliśmy w tył zwrot. Pat spytała, czy chciałabym zobaczyć jej pracownię.

Po kolejnych dwudziestu minutach spaceru skręciła w wąską gruntową drogę biegnącą przez las. Mimo chłodu bałam się

kleszczy, nie miałam pojęcia, w jakiej temperaturze przestają być groźne. Szłyśmy wśród dębowych i sosnowych zarośli, po

piaszczystym podłożu. Żałowałam, że włożyłam porządne skorzane botki; w lesie nie porządkowano zniszczeń po sztormach, więc musieliśmy się przedzierać przez połamane konary.

Pat urządziła swoją pracownię w zniszczonej stodole ze srebrnego cedru, wielkości garażu na trzy samochody, ze starymi przesuwными drzwiami zamykanymi na ciężką sztabę. Po

ustawieniu właściwej kombinacji na kłódce, w prawo, w lewo i znow w prawo, Pat napała całym ciężarem ciała na drzwi i je rozsunęła. Pacnęła dłonią w ścianę, gdzie znajdował się kontakt, i wewnątrz zalało ostre, jarzeniowe światło. Pomieszczenie było znacznie większe, niż wydawało się z zewnątrz.

Spodziewałam się typowych pejzaży morskich, tymczasem ku swemu zdumieniu ujrzałam fotograficzne akty Pat, naturalnej wielkości, do których pozowała z zakrwawionym sercem trzymanym przy lewej piersi.

– Bez obaw, to serce świni.

Czy się obawiałam? Teraz już tak. Na zdjęciach wyglądała na dziesięć lat młodszą od kobiety stojącej obok mnie. Pat jednym słowem uprzedziła wszelkie komentarze, jakie cisnęły mi się na usta.

– Tak, wiem, nie są zbyt subtelne. Zrobiłam je zaraz po jego odejściu, a wyciągnęłam po tym, jak wczoraj pani zadzwoniła. –

Wskazała drugą ścianę. – A to moje ostatnie prace.

I oto zobaczyłam morskie pejzaże, z zastygłymi grafitowymi falami. Gdyby Vija Celmins nie zrobiła tego pierwsza, można by mówić o jakimś dokonaniu. Autorka obrazów, na które patrzyłam, dodawała swoje do tego, co już istniało, zamiast tworzyć nową jakość. Wyglądało na to, że Bennett skradł jej także wene.

Zaparzyła dla nas zielonej herbaty, a potem dała Audie do gryzienia ogromny wędzony gnat. Nie mogłam uwierzyć, że Pat nie dostrzega upiorności sytuacji po tym, co jej powiedziałam o śmierci Bennetta. Skrobanie psich zębów o kość działało mi na nerwy.

Jakby tego było mało, z zewnątrz dobiegł hałas,

przypominający trzask gałęzi pękających pod butami. Audie rzuciła się do okna, zaczęła szczeleć i powarkiwac. Przy

zapalonych w środku światłach i mroku na zewnątrz ani Pat, ani ja nie byliśmy w stanie niczego dojrzeć. Audie skakała na szybę; bałam się, że szkło nie wytrzyma i pęknie. Rozejrzałam się po pracowni w poszukiwaniu ewentualnej kryjówki. Stałam na jasno oświetlonej, otwartej przestrzeni. Byłam bliska paniki, natomiast Pat zachowała zdumiewającą obojętność.

– Przy tym cyklu przerzuciłam się na akryle. Nie wiem, czy faktura aż tak mi odpowiada, ale jestem zbyt niecierpliwa, żeby czekać, aż olej wyschnie.

– Audie zawsze tak się zachowuje? Może wyjdziemy na zewnątrz?

– Szop próbuje wejść do śmietnika, albo kojot. Tak czy inaczej, nie wypuszczę Audie. Drugiego psa w zeszłym tygodniu zagryzły kojoty.

– O Boże, bardzo mi przykro.

– To znaczy sąsiedzi uważają, że kojoty, ale ja nie jestem tego taka pewna.

– A co innego mogło się zdarzyć?

– Audie, dosyć! – Pies w końcu odszedł od okna, wydając z siebie głuchy pomruk. Pat podeszła do ściany, na której wisiały nagie portrety. Popatrzyła na swoje młodsze wcielenie.

– Wiem, jak się naprawdę nazywał – oznajmiła.

Zaschło mi w ustach.

– Jak?

– Ta wiedza kosztowała mnie pięć tysięcy.

Oczekiwałam, że będzie kontynuować, ale milczała; przyszło mi do głowy, że może spodziewa się ode mnie zapłaty za tę informację.

– Wynajęłam prywatnego detektywa, żeby odnalazł obrazy mojego dziadka. Odkrył, że zostały wystawione na aukcję w Katarze za ponad milion dolarów. Twierdził, że sprzedający zachował anonimowość. Zdołał jednak ustalić, że pochodził z Maine.

– Powiedziała pani, że zna jego prawdziwe imię i nazwisko.

– Wiem, że zaczynał jako Jimmy Gordon. Detektyw nie odnalazł obrazów, ale dał mi adres matki Jimmy’ego.

– Jaka była?

– Nigdy nie skontaktowałam się z tą kobietą. Dlaczego miałabym ją wpuścić do swojego życia?

– Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym ja się z nią skontaktowała?

– Proszę ją zapytać, gdzie są obrazy mojego dziadka.

Zaniosłam puste kubki do zlewu w kącie pracowni. Audie obserwowała mnie ze swojego legowiska. Okrążyłam ją szerokim łukiem. Spytałam Pat, czy przed wyjściem mogę skorzystać z łazienki.

– W pracowni nie ma łazienki. Po prostu wychodzę do lasu.

Podziękowałam za herbatę i za poświęcony mi czas.

Pat spytała, czy mam aktualne zdjęcie Bennetta.

Wyciągnęłam sfatygowaną połówkę fotografii, którą wciąż ze sobą nosiłam.

Spojrzała i od razu mi zwrociła.

– Wciąż nieodgadniony. A ta fryzura... Jezu.

Chciałam jej zadać jedno pytanie: Czy uważała go za

zdolnego do morderstwa?, ale nie uwierzyłabym w szczerą odpowiedź.

Pat rozsunęła drzwi na tyle, abym mogła się przecisnąć i

zamknęła je natychmiast, gdy tylko znalazłam się na zewnątrz. Na niebie wisiała jedynie ćwiartka księżyca, nigdzie nie było widać innych światła. Już po dziesięciu krokach zboczyłam z wąskiej ścieżki. Wymacałam w torbie chusteczkę higieniczną i przykucnęłam. Załatwiałam się, myśląc z przerażeniem o trującym bluszczu, kleszczach, węzach, pająkach i kojotach. Podciągnęłam spodnie. Słyszałam dobiegające z pracowni wściekłe ujadanie Audie; miałam nadzieję, że pozostanie zamknięta w środku.

Ruszyłam przed siebie, z nadzieją, że wkrótce się stąd

wydostanę. Wystająca gałąź podrapała mi policzek do krwi, nadwreżyłam sobie kostkę, wpadłam twarzą w pajęczynę,

poruszałam się po omacku. Dodawałam sobie w duchu otuchy, próbując opanować panikę. Nadstawiałam uszu, żeby wyłapać odgłosy samochodów na drodze. Słyszałam jedynie szczekanie.

Gwiazdy zniknęły za chmurami, co nie znaczy, że potrafiłam się nimi kierować przy wybieraniu trasy. Znalazłam w torbie komórkę i próbowałam złapać sygnał, ale byłam poza zasięgiem.

Dlaczego nie ściągnęłam sobie aplikacji latarki?

Zbyt lekkie ubranie nie chroniło mnie przed wilgotnym

chłodem. Nagle doznałam olśnienia: znajdź brzeg morza, on wskaże ci drogę.

Próbowałam wyczuć jakikolwiek inny zapach poza aromatem otaczających mnie sosen. Albo doznałam halucynacji węchowych, albo rzeczywiście wychwycałam ledwie wyczuwalny powiew morza.

Podążałam w tamtą stronę, ale po paru minutach straciłam

trop i krotkotrwłą pewność siebie. Usłyszałam dźwięk taki sam jak wcześniej w pracowni – gałązki łamanej pod butem. Opuściły mnie resztki opanowania. Starłam się oddalić od źródła tego dźwięku najszybciej jak mogłam, ale nie dość szybko. Gdy usłyszałam go ponownie, powiedziałam na głos: „Naprawdę?”.

Odgrywałam najbardziej oklepaną scenę z niezliczonych horrorów: samotna kobieta ucieka przed nieznanym drapieżnikiem w

ciemnym lesie. Kto był drapieżnikiem? Audie? Kojoty? Pat?

Samantha? Osoba podszywająca się pod Susan Rorke? W tym

momencie przypomniałam sobie cytaty z książki Helen Keller:

„Unikanie zagrożenia na dłuższą metę wcale nie jest bezpieczniejsze niż stawianie mu czoła. Lękliwi wpadają w sidła równie często, jak odważni”. Jeśli przejście przez życie ślepy i głuchy nie nauczy człowieka wszystkiego o lęku, nic nie jest w stanie go tego nauczyć.

Serce zwolniło swój rytm, wzięłam głęboki oddech i podążałam dalej w kierunku, gdzie mogło być morze. Po

krzepiącym zdaniu Helen Keller przyszyły mi do głowy słowa Cilli:

„Ciekawość pokonuje strach jeszcze lepiej niż odwaga”. Brnąc przed siebie w ciemnościach, zadałam sobie wreszcie pytanie, które nurtowało mnie do tego momentu. Nie chodziło o to, czy Bennett był zdolny do morderstwa. Pytanie brzmiało: Jak to możliwe, że go kochałam?

Poczułam zapach morza. Co więcej, zobaczyłam jaśniejszy

horyzont i przypomniałam sobie, że woda zawsze odbija światło z otoczenia. Zaraz potem usłyszałam plusk fal.

Wiedziałam dokładnie, gdzie jestem.

## 16

Wysiadłam z metra linii C przy Siedemdziesiątej Drugiej, żeby przejść ostatnie dwadzieścia przecznic przez park i oczyścić umysł przed spotkaniem z Cillą. Na mozaice „Imagine” w

Strawberry Fields, będącej hołdem dla Johna Lennona, leżały pojedyncze róże. Poprzedniego wieczoru wstukałam w internecie hasło Jimmy Gordon. Nie było nic o Jimmym Gordonie, którego szukałam, co mnie nie zdziwiło – zaginał w 1992 roku w wieku siedemnastu lat. Udało mi się znaleźć jedynie kota rasy maine coon o imieniu Jimmy Gordon, mającego własną stronę internetową, oraz osławionego perkusistę rockowego Jimmy’ego Gordona, który koncertował z Johnem Lennonem, Dylanem i Beach Boysami, zanim aresztowano go za zadżganie nożem własnej matki.

Stanąłam w kolejce, aby kupić butelkę wody u parkowego sprzedawcy i zobaczyłam, jak wyławia parówkę do hot doga z garnka z wrzącą wodą, której nie będzie wymieniał

prawdopodobnie aż do wiosny. Kiedy podał mi butelkę, wręczyłam mu dwie monety.

– Trzy dolary – upomniał mnie ostro.

Minęłam hałaśliwy plac zabaw, pełen dzieci pilnowanych przez nianie, po czym weszłam do The Rambles, jedynej części parku, w której często się gubiłam. Mimo że ścieżki na zalesionych pagórkach czasami kończyły się skałą lub strumieniem, przyroda w tym miejscu nigdy nie budziła moich obaw. W Central Parku nikt nie zostanie zaatakowany przez stado kojotów ani obrzydliwego pająka – to ludzie stanowią zagrożenie. Wystarczy przypomnieć Roberta Chambersa, wymuskanego mordercę, który niedaleko stąd zabił nastoletnią dziewczynkę, albo członków młodzieżowego gangu oskarżonych o napad i próbę zabójstwa biegacza w Central Parku. Ich wyroki zostały unieważnione, kiedy do napadu przyznał się Matias Reyes, gwałciciel i morderca odsiadujący dożywocie za inne przestępstwa.

Przed wyjściem do Cilli zadzwoniłam do biura koronera, by zidentyfikować ciało „Bennetta”. Zadzwoniłam również do

detektywa z Bostonu i podałam mu prawdziwe nazwisko

„Bennetta”. Przyjął informację beznamietnie; miałam ochotę mu wytknąć, że być może dla niego ta sprawa jest zamknięta, ale nie dla mnie. Powiedziałam mu po raz kolejny o swoich obawach dotyczących Samantha. Poprzedniego dnia czułam, że nie jestem sama w lesie, jedyną zaś osobą, która wiedziała o mojej wizycie u Pat, była Samantha. Nie dysponowałam jednak żadnymi dowodami.

Gabinet Cilli mieścił się na parterze budynku przy

Osiemdziesiątej Siodmej Zachodniej. Zadzwoniłam domofonem, a potem

siedziałam w poczekalni, dopoki nie wyszedł poprzedni pacjent. Sięgnęłam po buddyjskie czasopismo „Tricycle” i przeczytałam fragment artykułu „Sztuka popełniania błędów”.

Leżał tam również magazyn „Rolling Stone” – uśmiechnęłam się na myśl o mojej pani doktor, śpiewającej w chorku Lou Reeda.

Chociaż widziałyśmy się zaledwie tydzień wcześniej, przez ten czas sporo się wydarzyło. Zająłam miejsce na sofie i nie czekałam, aż Cilla zapyta mnie o samopoczucie.

Opowiedziałam jej o Samancie i Pat.

– Czy Bennett wybierał nieszczęśliwe, niepewne siebie kobiety, czy sam je takimi czynił? – zastanawiałam się na głos.

– Doświadczony socjopata omota każdą kobietę – odparła Cilla. – Czy nie to właśnie ma udowodnić pani praca magisterska?

– Teraz nie jestem już pewna swoich racji.

– Uważa pani, że Bennett zmienił panią jako osobę? – zapytała Cilla.

– Jak mogłam być tak ślepa? W którym momencie

rozstrzygnięcie wątpliwości na korzyść drugiej osoby prowokuje niebezpieczne zachowania? Czy powinnam była się domyślić, kiedy nie chciał mi pokazać swojego mieszkania? Albo kiedy nie chciał poznać moich znajomych? – Zdałam sobie sprawę, że siedzę na brzegu sofy. – Słabość Pat polegała na tym, że pragnęła osiągnąć sukces jako artystka. A moja? Musiałyśmy być do siebie podobne w jakiś pokręcony sposób. Co nas łączyło?

– Musiało was coś łączyć?

– Wszystkie dałyśmy się nabrać – przypomniałam Cilli.

– Uważa pani, że powinna zastąpić zaufanie podejrzliwością?

– Na to wygląda. Nie chciałabym, aby to zabrzmiało niepoważnie. Nie chcę być cyniczna ani zgorzkniała. Ale muszę to zrozumieć.

Dlatego mam zamiar zobaczyć się z jego matką.

– Poznała już pani jego tożsamość? – spytała Cilla.

– Wiem od Pat, że naprawdę nazywał się Jimmy Gordon.

Powiedziała mi, gdzie znajdzie jego matkę.

– Czego pani się spodziewa po spotkaniu z jego matką?

– Może będzie chciała zabrać ciało.

– Nie, nie... Co pani będzie miała z tego spotkania?

– Wszystko, czego się dowiem, będzie lepsze od tego, co sobie wyobrażam.

Nagle w pełni zrozumiałam powagę sytuacji.

– To zadanie dla pani, czy raczej dla policji? – drażnyła Cilla.

– Dla policji sprawa jest zamknięta – odparłam. – Zabił

Susan Rorke. Moje psy zabiły jego.

– A co ze studiami? Kontynuujecie swoje badania?

– To są moje badania. Powiedziałyby mi pani, gdybym zachowywała się irracjonalnie, prawda? To znaczy, gdybym się myliła?

– Ma pani wyczucie. Proszę zaufać intuicji.

Po powrocie do Williamsburga wysiadłam z metra na

Lorimer Street potwornie głodna. W sklepie Bagelsmith na rogu kupiłam sobie „kanapkę ojca chrzestnego” z włoską kiełbasą, salami i pieczoną czerwoną papryką. Szłam wolno, bo akurat nie było wiatru. Zdążyłam zjeść poł kanapki, kiedy zobaczyłam małego białego pieska, bez smyczy, biegnącego ulicą. Rozejrzałam się za właścicielem, ale zobaczyłam tylko parę młodych ludzi, którzy wołali za psiną. Przykucnęłam na chodniku i wyciągnęłam z kanapki kawałek salami. Cmoknęłam kilka razy, próbując zwrócić na siebie uwagę pieska. Ulicą jechała ciężarówka, więc wyskoczyłam przed nią, machając rękami, żeby się zatrzymała.

Piesek nadal gnał przed siebie. Bałam się, że dojdzie do tragedii.

Wtedy jakiś mężczyzna zsiadł z roweru i powoli podszedł do psa, nie patrząc na niego. Przypomniałam sobie, że tak wzbudza się zaufanie u bezdomnego psa – unikając kontaktu wzrokowego.

Uniosł rękę i klepnął się w udo, jakby machał ogonem – najwyraźniej wiedział, że machnięcie od prawej do lewej wyraża przyjazne nastawienie, podczas gdy ruch w przeciwną stronę to zapowiedź agresji. Zaczynałam sobie przypominać zasady postępowania w takich sytuacjach. Podeszłam bliżej i dopiero wtedy rozpoznałam McKenziego.

– Hej! – zawołałam. – Wiesz, czyj to pies?

– Poczekaj chwilkę. – Poprosił, żebym podała mu swoją kanapkę.

Połowę kanapki położył kawałek dalej na chodniku.

Następnie usiadł i powiedział, żebym się nie ruszała. Para młodych ludzi, zorientowawszy się, że rowerzysta dobrze wie, co robi, z zaciekawieniem obserwowała sytuację, która mimo wszystko miała szansę zakończyć się szczęśliwie.

Psiak schował się pod zaparkowanym samochodem.

Usiadłam obok McKenziego i czekaliśmy. Żadne z nas się nie odzywało. Upłynęło pięć minut, po czym biały piesek wyczołgał

się spod auta i pochłonął kanapkę w dwóch kęsach.

Amator zapewne w tym momencie pochwyciłby psa,

tymczasem McKenzie rozpiął plecak, wyjął zniszczoną linkę i szybko zawiązał pętlę na jednym końcu. Delikatnie założył ją psu na szyję, cały czas przemawiając do niego cichym, przyjaznym tonem. Psiak wyglądał, jakby czuł ulgę, a nie stres z powodu złapania w pułapkę.

W końcu McKenzie spojrzał na mnie.

– Od poł godziny powinienem być na spotkaniu – powiedział. – Możesz wziąć tego pieska do siebie, zanim znajdziemy mu dom zastępczy?

Dwa moje psy były na przymusowej kwarantannie w schronisku, ale po prostu musiałam zabrać tę znajdę ze sobą. Wyjęłam prowizoryczną smycz z ręki McKenziego.

– Zadzwoń później – obiecał.

Biały piesek szarpnął smyczą, by pobiec za nim.

– Zostajesz ze mną, mała – oznajmiłam. Oczywiście miałam w domu mnóstwo psiego jedzenia. Po raz pierwszy od dnia śmierci Bennetta w moim mieszkaniu znowu miał być pies.

Zaniosłam suczkę do domu, napełniłam jedną z psich misek zimną wodą, do drugiej nasypałam psiej karmy. Psina od razu zabrała się do jedzenia. Lubię odgłosy wydawane przez jedzącego psa. Usatysfakcjonowana posiłkiem wskoczyła mi na kolana tak lekko, że ledwie poczułam. Gładziłam ją łagodnie między łopatkami, próbując wymacać mikroczip wielkości ziarnka ryżu.

Wyczuwałam tylko kręgi. Nie mogła ważyć więcej niż sześć kilogramów. Przygotowałam kąpiel w kuchennym zlewie i włożyłam małą brudaskę do ciepłej wody. Nie protestowała, odniosłam nawet wrażenie, że mycie delikatnym szamponem

sprawia jej przyjemność. Wytarłam ją ręcznikiem i wtedy przyszło mi do głowy imię. Wielkie czarne oczy wyglądały jak oliwki, dlatego tak właśnie ją nazwałam. Wieczorem przekonałam Olive, żeby poszła ze mną do sypialni. Kiedy obudziłam się po północy, spała mi na piersiach. Musiałam przewrócić się na bok; poruszyłam się ostrożnie, żeby jej nie zbudzić.

Rano, kiedy leżałam jeszcze w łóżku, zadzwonił McKenzie i oznajmił, że znalazł przytulisko gotowe wziąć przybłądę.

– Na razie ja mogę zająć się Olive – odparłam.

McKenzie się roześmiał.

– Olive? Chcesz ją teraz przygarnąć? W poniedziałek mamy przesłuchanie.

– Przesłuchanie jest w poniedziałek niezależnie od tego, czy ją zatrzymam, czy nie – odparłam. – Jak bardzo mam się martwić?

– Udało ci się przekonać sąsiadkę z dołu, żeby wystąpiła jako świadek?

– Powiedziała, że nie chce tego psa mordercy z powrotem w domu.

– No tak, szanse były marne. Podejrzewam, że nie zgodzisz się podlewać jej kwiatków, kiedy wyjedzie na wakacje.

– Ile tego rodzaju spraw wygrywasz? – zapytałam.

– Za mało.

– Ale mimo wszystko się nie poddajesz.



– Chodzi nie tylko o wyniki poszczególnych spraw. Za pomocą prawa mogę próbować zmienić sposób traktowania zwierząt.

Jego prosty wywód mnie uspokoił. Jeszcze raz podziękowałam za pomoc. Kiedy się rozłączył, sprawdziłam w internecie stronę FidoFinder z ogłoszeniami o zaginionych psach.

Kliknęłam na „zagubiona”, „biała”, „mała” i wpisałam swój kod pocztowy. Byłam przygotowana na rozdzierające historie, ale żaden z opisów nie pasował do suczki, którą przygarnęłam.

Wydrukowałam ulotki z nagłówkiem „Znaleziono”. Na portalu zalecano umieszczenie ogłoszeń w promieniu kilometra od miejsca znalezienia psa. Wzięłam ze sobą Olive i rozwiesiłam ulotki w okolicy. W drodze do domu przykleiłam ostatnią koło parku McCarrena. Jakaś kobieta przeniosła swojego szczeniaka nad płotkiem wybiegu dla psów i wsadziła pomiędzy bawiące się zwierzaki, po czym wyjęła go z powrotem, jak torebkę herbaty.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Billie, aby przypomnieć jej o poniedziałkowym przesłuchaniu i opowiedzieć o swojej wizycie u Pat. Lubiłam opowiadać Billie o tym, co się wydarzyło: każda potworna rzecz, jaką jej referowałam, stawała się opowieścią, przekształcała w historię i dzięki temu nabierałam do niej – choćby pozornego – dystansu. Jak w czasach, kiedy z Kathy grywałyśmy w grę zwaną „On naprawdę myśli, że...”. On naprawdę myśli, że może do mnie dzwonić w Wigilię, żebym spotkała się z nim na drinka. Tego rodzaju rzeczy. Wystarczy zmienić coś, co nas denerwuje, w grę albo historię i zostawić to za sobą, czasem nawet w ogóle przestaje nam to przeszkadzać.

Powiedziałam Billie, że Pat wystawiła serię swoich nagich autoportretów ze świńskim sercem nad lewą piersią.

– Nie chciałabym być muzą tej dziewczyny – stwierdziła.

– I jeszcze ten rottweiler – dodałam. – Startuje jak rakietę na najłżejszy dźwięk z zewnątrz. Rzuca się na szyby.

Kiedy powiedziałam Billie, że przygarnęłam psią przybłądę, odpowiedź zbiła mnie z tropu.

– Nie powinnaś raczej myśleć o własnych psach?

– Myślę o nich cały czas – zapewniłam. Dotknął mnie jej surowy ton.

Zignorowałam sygnał rozmowy przychodzącej; Billie musiała się zorientować, że nie odbieram, żeby się z nią nie rozłączać – co miało oznaczać wyciągnięcie ręki na zgodę.

Zadziało i znowu rozmawialiśmy swobodnie. Powiedziała mi, że poprosiła Enrique, etatowego pracownika schroniska, o sporządzenie opisu charakterów moich psów. W słuchawce znowu zapiszczało i

tym razem Billie zasugerowała, żebym odebrała.

– Do zobaczenia w poniedziałek na przesłuchaniu – rzuciła na pożegnanie.

Odebrałam i natychmiast tego pożałowałam.

– Słyszałam, że spotkałaś się z Pat – zaatakowała mnie Samantha.

Sformułowanie oczywistego pytania zajęło mi dłuższą chwilę.

– Skąd wiesz?

– Pokazała ci swoje nagie zdjęcia? Wszystkim je pokazuje.

To pieprzone świńskie serce?

Moje własne serce przyśpieszyło.

– Czy żaliła się też, że jej eks ukradł obrazy jej dziadka?

Sama mu zleciła ich sprzedaż, a to przecież nie jego wina, że dom aukcyjny jej nie zapłacił.

Najwyraźniej próbowała mnie rozdrażnić. Jej słowa sprawiły, że poczułam się wyczerpana. Nie chciałam znajomości z chorą psychicznie osobą, potencjalną zabojczynią. Chciałam pomocy.

Chciałam, żeby ta wariatka zostawiła mnie w spokoju. Jednak naprawdę przerażało mnie to, co miałyśmy ze sobą wspólnego. Jak należało prowadzić taką rozmowę? Albo jeszcze lepiej, jak ją zakończyć? Przyjęłam uległą postawę, aby nie rozwścieczyć kobiety, która pojechała za mną do Sag Harbor. Bo jak inaczej dowiedziałyby się o mojej wizycie? Pat, którą poznałam, nie zadzwoniłaby do Samantha.

– Widziałam świńskie serca – powiedziałam na tyle

neutralnie i spokojnie, na ile było mnie stać. *Widziałam świńskie serca.*

– Pat go obwinia, uważa, że zniszczył jej karierę – ciągnęła Samantha. – Ha! Kto chciałby powiesić sobie świńskie serce nad kanapą?

– Ja na pewno nie.

– Chyba się nie wygadałaś, że to ja ci o niej powiedziałam? –

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodała: – Ożenił się z nią, bo udawała, że jest w ciąży. Tylko dlatego.

– To kobiety nadal tak robią? – zapytałam, wiedząc, że nie było żadnego ślubu. – Jak postąpił Bennett, kiedy się zorientował, że kłamała?

– Tak samo jak wówczas, gdy później zrozumiał, że udawała poronienie... Było mu jej żal.

Wiedziałam, że litość jest nacechowana wyższością. Bennett nie był zdolny do empatii.

– Nadal uważa, że ona się na niego uwzięła – powiedziała Samantha.

Czas terażniejszy, którego użyła, wytrącił mnie z równowagi.

Nie zamierzałam brać udziału w tym szaleństwie. Kiedy Samantha rzuciła

słuchawką, poczułam jedynie ulgę. Była psychicznie chora albo niebezpieczna, albo jedno i drugie. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

Było piątkowe popołudnie, a ja nie miałam żadnych planów na weekend. Jeszcze rok temu czułabym się przygnębiona z tego powodu, ale teraz cieszyła mnie perspektywa wolnych dni.

Potrzebowałam poczuć się zwyczajną kobietą, której nie czeka przesłuchanie w sądzie ani nie martwią pozostałe narzeczone zamordowanego narzeczonego. Wzięłam Olive na rękę.

– Chcesz iść ze mną na lunch? – zapytałam.

Włożyłam ją do torby, zapomniawszy o schowanych w środku psich smakołykach. Nic dziwnego, że Olive od razu świetnie się tam poczuła. Do Święta Dziękczynienia pozostało zaledwie kilka dni, na ulicach pojawiały się już bożonarodzeniowe ozdoby. Obiecałam Stevenowi, że przyniosę ciasto, skierowałam się więc do cukierni Blue Stove na Graham Street, by złożyć zamówienie.

Powietrze było mroźne i przejrzyste, a niebo białe, jak zwykle zimą w Nowym Jorku. Postanowiłam kupić coś ładnego do domu i zajrzałam do sklepu Future Perfect. Zlustrowałam wzrokiem półki: otwieracz do butelek w kształcie pojedynczego gwoździa wbitego w deskę (18,99 \$), tekturowe stoliczki wykonane w taki sposób, że wyglądały jak stos drewnianych skrzynek (59,99 \$). Przeszłam obok czarnej, geometrycznej lampy wiszącej, z czymś w rodzaju galaktyki widocznej w środku (12

500 \$). Była też czarna poduszka na kanapę z aplikacją przypominającą kłęb dymu (270 \$). Wiedziałam już, że nie ma tu niczego na moją kieszeń. Wstąpiłam do second-handu Mystery Train, ale nie mieli poduszek, tylko ubrania. Sklep Two Jakes na Wythe oferował głównie meble, ale znalazłam tam poduszki typu „akcent kolorystyczny” w kolorze opisanym jako „kredowy”. Cenę (39 \$) za sztukę uznałam za okazijną. Potem poszłam do parku Grand Ferry – ukłon w stronę Olive. Usiadłam na jednej z ławek nad East River i wyjęłam suczkę z torby. Przykucnęła obok mnie.

Panorama Manhattanu w pełni zasługiwała na swoją sławę. Nigdy nie słyszałam metafory, która by przeceniała niezwykłość tego widoku.

Wsadziłam Olive z powrotem do torby i poszliśmy do sklepu z narzędziami i wyposażeniem wewnątrz; mieli tam duży dział ogrodniczy. Dodatkową atrakcją stanowił trzystudwudziestokilogramowy wieprz o imieniu Franklin. Mieszkał w zagrodzie o powierzchni równej mniej więcej kawalerce w Williamsburgu, pośród tysięcy roślin na sprzedaż. Wybrałam kilka małych doniczek z ziołami do kuchni i pojemnik z lawendą do

sypialni.

Zostawiłam poduszkę i rośliny w domu, nasypałam karmy do miski Olive i wyszłam. Wiele czasu upłynęło, od kiedy ostatni raz oglądałam film. Pojechałam linią L na Union Square, gdzie w niewielkiej odległości od siebie znajduje się kilka kin. Multipleksy wyświetlały najnowsze komercyjne hity, które do mnie nie przemawiały. W Village East znalazłam film dokumentalny *O krok od sławy* o artystkach śpiewających w chorkach. Największe wrażenie zrobiła na mnie chorzystka, której w ogóle nie interesowała kariera solowa, bo cenniejsza była dla niej harmonia współtworzona przez wiele głosów. Oczywiście natychmiast pomyślałam o Cilli. Niedawno mi opowiadała, jak w pewnym momencie odkryła, że nie potrafi już zgrać swojego głosu z innymi. Głęboko wstrząśnięta, przestała śpiewać. W końcu zrozumiała, że nadszedł czas na tworzenie innego rodzaju harmonii; niosła ją ludziom z problemami, odmieniając im życie.

## 17

Nie odmawiaj od razu – poprosiłam – ale ta wolontariuszka, która dzisiaj będzie zeznawać, może ci się spodobać.

Szukaliśmy ze Stevenem wolnego miejsca parkingowego w pobliżu sądu.

– Morgan...

– Lubisz taki sportowy typ – dodałam.

– Już nie, po tym, jak Claire kazała mi ćwiczyć z nią do maratonu.

– Więc to była kropla, która przepełniła czarę goryczy? Nigdy nie byłeś w lepszej formie niż wtedy.

– Fizycznej.

Pod tym względem Steven nie był odporny, podobnie zresztą jak pod innymi względami. Wiedziałam, że jeszcze nie doszedł do siebie po wyprowadzce Claire po dwóch latach bycia razem. Claire chciała, żeby zatrudnił się w sektorze prywatnym i zbił majątek, on zaś wolał pracować dla AVAAZ.

– Jak ona wygląda? – zapytał Steven.

To pytanie – niezmiennie padające z ust mężczyzny jako pierwsze – zawsze mnie deprymowało.

– Tam, po prawej. – Wskazałam miejsce, gdzie dalibyśmy radę się wcisnąć. – Zobaczysz ją za parę minut w sądzie.

Pokój wyznaczony na przesłuchanie był zniszczony i skromnie umeblowany. Ławkę, na której siedzieliśmy, „zdobiły” wycięte inicjały. Sędzia zajął miejsce za równie zdewastowanym biurkiem.

– Tam jest. – Trąciłam Stevena łokciem.

Swatanie brata było przyjemnym powrotem do normalności, z którą – łagodnie rzecz ujmując – straciłam kontakt.

Billie siedziała już obok McKenziego. Nigdy wcześniej nie widziałam go w oficjalnym stroju; w eleganckim garniturze wyglądał nie tylko profesjonalnie, ale wręcz władczo. Billie z kolei zamieniła motocyklowe buty na obcisłe kozaki z cielęcej skóry.

Włosy związała nisko w koński ogon. Na tę okazję włożyła obcisłe czarne dzinsy, białą bluzkę i prosty czarny żakiet.

– Niezła... – Steven wyszeptał do mnie tylko jedno słowo.

Po zaprzysiężeniu McKenzie zwrócił się do sędziego.

– Na wstępie chciałbym przytoczyć paragraf siódmy ustawy o rolnictwie i rynku stanu Nowy Jork: „Pies nie może zostać uznany za niebezpiecznego, jeżeli sąd określi jego zachowanie jako uzasadnione ze względu na

fakt, że osoba ranna, zagrożona lub zabita torturowała, dręczyła, używała przemocy lub stanowiła fizyczne zagrożenie dla psa lub jego potomstwa, lub też torturowała, dręczyła, używała przemocy lub stanowiła fizyczne zagrożenie dla psa lub jego potomstwa w przeszłości”.

McKenzie sięgnął do aktowki i wyjął gruby segregator.

– Przedstawiam Wysokiemu Sądowi dowod A: kopię akt policji bostońskiej w sprawie morderstwa Susan Rorke. Policja twierdzi, że czaszka Susan Rorke została zmiażdżona młotkiem, zanim jej ciało wyrzucono przez okno. Podejrzanym był James Gordon, znany również jako Bennett Vaux-Trudeau. Atak, w wyniku którego stracił życie, nastąpił niecały miesiąc po morderstwie Susan Rorke. Ten człowiek wielokrotnie wykazywał

skłonności do przemocy. Cloud, suka rasy pirenejski pies gorski, mieszkała z panią Morgan Prager od osmego tygodnia życia i nigdy nie zachowywała się agresywnie. Pani Prager zaadoptowała George’a, mieszańca pitbula, sześć miesięcy temu; on także nie wykazywał przejawów agresji.

McKenzie przekazał sędziemu stosowną dokumentację oraz pisemne oświadczenie weterynarza. Okazał również wyniki badań charakteru obu psów.

– Powołuję na świadka wolontariuszkę ze schroniska, w którym oba psy zostały umieszczone cztery i pół miesiąca temu.

Billie wstała i przedstawiła się sędziemu, po czym określiła częstotliwość swoich kontaktów z psami poddanymi kwarantannie.

Jej zachowanie w tych okolicznościach wywarło na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Była pewna siebie, konkretna, autorytatywna i przekonująca. Udało jej się przekazać wiele istotnych obserwacji, bez konieczności roztrząsania sprawy ponad miarę. Wymieniałam spojrzenia ze Stevenem, który wydawał się podzielać moje zdanie.

Następnie wywołano Stevena. Potwierdził, że żaden z psów nie był wobec niego agresywny.

– Towarzystwem siostrze, kiedy adoptowała Cloud jako szczenię.

– Ile czasu spędził pan z mieszańcem pitbula?

– Widujemy się z siostrą co parę tygodni i zawsze lubiłem bawić się z George’em.

W zabawie nigdy nie był agresywny.

Sędzia zapytał, czy McKenzie chce coś dodać przed ogłoszeniem przerwy w rozprawie. McKenzie wstał i oznajmił, że pragnie przypomnieć sądowi, iż czwartego kwietnia 2013 roku Sąd Najwyższy stanu Nowy Jork zacytował w swojej interpretacji sprawę Roupp kontra Conrad: „Uznanie psa za niebezpiecznego jedynie na podstawie cech jego rasy nie ma podstawy prawnej”.

Sędzia poinformował McKenzię, że decyzja zostanie

ogłoszona o trzeciej po południu. Billie zaproponowała więc, żebyśmy poszli na lunch do znanego jej lokalu w pobliżu. Po dotarciu na miejsce napotkałam spojrzenie Stevena – byliśmy w świątyni krysznaitów. Jedyne ukłon w stronę architektury indyjskiej stanowiły trzy gipsowe łuki na typowej czerwonej cegle.

Billie poprowadziła nas do sutereny, w której mieściła się kafeteria serwująca potrawy wegetariańskie. Zauważyłam, że Steven wybrał tylko ziemniaki i marchewkę, jedyne warzywa, jakie potrafił rozpoznać.

Nigdy nie umiałam czekać. Nie mogłam się powstrzymać, spytałam McKenziego, czy uważa, że zapadnie korzystny dla nas wyrok, po czym zaraz przeprosiłam go za postawienie w

niezręcznej sytuacji. Billie zajęła miejsce obok niego, naprzeciw mojego brata. Wiedziałam, że w wypadku swatania istnieje

większa szansa na przełamanie lodow, jeśli jedna ze stron nie wie, w czym bierze udział.

Billie przedstawiła swoją opinię.

– Myślę, że sędzia może wykorzystać tę sprawę, by dać społeczeństwu wyraźny sygnał: „Zero tolerancji dla pitbuli”.

– A może nas zaskoczy – powiedział McKenzie. – Po przeczytaniu raportu policji.

Steven wyraził ostrożny optymizm do wtoru sutr płynących z głośnika umieszczonego w kącie pomieszczenia. Kiedy Steven mówił, Billie nie spuszczała wzroku z McKenziego; skoro ja to zauważyłam, Steven również musiał.

Moj niepokój co do wyroku wzmożł się do tego stopnia, że musiałam wyobrazić sobie coś kojącego, aby wysiedzieć przy stole do końca posiłku. Pomyślałam, że unoszę się w ciepłym Morzu Karaibskim, płynę na brzuchu z otwartymi oczami i widzę łagodne fale białego piasku na dnie. Kiedy włączyłam się z powrotem do rozmowy, Billie próbowała wymusić na Stevenie odpowiedź na pytanie z dziedziny prawa, jakby go egzaminowała. Przyszło mi do głowy, że uważa się za równą Stevenowi.

– Nie wydawajmy wyroku przed sędzią – odparł po prostu moj brat.

McKenzie wkroczył między nich jak arbiter i przyznał punkt Stevenowi. Billie natychmiast zaczęła się sumitować i przeproszać za zabieranie głosu w kwestiach prawnych.

W drodze do sądu Billie wcisnęła się między mnie a

McKenziego, ustąpiłam więc i szłam obok Stevena; czułam się zepchnięta na boczny tor.

– Ta dziewczyna nie jest twoją przyjaciółką – szepnął Steven.

– Jest oddana moim psom, prawie tak samo jak ja –

powiedziałam.

Steven przypomniał mi, że jej oddanie przekroczyło pewną granicę, kiedy zleciła przeprowadzenie testu charakteru George'a bez mojej wiedzy. Zwrociłam mu uwagę, że to posunięcie, choć rzeczywiście aroganckie, może zwiększyć szanse George'a.

Kiedy wyszliśmy z windy na czwartym piętrze, McKenzie położył mi rękę na plecach w pokrzepiającym geście.

– Uszy do góry – powiedział i wprowadził mnie do sali rozpraw.

Zawstydziałam się na myśl o innym powodzie, dla którego mogłam wylądować na sali sądowej. Po tym, jak musiałam obsłużyć Candice i Douga w kawiarni, w której przez krótki czas pracowałam jako kelnerka, znalazłam w sobie dość siły, by zgłosić się na policję. W istocie sił dodało mi wsparcie Kathy, która postanowiła mi towarzyszyć. Znałyśmy się wtedy dopiero od miesiąca, ale wyczuwałam w niej ogromny potencjał dobra. Nie byłam w stanie zgłosić napaści wtedy, kiedy mogło to jeszcze przynieść jakiś pożytek – po tym, jak Doug zostawił mnie w Port Authority, a ja nadal miałam w sobie dowód przestępstwa.

Przynajmniej tak w duchu się usprawiedliwiałam. Potrzeba zdystansowania się od tego koszmaru zwyciężyła z poczuciem obywatelskiej powinności. Myśl, że mogłabym zapobiec kolejnym aktom przemocy z ich strony nie była dla mnie priorytetem.

Musiałam chronić samą siebie.

Kiedy w towarzystwie Kathy poszłam na policję, chodziło mi raczej o symboliczny gest niż dochodzenie sprawiedliwości. Nie było już żadnych dowodów fizycznych, weszłam do mieszkania z własnej woli, nie znałam nawet adresu, a od napaści upłynął cały miesiąc. Uprzejmy policjant przyjął moje zeznanie i zawiozł nas w okolice Navy Yards, gdzie kręciliśmy się przez jakiś czas, a ja wypatrywałam czegoś, co wyglądałoby znajomo. Tyle że przyjechałam tam z Candice w nocy, a następnego ranka w

furgonetcie miałam zasłonięte oczy. Przeprosiłam policjanta za marnowanie jego czasu, na co zapewnił, że niczego takiego nie zrobiłam. Pochwalił mnie, że przyszłam i złożyłam zeznanie.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że gdybym złożyła je w odpowiednim czasie, mogłabym znaleźć się w sądzie i zeznawać przeciwko tej parze zbrojców, może nawet posłałabym ich za kratki.

Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Sędzia wkroczył na salę energicznym krokiem i odczytał trzymany w ręku dokument.

– Zgodnie z artykułem 123 paragraf 2 ustawy o rolnictwie i rynku, w trosce o dobro obywateli sąd postanawia, że pireński pies pasterski trafi do schroniska dla zwierząt specjalizującego się w opiece nad niebezpiecznymi psami, co zapewni bezpieczeństwo



zarówno obywatelom, jak i psu.

McKenzie położył mi dłoń na ramieniu, gdy sędzia odczytał wyrok na George'a. Sędzia skazał go na śmierć przez – jak to określił prawniczym oksymoronem – „humanitarną eutanazję”.

Pozwolił George'owi żyć jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny, po czym zamknął rozprawę.

– To jeszcze nie koniec – szepnął McKenzie. – Będziemy apelować.

– W sprawie obu? – zapytałam.

– Najpierw poprosimy o odroczenie wykonania wyroku na

George'u – odparł. – Złożę wniosek, by jego także skierowano do schroniska.

– Ale w dobrych schroniskach nie ma miejsc – wtrąciła się Billie. – Nie wpisują nikogo nawet na listy rezerwowe.

– Więc co się stanie z Cloud, jeśli nie będzie dla niej miejsca? – zapytałam.

– O Cloud będziemy się martwić później, mamy na to czas.

Na razie muszę jak najszybciej apelować w sprawie George'a –

odpowiedział McKenzie. – Steven, odwieszysz wszystkich do domu? Zadzwońię do ciebie, jak tylko czegoś się dowiem.

Steven powiedział, że powinno być coś wiadomo jeszcze tego popołudnia. We trojkę skierowaliśmy się w stronę stacji metra.

– Pitbule mają przechlapane – odezwała się Billie.

– Wyciągnęłam George'a z celi śmierci w schronisku, a teraz trafił tam z powrotem – westchnęłam.

– Dałaś mu miłość, której wcześniej nie zaznał – przypomniał mi Steven.

Powiedział to w dobrej wierze, ale jego słowa mnie nie

pocieszyły. Przy wejściu do metra Steven skręcił do samochodu, żeby wrocić na Manhattan, Billie pożegnała się z nami, nie wyjawiając, dokąd zmierza, a ja pojechałam linią C do Williamsburga, żeby czekać.

W opowiadaniu, które kiedyś czytałam, między mężczyzną a

kobietą, których łączy długi i burzliwy związek, rozgrywa się następująca scena: kobieta zwraca się do partnera ze słowami: „A mogło być tak łatwo”. To wyznanie bardzo mnie poruszyło: miało w sobie rezygnację i jednocześnie żal. Czy cokolwiek w ogóle jest łatwe?

Po południu McKenzie zadzwonił z wiadomością, której się

bałam: sędzia odrzucił wniosek o odroczenie egzekucji George'a.

Następnego dnia George miał zostać uśmiercony zastrzykiem trucizny. W głosie McKenziego słyszałam napięcie. Powiedział, że za chwilę złożę apelację w sprawie Cloud wraz z wnioskiem, aby pozwolono jej wrocić do domu pod warunkiem, że

będzie chodziła w kagańcu i zostanie ubezpieczona zgodnie z wymogami prawa.

– Bardzo mi przykro – dodał.

Nie wierzyłam, że nic więcej nie da się zrobić.

– Może razem odwiedzimy go w schronisku? – spytał. –

Spotkamy się tam rano.

– To miło z twojej strony – odparłam, planując wizytę u

George'a już za godzinę. Umowiłam się z McKenziem w brudnym holu schroniska nazajutrz o jedenastej.

Zadzwoiłam do Billie i powiedziałam jej, że chciałabym przynieść George'owi coś naprawdę dobrego na ostatni posiłek i spytałam, czy mogłaby mnie jakoś do niego przemycić. Odparła, że nie ma w tym dniu dyżuru, ale przyjedzie i wspólnie damy mu pożegnalną kolację.

Poszłam do sklepu i kupiłam kilogram najlepszej wołowiny na pieczeń. Potem dołożyłam do koszyka jeszcze pół kilo szynki w miodzie. I paczkę chipsów Wavy Lays. Raz się żyje, stary.

W drodze do schroniska zagłuszałam myśli muzyką.

Przejrzałam wszystkie swoje playlisty, aż w końcu znalazłam *Love Interruption* Jacka White'a, który przygnębiał mnie nawet w najlepszych momentach życia. Teraz włączyłam go specjalnie, ponieważ pasował do mojego nastroju. Miłość nigdy nie trwa wiecznie, czyż nie? „Chcę, by miłość ...wepchnęła mi noż pod żebro...”.

Wysiadłam na Sto Dziesiątej i poszłam w stronę rzeki,

szarpana podmuchami wiatru. Wolontariusze spacerowali z psami ubranymi w cienkie kurteczki z napisem „Adoptuj mnie”

wydrukowanym wielkimi literami. Jak na internetowym filmiku z kobietą, która czekając na autobus, tańczy samotnie, starsza Latynoska na przystanku kołysała się do wtoru jakiejś wewnętrznej melodii. Z zakratowanego okna na drugim piętrze wysunęła się ręka z małym, bezprzewodowym odkurzaczem i opróżniła pojemnik prosto na chodnik, zaśmiecony – jak wszędzie – kośćmi z kurczaka. Trio Dominikanek flirtowało z dwoma facetami, którzy wpadli im w oko; zwróciłam na to uwagę, ponieważ wyczułam, że to kobiety grały tu pierwsze skrzypce.

Billie czekała przed schroniskiem. Uściskała mnie serdecznie i wprowadziła do środka bocznym wejściem, omijając główny hol.

Unikałam kontaktu wzrokowego z pracownikami, zachowywałam się tak, jakbym była u siebie. Wśliznęłyśmy się do izolatki, w której przetrzymywano moje psy. Billie jakby weszła w rolę doświadczonej gospodyni, która dba o dobre samopoczucie gości, łagodnie steruje przyjęciem i wskazuje miejsca siedzące. Nie poddawała się przygnębieniu, które byłoby całkowicie zrozumiałe w tym koszmarnym otoczeniu. Byłam jej wdzięczna za to, że w tak naturalny i taktowny sposób przejęła dowodzenie. Miała kojący wpływ zarówno na mnie, jak i na psy.

Usiadłyśmy na brudnej podłodze tak blisko siebie, że

stykałyśmy się ramionami. Na zmianę zwijałyśmy plasterki mięsa w ruloniki i podawałyśmy je obu psom przez kraty.

Przytrzymywałyśmy mięso za jeden koniec, próbując sprawić, żeby cieszyły się nim dłużej i poczuły jego smak przed

połknięciem. Po opróżnieniu torebek z wołowiną, szynką i chipsami, dałyśmy im maślane herbatniki przyniesione przez Billie.

Pomimo obfitego posiłku psy wyglądały na zaskoczone, że nie dostaną nic więcej.

Następnego ranka McKenzie i ja spotkaliśmy się przed wejściem do schroniska.

– Probałem się z tobą skontaktować. Zabrali go wcześniej.

Musiałam w duchu przyznać, że odczułam ulgę na myśl, że moje ostatnie wspomnienie o George’u będzie radosne. Zjadł

najlepszy posiłek swojego życia. Mimo to zachwiałam się, a McKenzie wyciągnął ramiona, żeby mnie podtrzymać. Objął mnie i staliśmy tak na zimnie, nic nie mówiąc. Wiedział, że żadne słowa pocieszenia tu nie pomogą.

## 18

Dość niechętnie wybierałam się do Stevena na coś w rodzaju kolacji z okazji Święta Dziękczynienia. zaproponował, że kupi wszystkie potrzebne rzeczy w Citarelli, a ja mam tylko przynieść ciasto. Zbliżałam się już do jego mieszkania, kiedy zadzwoniła komórka.

– Wiem, jak się czujesz, i chciałam ci powiedzieć, że nie jesteś z tym sama – powiedziała Billie.

– Jak obchodzisz Święto Dziękczynienia? – zapytałam z myślą, że mogłabym zaprosić ją do Stevena.

– Mam dyżur jako wolontariuszka w stołówce, w parafii świętej Cecylii na Greenpoincie.

Zawstydziła mnie. Probowałam otrząsnąć się z poczucia winy. Aktywność Billie budzi podziw, ale nie oznacza, że jestem egoistką, ponieważ zamierzam świętować z bratem.

– Jeśli skończysz przed osmą, może wpadniesz do mojego brata i zjesz z nami kawałek ciasta dyniowego? – zaproponowałam.

– To miłe z twojej strony, ale McKenzie zaprosił mnie już na drinka – usłyszałam w odpowiedzi.

Dostrzegłam przed sobą aurę, którą czasami widzą osoby cierpiące na migrenę przed nadejściem fali bólu. Poczułam się bezradna, oślepią mżącym światłem.

– Jesteś tam? – zapytała Billie.

Zdałam sobie sprawę, że się nie odezwałam.

– Tak – odparłam.

– Zdenerwowałam cię? Czeka... chyba nie jesteś zainteresowana McKenzie?

– Nie czuję się jeszcze gotowa, żeby myśleć o czymś takim – wykrztusiłam.

– Jasne. Ale na pewno rozumiesz, dlaczego ja jestem zainteresowana. Ludzki, a jednocześnie przystojny.

– Wchodzę do metra – skłamałam.

Billie poprosiła mnie o przekazanie bratu pozdrowień.

Ilość jedzenia, które kupił Steven, wystarczyłoby dla dwunastu osób.

– Mam nadzieję, że masz miejsce w zamrażalniku – powiedziałam.

W telewizji leciał film dokumentalny *Waiting for Lightning* o Dannym Wayu,

facecie, który przeskoczył na deskorolce Wielki Mur Chiński. Widzieliśmy go już dwa razy; Steven kolekcjonował

płyty DVD z filmami o bohaterach sportów ekstremalnych. Często oglądaliśmy je razem: byli w nich też Laird Hamilton, Travis Pastrana... Za inspirujące uważaliśmy podziwianie dokonań ludzi najlepszych w swojej dziedzinie, którzy osiągnęli sukces na przekór przeciwnościom losu.

Steven nakrył do stołu, zapalił nawet świece. Efekt byłby olśniewający, gdyby nie fakt, że moj brat miał na sobie flanelowe spodnie od piżamy i T-shirt z napisem „Thrasher”.

– Mogłabym oglądać ten film codziennie – powiedziałam.

– Chcesz wina? – zapytał Steven.

– Chcę prawdziwego drinka. Masz wódkę?

Steven wyjął z zamrażalnika Stoliczną.

– Należy ci się. – Wręczył mi butelkę.

Nalałam sobie podwójną porcję. Steven zrobił to samo.

Podnieśliśmy kieliszki.

– Za George’a – powiedział.

Zajęliśmy miejsca przy stole, zastawionym potrawami

wyglądającymi tak apetycznie, że można byłoby je sfotografować.

Nałożyłam sobie na talerz wszystkiego po trochu ze świadomością, że nie dam rady tego zjeść.

– Kiedy do ciebie szłam, zadzwoniła Billie. Zaprosiłam ją do nas, ale umówiła się z McKenzie – rzuciłam, ciekawa jego reakcji.

Czasami po prostu prosimy się o ostateczny cios.

– Znowu się z nią spotyka? – zdziwił się Steven, a potem

dostrzegł, jaką minę zrobiłam na dźwięk słowa „znowu”. – Słuchaj

– powiedział. – To potrwa jakieś trzy minuty. Ktore zresztą chyba właśnie się skończyły.

– Cholera, zdążył się z nią już przespać?

– Ona ma tylko jedno ustawienie mocy: wysokie – odparł Steven.

– McKenzie ci to powiedział, czy sam się zorientowałaś?

– Przecież ją widziałam.

Kogo widziałam? Piękną, energiczną kobietę, płynącą na fali niezwyklej pewności siebie. Jaki facet mógłby się jej oprzeć?

– Ale tego się nie spodziewałem – dodał moj brat.

– Dlaczego?

– Nie poznałaś Louise, jego żony. Nie myśl, że już o niej zapomniał. Studiowała z nami na prawie. Nie była skupiona na sobie, tylko na otaczającym ją świecie. Sam się w niej podkochiwałem. Zresztą jak wszyscy faceci z roku.

– Była aż taka fascynująca?

– Dobrze się czuła w swojej skorze. Miała w sobie ujmującą pewność siebie. Nie było w niej żadnej fałszywej skromności –

powiedział. – Nigdy nie zrozumieć, dlaczego niektóre kobiety sądzą, że odgrywanie świętoszki podoba się mężczyznom. To idiotyczne. Claire również знаła swoją wartość i nikogo nie musiała udawać. Była jedna na milion.

– Wiem o śmierci Louise.

– Od niego? On nigdy o tym nie opowiada.

– Przeczytałam w internecie.

Na talerzu Stevena było już miejsce na dokładki. Moj pozostał pełen.

Miałam jeszcze mnóstwo pytań dotyczących kolegi mojego

brata ze studiów. Ale czego właściwie chciałam się dowiedzieć?

Dlaczego umówił się z Billie, a nie ze mną? Steven nie umiałby mi odpowiedzieć.

Zamiast wstać i wziąć sobie dokładkę, Steven po prostu

zamienił swój pusty talerz na moj. Był na tyle miły, że darował

sobie uwagi na temat mojego braku apetytu. Nalałam sobie jeszcze jeden kieliszek, żeby dotrzymać mu towarzystwa przez następne pół godziny.

Trzeci kieliszek Stolicznej nalał mi barman w pubie Isle of Skye. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Amabile, który mieszkał w pobliżu. Nie byłam gotowa na powrót do domu.

Wiedziałam jednak, że spędza ten dzień ze swoją wielką

dominikańską rodziną i wcale mi to nie przeszkadzało; nie miałam ochoty na rodzinne klimaty. Nigdy przedtem nie byłam w tym pubie. Zazwyczaj chodziłam do Barcade i grałam w staroświeckie gry zręcznościowe typu „Tapper”. Czułam się wtedy znow jak dziecko. W Isle of Skye panowała inna atmosfera: meble obite czarną skórą, wokoł pełno Szkotów nieobchodzących Święta Dziękczynienia. Za barem wisiała oprawiona fotografia królowej przed szeregiem Szkotów w kiltach; spodniczka mężczyzny

siedzącego na prawo od królowej podjechała tak wysoko do góry, że odsłaniała jego nagie genitalia.

Przyglądałam się tłumowi – więcej mężczyzn niż kobiet,

bardziej hipsterzy niż gorale. Wyjęłam komórkę i sprawdziłam swoje konto na Tinderze, które założyłam, zanim poznałam

Bennetta. Na ekranie pojawiło się zdjęcie faceta w spodniach plażowych, bez koszuli, który wybrał sobie nick „Potwor z bagien”. Chcesz go poznać? – wyskoczyło pytanie. Tak? Nie?

Może? Kliknęłam na „może”. Czy chcesz wiedzieć, jak daleko od ciebie jest Potwor z bagien? „Tak”. Był o dwie przecznice stąd. W

momencie, kiedy wpisałam „tak”, mogł zobaczyć moj profil i zdjęcie. Według opisu

w jego profilu był aktorem i nauczycielem mieszanych sztuk walki. Napisał mi, że lubi filmy z Bollywood, rosyjską wódkę i amerykańskie kobiety. Odpisałam: „Ja lubię dwie z tych rzeczy”.

Dopijałam już drinka, kiedy od „Potwora z bagien” przyszła wiadomość z pytaniem, gdzie jestem. Wstukałam nazwę pubu.

Kilka minut później wszedł smukły, gibki facet; nawet w przyćmionym barowym świetle i ze sporej odległości widać było jego błękitne oczy, częściowo przysłonięte ciemnymi włosami.

Wyglądał oszałamiająco.

– Nie przypominasz kobiety ze zdjęcia – oznajmił beznamiętnie. Czy chodziło mu o to, że zdjęcie nie oddawało mojej urody, czy też o to, że go oszukałam?

– Za to ty wyglądasz dokładnie tak jak na zdjęciu – odparłam, usiłując naśladować jego wyważony ton.

– Cieszę się, że zajrzałaś na swój profil – powiedział. – W święta bywa nudno.

Mądra przyjaciółka powiedziała mi kiedyś, że przystojny facet niekoniecznie musi być draniem. Zorientowałam się, że go usprawiedliwiam, chociaż nie zrobił nic złego, odpowiedział tylko na moj anon.

– Napijesz się jeszcze? – zapytał i dał znak barmanowi.

– Jasne – odpowiedziałam po fakcie.

A potem zaczęłam zadawać mu pytania. Nie dlatego, że potrzebowałam informacji jako takich; po prostu miałam ochotę posłuchać jego głosu. Męskie głosy zawsze mnie urzekały. Głos

„Potwora z bagien” był głęboki i miał melodię intymnego zwierzenia. Od czasu do czasu pojawiał się w nim cień

południowego akcentu: Luizjana? O Boże, niech się okaże, że pochodzi z Nowego Orleanu.

Byłam blisko: wyznał, że jest z Lafayette, a jego rodzina ze strony ojca to Cajunowie. W czym grał? Było to ryzykowne i potencjalnie kłopotliwe pytanie. Powiedział, że miał niewielką rolę mowioną w filmie Gusa Van Santa, a wkrótce pojawi się w serialu HBO.

Nigdy nie chciałam występować przed publicznością, ale, podobnie jak wielu innych, interesowałam się tymi, którzy to robią. Jakim cudem aktorzy potrafią w obecności tych wszystkich obcych ludzi dookoła zatracić się w swojej roli? Jak to jest: ciągle na nowo odnajdować samych siebie?

– Wolisz nadal się „zapoznawać” – pokazał palcami

cudzoślow – czy chcesz pojsć ze mną i miło spędzić czas?

Udało mu się zażartować, a jednocześnie przedstawić swój

pomysł. Rzucił mi wyzwanie. Przez chwilę pozwoliłam sobie na myślenie

magiczne. Wmawiałam sobie, że nic złego nie może się stać w Święto Dziękczynienia.

Poszliśmy do jego mieszkania w Dumbo. Dotarcie na miejsce okazało się nieco utrudnione: musieliśmy okrążyć wyremontowany magazyn. Otworzył drzwi, podważając je kluczem jak łomem.

Gdyby w kilku oknach nie paliły się światła, nie odważyłabym się wejść.

W mieszkaniu, przy oknie wychodzącym na Brooklyn

Bridge, wisiał ogromny worek treningowy ze skory w kolorze koniaku. Wyglądał jak rekwizyt filmowy.

– Tutaj trenujesz? – zapytałam.

– Nie – zaprzeczył, nie dodając nic więcej.

Podeszłam do okna, żeby popatrzeć na most, ale gospodarz zasłonił mi widok. Zdjął ze mnie płaszcz i rzucił na fotel. Potem chwycił mnie za włosy, owinał je sobie wokół pięści i stanął za moimi plecami. Ścisnęłam go za nadgarstek. Puścił mnie pierwszy.

Kiedy się do niego odwróciłam, podniósł mnie tak, jak pan młody podnosi pannę młodą, i zaniósł w głąb mieszkania, do łóżka.

Po kilku minutach włączył stojącą obok lampę.

– Chcę cię widzieć – powiedział.

Zobaczyłam, że w oknach sypialni, wychodzących na oszklone ściany sąsiedniego budynku nie ma zasłon ani rolet.

Poczułam się obnażona jak eksponat, ale bezpieczna. Było nas widać. Zdjął ze mnie resztę ubrań. Powiedział, że jest zaskoczony tym, że mu się tak podobam, chociaż nie jestem w jego typie.

Czy McKenzie powiedziałby coś takiego? Czy choć przemknęłoby mu to przez myśl?

Odpowiedziałam sobie sama: Możesz być pewna, że nie zaprzęta sobie tobą głowy.

Wrociłam do rzeczywistości.

– Czy twój typ robi tak? – zapytałam, dotykając się.

Cały czas patrzyłam na niego.

– Czy twój typ robi tak? – powtórzyłam, wsuwając palec do środka. To, co przed chwilą mnie deprymowało – jaskrawo

oświetlony pokój doskonale widoczny z okien sąsiadów – niespodziewanie zaczęło działać pobudzająco. Myślałam o Billie.

Zaskoczyła mnie. Poczułam, że konkuruję z nią przed tym mężczyzną, a jednocześnie pragnęłam nią być.

Grałam.

Zaczął się rozbierać, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

– Nie – powiedziałam stanowczo. Został więc w ubraniu.

Ukucnął w nogach materaca, skąd mógł lepiej widzieć, gdybym się położyła,



zamiast klęczeć. Czułam, że buzuje w nim napięcie, spowodowane koniecznością powstrzymywania się, czekania. Nie przerywałam. Nie śpieszyłam się. Doszłam na jego oczach w jasno oświetlonym pokoju.

Kiedy się ubierałam, nie ruszył się z miejsca. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Zauważyłam, że w budynku naprzeciwko zapaliło się światło.

Nie przypomniał mi o regule wzajemności. Czy to zdumienie sprawiło, że pozwolił mi odejść?

Tydzień przed rozpoczęciem przerwy semestralnej pojechałam do kompleksu więziennego na Rikers Island na ostatnią sesję z transseksualną pacjentką, z którą spotykałam się od roku. Za tydzień miała wyjść na wolność. Shalonda była w stanie przekonać każdego, że jest kobietą. Miała delikatne rysy, ciepły, śpiewny głos i piersi, na które oszczędzała od liceum. Wzięła na siebie winę za sfalszowane czeki, którymi posługiwał się jej kochanek, ale wciąż miała nadzieję, że czeka ich wspólne życie w Ozone Park.

– Wiem, że JJ jest popieprzony, ale wiem też, że mnie kocha

– powiedziała Shalonda.

– Jak ci to okazuje? – zapytałam. Naprawdę chciałam wiedzieć.

– Mowi swoim kumplom, a ja się od nich dowiaduję.

– Nigdy sam ci nie mówi?

– Kupił mi sukienkę z okazji wyjścia z pudła. Chce, żebym zrobiła sobie ostateczną operację.

– A czego ty chcesz?

– Ja chcę, żeby JJ był szczęśliwy. Myślisz, że to nie jest dobry powód?

Wtedy poczułam, że nie poczyniłyśmy żadnych postępów.

Nadal nie umiała określić swoich własnych pragnień i potrzeb.

– Dawno temu – oznajmiła Shalonda – nauczyłam się, że można albo być szczęśliwym, albo mieć rację. Jestem szczęśliwa, kiedy JJ myśli, że ma rację.

Moj romans z Bennettem był tak ściśle strzeżoną tajemnicą, że przedstawienie odegrane wczoraj przed obcym mężczyzną w jaskrawo oświetlonym pokoju stanowiło coś w rodzaju ekstremalnego antidotum; czułam, że to ja ustalam zasady.

– Co mówiłaś?

– Gdzie byłaś? – spytała Shalonda z szerokim uśmiechem. –

Na chwilę odpłynęłaś.

Zaczerwieniłam się ze wstydu i skarciłam w duchu za nieprofesjonalne zachowanie. Usprawiedliwiłam się, że to z niewyspania i skupiłam uwagę na pacjentce.

– Powiedziałam, że wiem, kim jestem, niezależnie od formy, jaką przybiorę. Operacja nic mi nie zabierze. No – dodała – oprócz wiadomej rzeczy.

Poczułam się jak oszustka. Wyniosłam z tej sesji przynajmniej tyle samo, o ile nie więcej korzyści, co Shalonda. Jej niezachwiane „ja”, jej spokojna mądrość... Im dłużej rozmawialiśmy, tym lepiej się czułam.

Powiedziałam Shalondzie, że praca z nią była dla mnie zaszczytem i wyraziłam nadzieję, że na wolności da mi znać, co u niej słyhać. Wręczyłam jej wizytówkę, na ktorej dopisałam domowy numer telefonu. Uściskałyśmy się.

– Wspaniale jest zaskoczyć samą siebie – podsumowała Shalonda.

Potrafiła czytać w myślach? Zdecydowanie zaskoczyłam samą siebie poprzedniego wieczoru.

Postanowiłam przejść do Queens przez most, mimo że wyglądał jak strefa zmilitaryzowana – druty kolczaste i punkty kontrolne. Zbliżał się grudzień. Wiatr boleśnie smagał policzki.

Bennett zapewnił mi wystarczającą liczbę niespodzianek.

Przynajmniej tak mi się wydawało. Przechodząc obok stojaka z gazetami przed sklepem spożywczym, gwałtownie przystanąłam na widok nagłówka w „The Post”: *BEZ SERCA*. Artykuł na okładce dotyczył pięćdziesięciodwuletniej kobiety znalezionej w pracowni malarskiej w Sag Harbor z sercem wyciętym z ciała i ułożonym na klatce piersiowej.

Usiadłam na skrzynce od mleka i zwiesiłam głowę. Kiedy doszłam do siebie, wstałam i kupiłam gazetę. Sprzedawca zawołał za mną, bo odeszłam, nie zabrawszy reszty.

Reporter napisał, że ciało zostało ułożone tak, by przypominało autoportrety ofiary, na których trzymała przy piersi świńskie serce. Według koronera śmierć nastąpiła przed tygodniem. Nie było żadnych poszlak wskazujących na sprawcę tego makabrycznego morderstwa.

Tydzień temu byłam w jej pracowni. Pies Pat rzucał się na szyby, bo słyszał odgłosy dochodzące z zewnątrz. Czy ja też zostałamby zamordowana, gdybym została dłużej? Ciarki przeszły mi po plecach. Czy morderca Pat widział mnie przez okno? Czy teraz za mną chodzi? Zatrzymałam taksówkę i podałam kierowcy adres Stevena. Będzie musiała poprosić go, żeby zapłacił za kurs z Queens.

– Zostajesz dzisiaj u mnie – oznajmił Steven, gdy powiedziałam mu, co się stało.

– A co z Olive? – zapytałam.

– Jakoś ją przeszmuglujemy – odparł. W jego kamienicy nie wolno było trzymać zwierząt.

– To Samantha podała mi adres Pat. Wciąż jest przekonana, że Bennett żyje. Mowi,

że do niej pisze i przysyła jej kwiaty.

Steven zapytał, czy Samantha byłaby zdolna do popełnienia takiej zbrodni.

– Myślę, że śledziła mnie aż do Sag Harbor.

– Nic mi nie wspomniałaś – powiedział z wyrzutem Steven. –

Powinnaś pojsć na policję.

– Nie potraktowali mnie poważnie, kiedy zadzwoniłam i powiedziałam im o Susan Rorke.

– Ale nie byłaś u niej, kiedy ją zamordowano – podkreślił

Steven. Wręczył mi swoją komórkę.

Zrobiłam to, o co mnie prosił. Połączono mnie z detektywem w komendzie policji hrabstwa Suffolk, któremu opowiedziałam o swoich podejrzeniach najspokojniej jak umiałam, głosem z kategorii „nie jestem wariatką”. Powiedziałam mu o Susan Rorke, a także mojej hipotezie, że oba morderstwa są dziełem jednej osoby. Wezwał mnie na następny dzień rano w celu złożenia zeznania.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, byłam wykończona. Zapadłam

się w fotel i zasłoniłam twarz rękami. Przedstawiłam sobą obraz nędzy i rozpacz. Po pewnym czasie Steven spytał, czy dam radę pojsć po Olive. Zauważyłam, że kiedy rozmawiałam przez telefon, moj brat opróżnił swoją torbę gimnastyczną i wyłożył ją polarem oraz ciepłymi ręcznikami prosto z suszarki dla mojej małej suni.

Lokalna telewizja, podając wiadomość o śmierci Pat, skupiła się na fakcie, że była ona wnuczką Paula Loewiego, przedstawiciela ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Loewi tworzył wspólnie z de Kooningiem i Pollockiem, a jego nazwisko rozświetlił cykl obrazów zatytułowany „Rzeźnia”: gigantyczne płotna z czerwonymi, przypominającymi krwiste tusze plamami na czarnym tle. Wyznawał zasadę „sztuka dla sztuki”, dlatego nie osiągnął ani bogactwa, ani międzynarodowej sławy jak jego koledzy, jego prace były jednak cenione przez koneserów.

Razem ze Stevenem oglądaliśmy wiadomości na wszystkich kanałach. Wysłuchałam chyba wszystkich relacji o tym potwornym morderstwie, a mimo to nie mogłam otrząsnąć się z niedowierzania.

Nancy Grace, telewizyjna komentatorka, była w swoim żywiole. Jedna z teorii głosiła, że morderstwa dokonali członkowie miejscowej sekty religijnej, dla których rytualne zabijanie zwierząt było elementem kultu. Od sześciu miesięcy na East Endzie ginęły zwierzęta domowe. Pies ofiary nadal się nie odnalazł. Wedle innej teorii morderca zabił dla zabawy pod wpływem narkotyków. Jak dotąd nie dokonano jednak żadnych aresztowań.

– Nancy Grace powinna się spotkać z Samanthą – orzekłam.

Kolejny gość Nancy Grace okazał się ekspertem od mordów rytualnych. Mówił, że usuwanie serca z ciała zwierzęcia nie jest czynem niezwykłym, ponieważ w wielu religiach animistycznych serce jest symbolem siły. Osoba, która je wycięła, zjada je, by osiąść moc zwierzęcia. Natomiast wycięcie ludzkiego serca i ułożenie go na ciele ofiary jest zbezczeszczeniem, a takiego aktu przemocy nie da się w żaden sposób usprawiedliwić względami religijnymi. Nancy Grace zapytała, czy ekspert uważa, że to morderstwo przypomina działania sekty Charlesa Mansona. Facet odpowiedział, że w tym przypadku przemoc ma podłoże osobiste.

Poprosiłam Stevena, żeby podał mi komórkę.

Zadzwoiłam do Amabile i zapytałam, czy pojedzie ze mną na komisariat. Potrzebowałam gliny, który mi uwierzy, a nie potraktuje jak podejrzaną. Wiedziałam, że jego kuzyn jest detektywem w komendzie policji hrabstwa Suffolk.

– On cię wysłucha – zapewnił Amabile. – Można na nim polegać. Jeśli nie masz nic przeciwko podróży motocyklem, to cię zawiozę. Z pewnością na Amabile można było polegać. Powiedziałam mu to.

Jazda motocyklem po ulicach pokrytych solą i lodem pod koniec listopada przypomniała mi o określeniu „dawca nerek”.

Jako nastolatka kilka razy uczestniczyłam w motocyklowych przejażdżkach.

Amabile kazał mi włożyć kask, ale mimo to

wiedziałam, że jeśli wpadniemy w poślizg, ucierpią moje nogi. Z drugiej strony wtulanie się w plecy faceta jest seksowne.

Obawiałam się, że Amabile może to źle odczytać... Byłam pewna, iż nadal żałuje, że nam nie wyszło.

Kiedy zsiadłam z motoru, nogi drżały mi tak, jakbym zeszła ze statku. Oparłam się o Amabile, który objął mnie i nie puszczał, dopoki nie poczułam się pewniej. Weszliśmy na posterunek z kaskami w rękach.

Kuzyn Amabile, Bienvenido, zaprosił mnie do pustego pokoju przesłuchań i przyniósł mi kubek gorącej kawy.

– Być może jestem ostatnią osobą, która widziała Pat Loewi żywą. – Wyjaśniłam mu, dlaczego pojechałam się z nią zobaczyć, dodając, że było to nasze jedyne spotkanie.

– Kiedy pani dojechała i o której godzinie od niej wyszła?

Było to pierwsze z całego szeregu pytań obliczonych na wpisanie mnie lub skreślenie z listy podejrzanych. Bienvenido przekazał swoje notatki innemu gliniarzowi, aby sprawdził

wiarygodność moich zeznań, a potem zapytał, czy zauważyłam coś dziwnego w zachowaniu Pat tamtego popołudnia. Odrzekłam, że łatwiej byłoby mi opisać to, co nie wydało mi się dziwne.

Zapytałam, czy wie, że Pat mieszkała kiedyś z moim zmarłym narzeczoną.

– Znam tę historię – przyznał Bienvenido. – Czy może pani jeszcze coś dodać?

– Moglibyście przyjrzeć się Samancie Couper – odparłam i wyjaśniłam, dlaczego tak uważam.

Wkrótce skończyliśmy rozmowę.

– Jestem ci wdzięczny, stary. Bardzo dziękuję – powiedział Amabile.

Ja również podziękowałam.

– Miło było panią poznać – odpowiedział Bienvenido.

– Znam trochę hiszpański – pochwaliłam się. – *Bienvenido*.

Amabile nalegał, żeby odwieźć mnie do domu. Na tylnym siedzeniu motoru, gdzie zimny wiatr przenikał mnie na wskroś, zastanawiałam się nad zasadnością moich podejrzeń. Co ja właściwie wiedziałam? Może między tymi dwoma morderstwami nie było żadnego związku.

A potem przyszła mi na myśl trzecia kobieta, którą musiałam wziąć pod uwagę.

Steven był przeciwny mojemu wyjazdowi, delikatnie rzecz

ujmując.

– Skąd wiesz, że Samantha się myli? Może Bennett wciąż żyje? Policja nie zidentyfikowała ciała.

– Wiem, że to jego ciało – upierałam się przy swoim.

– Byłaś w szoku – zauważył Steven. – A co, jeśli ten Jimmy Gordon gdzieś się przyczaił, a ty wybierzesz się w odwiedziny do jego matki? A jeśli u niej mieszka?

– Policja w Bostonie potwierdziła, że ślady DNA znalezione na ciele Susan Rorke są identyczne z DNA mężczyzny z mojej sypialni.

– Ktoś przysłał Samancie kwiaty – przypomniał Steven.

– To wariatka. Prawdopodobnie sama je sobie przysłała.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Czy mogę pożyczyć twój samochód?

– Nie masz pojęcia, w co się pakujesz – nie poddawał się Steven. – A jeśli ktoś naprawdę przysłał Samancie kwiaty? Nie chcę, żebyś oberwała, gdy morderca weźmie ją sobie na cel. Może to ta sama osoba, która wmanewrowała cię w wyjazd do Bostonu.

– Jestem prawie pewna, że to Samantha – powiedziałam.

– „Prawie” to za mało – odparł Steven. – Czego zamierzasz się dowiedzieć?

– Czegoś, co tylko jego matka może mi wyjaśnić: dlaczego się w nim zakochałam.

– Dlaczego uważasz, że od niej się tego dowiesz?

– Bo też musiała go kiedyś kochać.

Podczas dziewięciogodzinnej jazdy do Rangeley w stanie Maine miałam aż za wiele czasu na rozmyślania o tym, w co się pakuję. Zatrzymałam się nad rzeką Androscoggin, żeby trochę pospacerować mimo zimna. Usiłowałam wykrzesać z siebie sympatię dla matki Bennetta przed przyjazdem do prowadzonego przez nią małego hoteliku Lake House.

Rangeley w zimie to ciche, zaśnieżone miasteczko; latem turyści zajmują wszystkie domki kempingowe i tłoczą się na jeziorze w łodziach i kajakach.

Nie śpieszyłam się do Lake House. Matka Bennetta spodziewała się mnie dopiero wieczorem. Żałowałam, że zgodziłam się przenocować. Kiedy powiedziałam przez telefon, że byłam zaręczona z jej synem, zrozumiała, że dzwonię w sprawie przyjazdu na pogrzeb. Dopiero od dziesięciu dni wiedziała, że jej dawno zaginiony syn nie żyje. Pogrzeb miał się odbyć w niedzielę.

Uświadomiłam sobie, że nieźle się zaplątałam. Nie zdradziłam matce Bennetta prawdziwego powodu mojej wizyty. Bardzo

chciała mnie poznać. Zapewniała, że moja obecność na pogrzebie i nabożeństwie wiele by dla niej znaczyła. Postanowiłam spełnić jej oczekiwania, a jednocześnie wykorzystać okazję i dowiedzieć się jak najwięcej o dzieciństwie Bennetta. Zamierzałam kontynuować swoje badania.

Zaparkowałam starego saaba Stevena kilka ulic dalej i pieszo udałam się do Lake House. Zamierzałam ocenić budynek, zanim do niego wejdem. Minęłam kilka sklepów ze sprzętem sportowym, sklepik z domowymi wypiekami i pub, w którym siedziało kilku starszuskow. Po drugiej stronie ulicy, za kawiarnią i stacją benzynową, rozciągało się jezioro Rangeley, pokryte gdzieniegdzie lodem. Na brzegu stały hangary na łodzie, pozamykane na kłódki.

Spodziewałam się, że hotelik matki Bennetta będzie podobny do tych, do których mnie zabierał moją narzeczoną, nie dostrzegłam jednak koronkowych firanek ani kandelabrow ze świecami. W

oknach Lake House wisały ciemne rolety. Nie oczekiwałam zimą kwitnących kwiatów w skrzynkach na parapetach, ale byłam

zdziwiona, że kamienna ścieżka prowadząca do drzwi frontowych nie jest oświetlona choćby małymi latarkami. Oszklone drzwi frontowe nie były zasłonięte, mogłam więc zajrzeć do środka przed naciśnięciem dzwonka. Nie dostrzegłam żadnych ozdób; sękata sosnowa boazeria i praktyczne meble tworzyły klimat podobny do panującego w schroniskach dla turystów.

Drzwi otworzyła kobieta o kędzierzawych siwych włosach.

– Jestem matką Jimmy’ego – powiedziała. Od tej chwili zaczęłam myśleć o Bennecie jako o Jimmym. Renee objęła mnie, a ja podałam jej rękę. Położyła mi dłoń na plecach, zachęcając, bym weszła do ciepłego salonu. Oznajmiła, że w kuchni gotuje się woda na herbatę, i zapytała, czy coś jadłam.

Czy jadłam? Nie pamiętałam.

– Podgrzeję rosoł, ktoś przyniosł go wczoraj wieczorem – uśmiechnęła się Renee. – Ludzie są dla mnie bardzo mili.

– Dziękuję. – Pomyślałam, że jej serdeczność jest dla mnie znacznie cenniejsza niż informacje na temat Jimmy’ego.

– Wybierzesz sobie pokój – zaproponowała. – Po kolacji pokażę ci dom. Będziemy tylko we dwie. Siostry Jimmy’ego nie mogą nam dzisiaj towarzyszyć.

Cholera jasna.

Instynktownie spojrzałam na drzwi, jakby oceniając szanse ucieczki. Wolałabym, żeby ktoś do nas dołączył. Przeraziła mnie perspektywa siedzenia przy obiedzie jedynie z pogrążoną w żałobie matką. Czy naprawdę przeżywała żałobę? Miała zaczerwienione oczy i opuchnięte powieki, jakby płakała... nad śmiercią syna, a może nad wszystkimi krzywdami, które jej wyrządził?

Poruszała się po kuchni szybko i zwinnie jak sportowiec. Na oko mniej więcej sześćdziesięcioparoletnia, bez makijażu, nosiła włosy splecione w długi warkocz. Miała na sobie dżinsy, golf i grubą koszulę w czerwonej kratę. Pomyślałam, że pewnie oszczędza na ogrzewaniu. W domu było chłodno.

Weszłam do salonu i spojrzałam na ustawione w różnych

miejscach fotografie w ramkach. Kilka z nich przedstawiało najprawdopodobniej corki Renee w dzieciństwie, na kamienistej plaży. Obok nich stał chłopiec... ich braciszek Jimmy. Uwaga dziewczynek skupiona była na zawartości plastikowych wiaderek, które trzymały w rękach, ale Jimmy patrzył prosto w obiektyw.

Patrząc na tego ośmioletniego chłopca, starałam się nie myśleć o jego późniejszym życiu. Jednak w spojrzeniu malca kryło się coś niepokojącego, była w nim intensywność, niepasująca do oczu małego dziecka.

Kolejne zdjęcie rodzinne przedstawiało siostry bawiące się z kotkiem. Na fotografii obok uwieczniono dziewczynki, mniej więcej w tym samym wieku, bawiące się z psem. Co się stało z kotkiem? Jimmy’ego nie było na żadnym z tych zdjęć.

Probałam nie tworzyć najgorszych scenariuszy, ale dlaczego nie pozował do fotografii z domowymi zwierzętami? Gdzie był ojciec?

Na kominku stało zdjęcie Jimmy’ego w wieku około siedemnastu lat. Z pewnością podkochiwałam się w nim w liceum.

Długowłosy, miał na sobie krotką skórzaną kurtkę, biały T-shirt i dżinsy – uniwersalny zestaw ubrań dla zbuntowanych chłopców, który nosił przez lata. Charakteryzowała go niewymuszona swoboda, widać też było, że drzemie w nim spory



potencjał.

Zastanawiałam się, czy fotografia stała tam zawsze, czy matka wyjęła ją, kiedy dowiedziała się o śmierci syna.

Renee zawołała mnie do kuchni i spytała, czy nie mam nic przeciwko temu, że zjemy przy małym stole. Powiedziała, że w kuchni, przy piecu, jest cieplej. Rzuciłam okiem w stronę głównej jadalni dla gości, ciemnej i nieprzytulnej.

Kiedy usiadłam obok matki Jimmy'ego, poczułam dziwne onieśmienie. Ucieszyłam się, że Renee od razu zadała mi pytanie o syna.

– Czy mogę cię o coś zapytać? Jaki był Jimmy?

Milczałam. Słowa uwięzły mi w gardle.

– Zdaję sobie sprawę, że to trudne pytanie. Ale nie widziałam go dwadzieścia lat. A teraz ty tu jesteś.

Czułam w piersiach ogromny ciężar. To ja nawiązałam z nią kontakt. Znalazłam ją. Byłam jej winna odpowiedź. Ale czy to oznaczało, że jestem jej winna prawdę?

– Miał charyzmę. Lubił przygody. Kochał Maine.

– Bywał tu, w Maine?

Wszystko, co mogłabym teraz powiedzieć, sprawiłoby jej ból. Postanowiłam ratować się niewinnym kłamstwem.

– Bezustannie mówił o Maine.

– Czy wspominał rodzinę?

– Jimmy żył chwilą.

– O, tak.

Przyszło mi do głowy, że matka przytaknęła mi zaskakująco szybko. Postanowiłam odwlec następne pytanie choć na chwilę.

– Jaki był Jimmy jako chłopiec? – zagadnęłam.

– Czarujący. Potrafił namówić swoje siostry na wszystko.

Pewnego razu sam zrobił spadochron i przekonał Vanessę, żeby go przetestowała i zeskoczyła z dachu garażu. Miała szczęście, że nie złamała nogi ani nie przydarzyło się jej coś znacznie gorszego.

Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że to wspomnienie ją bawi, ale tylko dlatego, że corce nic się nie stało.

– Był moim najbystrzejszym dzieckiem, ale nienawidził szkoły. Nie mógł znieść, że nauczyciele mówią mu, co ma robić.

Posłałam go do akademii wojskowej, ale stamtąd uciekł. Jego ojciec służył w lotnictwie. Jimmy nigdy go nie poznał.

Chciałam się dowiedzieć, czy ojciec zmarł, czy porzucił rodzinę, ale czułam, że nie mogę o to zapytać.

– Kim Jimmy chciał zostać w dorosłym życiu?

– Artystą albo muzykiem, to były ostatnie pomysły, o których mi wiadomo. Ale

nigdy nie widziałam, żeby rysował, nie miał też cierpliwości do metodycznych ćwiczeń. Czym się zajmował, kiedy go poznałaś?

Ta kobieta miała nazajutrz pochować syna. Powiedziałam jej, że prowadził galerię sztuki, a później reprezentował muzyków. Te kłamstwa powinny zapewnić jej trochę spokoju. Ja jednak potrzebowałam prawdy.

– Był dla mnie tajemnicą – wyznała.

To była prawda.

Skończyłyśmy jeść. Musiałam wyglądać na zmęczoną, bo

Renee zaproponowała, abym poszła z nią na górę i wybrała sobie jeden z dwóch podobnie urządzonych pokoi.

– W tym okna wychodzą na wschód – powiedziała, więc wybrałam drugi, z nadzieją, że będę mogła dłużej pospać. Pogrzeb zaplanowano dopiero na pierwszą. Powiedziałyśmy sobie

dobranoc, tym razem bez uścisków, a kiedy zamknęłam drzwi, powiesiłam na wieszaku czarną sukienkę, którą przywiozłam na pogrzeb. Miałam ją na sobie na pewnym koktajlu, ale tym razem włożyłam do niej czarne rajstopy, a nie pończochy z koronkowym pasem.

Następnego ranka po przebudzeniu usłyszałam dobiegające z kuchni odgłosy kłótni.

– Jak mogłaś jej pozwolić tu nocować? – Kobieta nawet nie starała się mówić ciszej.

Usłyszałam odpowiedź Renee.

– To nie jej wina. Jechała dziewięć godzin, żeby wziąć udział w pogrzebie. Mam tu mnóstwo miejsca.

– I teraz będziemy musiały przez cały dzień rozmawiać z jego dziewczyną?

– Narzeczoną – poprawiła ją Renee.

– Miała pecha. – Która z siostr była aż tak wściekła, że przyjechałam?

– Prawdę mówiąc, jest całkiem miła. Zobacysz – pocieszała ją Renee.

Właśnie ten moment wybrałam, by pojawić się w kuchni.

Potrzebowałam kawy i miałam nadzieję, że Renee już ją przygotowała dla jedyne gościa swojego hoteliku. Uzbroiłam się w ducha na spotkanie z siostrą Jimmy'ego.

– Morgan – powiedziała Renee. – Poznaj moją córkę Vanesę.

Vanessa była żeńską wersją Bennetta. Jimmym w kobiecym przebraniu. Niższa od brata o kilka centymetrow, miała podobnie ciemne włosy i niebieskie oczy, nawet stała w ten sam sposób, przenosząc ciężar ciała na jedno biodro. Nie była jeszcze ubrana na pogrzeb, może w ogóle nie zamierzała zmieniać stroju na ceremonię? Miała na sobie proste zimowe ubrania z outletu L.L.Bean.

Otakowała mnie wzrokiem od stop do głów, zupełnie się z tym nie kryjąc. Odezwałam się pierwsza. Powiedziałam, że jest mi przykro z powodu śmierci jej brata.

– To jego pierwsza wizyta w domu od dwudziestu lat – odparła. – Myślę, że tym razem nie wyjedzie.

Zapytałam Renee, czy mogę napić się kawy. Zaofiarowała się, że przyniesie mi filiżankę, zaproponowałam, że obsłużę się sama. Renee jednak nalegała i w ten sposób zostałam w kuchni z Vanessą.

– Nacierpiała się przez niego... – westchnęła Vanessa. Nie musiała kończyć. Nie było tu nic do dodania. Zwłaszcza że rozpaczliwie potrzebowałam kawy.

Spróbowałam innej taktyki.

– Kiedy poznam Lisę?

– Przyjedzie – odparła Vanessa, nie siląc się na wyjaśnienia.

Mimo że zachowywała się nieuprzejmie, byłam zafascynowana jej podobieństwem do Jimmy’ego. Miałam ochotę ją sprowokować, żeby to podobieństwo uwidoczniło się w pełni.

– Wyglądasz zupełnie jak on – powiedziałam, czując, że natychmiast mi zaprzeczy.

– Chcesz raczej powiedzieć, że on wygląda zupełnie jak ja... to znaczy wyglądał.

– Czy wasza matka wie, w jaki sposób zginął?

– Słyszałyśmy, że to przez twoje psy. Podejrzewam, że przywiodło cię tu poczucie winy.

– Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, za którego miałam wyjść za mąż – odpowiedziałam, nie dając się podejść.

– My też chcemy. Ale matka nie zniesie więcej złych wiadomości.

Renee wniosła kawę i talerz kupionych w sklepie bułeczek z cynamonem.

Przeprosiła, że nie przygotowała większego

śniadania. Vanessa natychmiast uzmysłowiła matce, że to dzień pogrzebu jej syna i nikt nie oczekuje od niej, że będzie zajmowała się innymi sprawami.

– Siadajcie, siadajcie, proszę – zwróciła się do nas Renee.

Zajęłam miejsce przy stole, ale Vanessa nadal stała.

– Przebierzesz się, kochanie? – spytała ją Renee. –

Zdecydowałeś już, czy pojedziesz na pogrzeb?

Nie zdawałam sobie sprawy, że siostra Jimmy’ego zastanawia się, czy w ogóle wziąć udział w ostatnim pożegnaniu brata.

– Lisa przyjedzie w południe. Może zabrać nas wszystkie – przypomniała jej matka.

– Skoro już tu jestem, to trudno – odparła Vanessa i zapakowała sobie bułkę w papierową serwetkę.

– Stara się mnie chronić – powiedziała Renee, kiedy Vanessa wyszła z kuchni. – Nie mam o to do niej pretensji.

– Chcę, żeby pani wiedziała, jak bardzo mi przykro. Nic nie mogło pani na to przygotować. – Słowo „to” było na tyle

uniwersalne, że mogło oznaczać akurat tyle, ile była gotowa w nim zawrzeć matka Jimmy’ego. Nie zamierzałam rozwodzić się nad sposobem, w jaki odszedł z tego świata. Postanowiłam wziąć przykład z jego matki.

– Doceniam to, że przejechałaś taki kawał drogi, ale chciałabym na chwilę zostać sama – rzekła.

Sięgnęłam po płaszcz i rękawiczki, po czym wyszłam.

Udałam się wzdłuż jeziora do staroświeckiej cukierni, którą zauważyłam z samochodu. Byłam pewna, że budzę

zainteresowanie dziewczyn stojących za ladą. Czyżby przyjezdny po sezonie stanowił tutaj aż taką atrakcję? Nie musiałam się nad tym długo zastanawiać; kobieta mniej więcej w wieku Jimmy’ego zaprosiła mnie do swojego stolika.

– Przejechałaś na pogrzeb Jimmy’ego? – zapytała.

– Znałaś go?

– Od podstawowki – powiedziała. – Więc to ty jesteś tą, którą go w końcu usidliła. Jestem tą?

– Kiedyś miałam na niego oko, ale cudem uszłam z tego cało

– dodała.

Najwyraźniej wszyscy wiedzieli o nim coś, o czym ja nie miałam pojęcia.

– Co masz na myśli? – zapytałam. Póki co, oprócz Renee nie spotkałam tu nikogo, kto byłby dla mnie miły.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

– Dla mnie tak.

– Może ty też uszłaś cało. Zanim uciekł z miasteczka, ukradł matce całe oszczędności.

Przypomniałam sobie, co powiedziała mi kiedyś mądra przyjaciółka: jeśli chcesz wiedzieć, jak mężczyzna będzie cię traktował, obserwuj, jak traktuje swoją matkę.

– A poza tym... wypróbował wszystkie dziewczyny w mieście.

Ta informacja przyprawiła mnie o mdłości, ale również zaintrygowała. Chciałam, żeby ta kobieta opowiadała dalej, a jednocześnie wolałabym żeby zamilkła. Podjęła decyzję za mnie.

– Miło było cię poznać – powiedziała, wstając. – Pozdrow ode mnie Renee.

Wyszła, zostawiwszy mnie z nietkniętą kawą i poczuciem, że źle wybrałam zawód.

Nie miałam pojęcia o ludziach.

Lisa przyjechała po nas starym czarnym jeepem cherokee.

Wzięła Renee pod rękę, kiedy szliśmy do samochodu. Vanessa zwolniła dla matki miejsce przy kierowcy, co oznaczało, że będziemy siedziały obok siebie na tylnym siedzeniu. Nie przebrała się na pogrzeb. Matka miała na sobie czarną wełnianą spodnicę i sweter, spod którego wystawał wzorzysty golf; czarne rajstopy i płaskie czółenka. Lisa najwyraźniej się postarała. Tego dnia włożyła prostą, dopasowaną czarną sukienkę, płaszcz z wielbłądziej wełny i czarne kozaki do kolan.

– Włączysz radio? – spytała Vanessa.

Lisa sprawiała wrażenie zszokowanej.

– Żartujesz sobie?

– Co ci przeszkadza odrobina muzyki?

Renee powiedziała, że nie ma nic przeciwko muzyce, byle była to muzyka klasyczna.

– Nie to nie – odparła Vanessa.

Moje serce gwałtownie przyśpieszyło – równie dobrze mogłby to powiedzieć jej brat.

Potem zapadła cisza, nie licząc krótkiego sporu siostr o to, którą drogą jechać do kościoła. Bennett powiedział mi, że wychował się w rodzinie metodystów, więc zdziwiłam się, kiedy wjechałyśmy na parking przy kościele Matki Bożej Królowej Jezior w Oquossoc, eleganckiej świątyni katolickiej z czerwonej cegły, oddalonej o dziesięć minut jazdy od Rangeley. Wnętrze z krzyżującymi się przy sklepieniu belkami przypominało mi bawarską piwiarnię. Nie byłabym zaskoczona, gdyby wszystkie ławki były pełne; nie dziwiłabym się, gdyby były puste. W każdym razie myślałam, że ludzie przyjdą tu dla Renee, a nie ze względu na jej wiarołomnego syna. Miałam rację: wśród zgromadzonych przeważały kobiety w wieku Renee. Wiele miejsc pozostało wolnych. Organista zaintonował hymn „Nie lękajcie się”, często słyszany na katolickich pogrzebach. Dajcie mi powód, żebym się nie lękała, pomyślałam.

– Ile wydałaś na tę trumnę? – zapytała matkę Vanessa.

Lisa uciszyła ją pierwsza.

– Mówię poważnie – ciągnęła Vanessa. – Potrzebujesz nowego pieca.

– Daj spokój – zachnęła się Renee.

Nadszedł ksiądz. Ojciec Bernard przywitał się z rodziną zmarłego i skinął mi głową, kiedy Renee dokonała prezentacji.

Ujął dłonie matki Jimmy’ego i przemawiał do niej łagodnie, wypowiadając zwyczajowe formuły pocieszenia. Kiedy odwrócił

się, by podejść do ołtarza, zaczęłam się zastanawiać, czy mam klękać razem z innymi, czy mogę siedzieć. Nie byłam katoliczką, ale nie chciałam zwracać na siebie uwagi w tym małym miasteczku. Nawet jeśli uklęknę, nie przyjmę komunii. Nie istniało

dobrze wyjście z sytuacji.

Msza pogrzebowa odprawiana była po łacinie – Renee powiedziała mi, że o to prosiła. Opływały mnie niezrozumiałe dźwięki. Religijne obrzędy, chociaż nieznane, działały na mnie kojąco.

Ostatnią ceremonią pożegnalną, w której uczestniczyłam, był pogrzeb Kathy. Urządziliśmy jej „zielony” pogrzeb. Bez trumny, bez nagrobka. Ciało owinięte w całun zawieźliśmy na ręcznym wozku w głąb lasu w jej rodzinnym stanie Wirginia, gdzie w wyznaczonym miejscu my, czyli przyjaciele zmarłej, wykopaliśmy grob. Pod koniec Kathy prawie nic nie ważyła. Podnieśliśmy ją z wozka i złożyliśmy w dole. Kiedy zakryliśmy grob ziemią, rozrzuciliśmy na nim liście i starliśmy gałązkami ślady naszych stop.

Po nabożeństwie ksiądz wezwał kilku młodych mężczyzn z wspólnoty, aby wynieśli trumnę z kościoła. Zazwyczaj rodzina pierwsza wychodziła za trumną, ale czy ja należałam do rodziny?

Przy grobie ksiądz zachęcił żałobników, aby dokonali „zwyyczajowego pożegnania”. Renee z cichym łkaniem upuściła na trumnę pojedynczą białą różę. Lisa wrzuciła do grobu garść ziemi.

Vanessa tylko patrzyła na trumnę brata. Bałam się, że za chwilę na nią napluje. Po chwili się odwróciła. Ciekawe, czy odciągnęłaby mnie, gdybym postanowiła się pożegnać. Nie miałam jednak nic do powiedzenia ani do rzucenia na trumnę.

Vanessa podtrzymywała matkę, Lisa stała obok, płacząc.

Nie byłam na tyle dobrą aktorką, by przekonać Lisę, że łączę się z nią w bólu, ale starałam się włożyć odrobinę uczucia w tradycyjne kondolencje. Podziękowała i powiedziała, że będzie jej brakować Jimmy’ego, chociaż tęskniła za nim przez wiele lat, od kiedy odszedł od rodziny. A potem dodała, że wstrząsnęła nią wiadomość o tak gwałtownej śmierci brata.

– Czy mogę cię o coś zapytać? Czy on sam był kiedykolwiek agresywny?

– Co masz na myśli? – zapytała Lisa. Sprawiała wrażenie zaskoczonej moim pytaniem. – Czy był agresywny wobec ciebie?

Powiedziałam jej, że policja z Bostonu podejrzewa go o zamordowanie kobiety.

– Nic nam o tym wiadomo. Kim była ta kobieta?

– Jego narzeczoną – odpowiedziałam.

– Więc kim, do diabła, ty jesteś? – Lisa nie kryła zdumienia.

– Miał więcej niż jedną.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

Vanessa dostrzegła wzburzenie siostry i zostawiwszy matkę w otoczeniu znajomych, podeszła do nas, by zapytać, co się dzieje.

– Ona twierdzi, że Jimmy był mordercą – powiedziała Lisa. –  
Że zabił swoją narzeczoną. Swoją drugą narzeczoną. Jak ci się to podoba?

– Nie wiem, kim jesteś i czego od nas chcesz, ale powinnaś już sobie iść –  
zwróciła się do mnie Vanessa.

Wyglądała i mówiła zupełnie jak Bennett; poczułam się,  
jakby to on sam kazał mi wyjść ze swojego pogrzebu. Ostatni raz go posłuchałam.

## 21

Przed wyjazdem do Maine skontaktowałam się z azylami dla zwierząt, które mogłyby przyjąć Cloud – zaczęłam od najlepszego

– Best Friends w Kanab w stanie Utah. Chciałam mieć Cloud jak najbliżej siebie i ludziłam się, że znajdę odpowiednie miejsce na północnym wschodzie Stanów. Wszystkie schroniska miały listy oczekujących wypełnione na najbliższy rok. Ponieważ „niebezpieczne psy” trzymano osobno i nie pozwalano im bawić się z innymi psami ani kontaktować z ludźmi, poza opiekunem, który wyprowadzał je na spacer, czekało je życie w izolacji.

Znałam parę osób ze środowiska opiekunów zwierząt. Uważali, że to rozwiązanie jest gorsze niż uspienie. Psy wariowały w takich warunkach, każdy na swój sposób. Jak mogłam skazać swojego psa na taki los? Czy wybór mniejszego zła był najlepszym wyborem dla Cloud? Co było tym mniejszym złem? Postanowiłam zasięgnąć opinii McKenziego.

Nadal spałam na rozkładanej sofie Stevena. Zrobiłam sobie kawę i zadzwoniłam do biura McKenziego. W słuchawce rozległ się znajomy głos.

– Kancelaria Laurence’a McKenziego – odpowiedział głos.

– Billie?

– Tak, czy mam przekazać wiadomość mecenasowi McKenziemu?

– To ja, Morgan.

– Morgan! Zastanawialiśmy się, co się z tobą dzieje.

– Co ty tam robisz?

– Pomagam. Jego sekretarka rzuciła pracę – odparła Billie.

Usiłowała stać się dla niego niezbędną.

– Kiedy wróci McKenzie? – zapytałam.

– Faye, przestań kłapać zębami – powiedziała Billie do suki McKenziego. –

Przepraszam – zwrociła się ponownie do mnie. – O co pytałaś?

– Chciałam porozmawiać z McKenziem w sprawie Cloud – powiedziałam. – We wszystkich schroniskach, do których dzwoniłam, są długie listy oczekujących.

– Więc co zamierzasz?

– Dręczy mnie myśl, że to George miał więcej szczęścia – zdobyłam się na szczerość.

– Dwa tygodnie temu tak nie myślałaś.

– Muszę porozmawiać z McKenziem – powtórzyłam. –



Mogłabyś go poprosić...

– Jest tutaj – powiedziała. – W gabinecie. – Zaraz cię połączę.

McKenzie przywitał mnie bardzo serdecznie. Wyjaśniłam,

dlaczego dzwonię, i zapytałam, czy moglibyśmy się spotkać po pracy w Crown Vic.

Wybrałam neutralny grunt, czyli nowy lokal na terenie dawnej stacji serwisowej samochodów policyjnych.

Miałam nadzieję, że McKenzie nie przyprowadzi ze sobą Billie; chciałam być z nim sama. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, należało to uznać za małostkowość. Mieliśmy rozmawiać o wartości psiego życia, nie powinna mną kierować przyziemna zazdrość. Mimo wszystko byłam jednak urażona, że wolał Billie ode mnie.

Kiedy weszłam do Crown Vic, siedział przy barze.

Ucieszyłam się, że wybrał miejsce blisko kominka, bo trochę zmarzłam. Zeskoczył ze stołka i wyciągnął do mnie rękę. Spora zmiana w porównaniu z powitalnym uściskiem poprzednim razem.

Przesunął swoją szklankę w moją stronę.

– Spróbuj – zachęcił. Zaskakująco intymny gest po uścisku dłoni, pomyślałam. – Nazywa się „Wściekły sadownik”. Whisky z mocnym cydrem – wyjaśnił.

Posłusznie wypiałam łyk. Kiwnęłam głową, a McKenzie zamówił dla mnie drinka.

Było dość wcześnie i pustawo. Spodobało mi się siedzenie obok McKenziego na barowym stołku przy trzaskającym w kominku ogniu. Pozwoliłam sobie na chwilę odprężenia, po czym przedstawiłam McKenziemu mój problem.

– Znasz swojego psa lepiej niż ktokolwiek inny – powiedział.

– Tu nie ma mowy o gorszej lub lepszej decyzji.

– Może to George wylosował szczęśliwszy los – rzuciłam, chcąc go wybadać.

– Uważam, że powinniśmy zapewnić naszym psom najlepsze życie, jakie zdołamy, a jeśli to życie nie jest wystarczająco dobre, powinniśmy z miłością je uwolnić. Nie mówię, że łatwo jest dokonać takiego wyboru.

Widziałam, że nie chce mi niczego narzucać i byłam mu za to wdzięczna. Wyrażał się na tyle mgliście, żebym mogła przyjąć jego odczucia za swoje, jeśli tylko zechcę. Z pewnością nie będzie oceniał moich wyborów. Za to również byłam mu wdzięczna.

– Czy ty też musiałeś dokonać takiego wyboru? – zapytałam.

– Musiałem zdecydować, czy chcę żyć. Po śmierci mojej żony.

– Steven powiedział mi o wypadku w morzu.

– To ja namowiłem ją, żeby zaczęła nurkować. Dla mnie była skłonna przezwyciężyć swój lęk przed głębiną.

Chciałam być dla niego takim samym słuchaczem, jakim on był dla mnie. Żadnych osądów. Żadnego łatwego pocieszenia. Pozwoliłam mu mówić.

– Szukałem odpowiedzi nawet w książkach. W *Smutku* C.S.

Lewis pisał o śmierci swojej żony, ale książka mówi nie tyle o smutku po jej stracie, co o jego utracie wiary w Boga.

Opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam na temat dzieciństwa C.S. Lewisa; o tym, że kiedy miał cztery lata, jego pies Jack zginął pod kołami samochodu. Od tej chwili przyszły pisarz reagował wyłącznie na imię Jack; nawet na starość najbliżsi przyjaciele i rodzina tak się do niego zwracali.

Przestraszyłam się, że McKenzie pomyśli, że porównuję chłopca, który stracił ukochanego psa, do mężczyzny, któremu umarła żona. Szybko zorientowałam się, że nie mam powodów do obaw.

McKenzie się roześmiał.

– W końcu jest jakiś powód, żeby lubić C.S. Lewisa.

– Zgłodniałeś? Zamówiłabym zapiekankę z serem i zjedlibyśmy na społkę – zaproponowałam.

– Bardzo bym chciał, ale mam spotkanie o siódmej – powiedział. Spojrzałam na jego zegarek – zostało piętnaście minut.

Pomyślałam, że umowił się z Billie, ale oczywiście nie zapytałam o to.

– Kiedy C.S. Lewis nie pomógł, znalazłeś kogoś innego? – zapytałam. – W książkach albo w życiu?

– Niedługo później brałem udział w procesie przeciwko szkole podstawowej w Connecticut, która zabroniła dziesięcioletniej dziewczynce z porażeniem mózgowym przy prowadzić na lekcje swoją asystentkę, kapucynkę o imieniu Maddie. Małpka była wytresowana, nosiła pieluchę, żeby nie nabrudzić w klasie, i ogólnie rzecz biorąc, zachowywała się wzorowo. Dziewczynka potrzebowała jej pomocy w podstawowych sprawach. Rodzice innych dzieci i zarząd szkoły obawiali się chorób, które mogą przenosić małpy, chociaż nie ma na to żadnych dowodów, a zwierzątko było regularnie szczepione.

Właściwie w tej sprawie nie miałem nic do roboty. Dziewczynka opowiedziała ze szczegółami, jak wyglądało jej życie przed Maddie, a potem wyjaśniła sądowi, co jest w stanie zrobić teraz z jej pomocą. Wiesz, jaki argument okazał się najbardziej przekonujący? Powiedziała, że zanim dostała Maddie, nikt nie rozmawiał z nią w szkole. Od kiedy towarzyszy jej Maddie, dziewczynka stała się popularna. Wszystkie dzieci chcą poznać małpkę-asystentkę. „Po tym przestałam się uzalać nad sobą”, powiedziała. Ja też – zakończył McKenzie.

– Przestałeś się uzalać nad dziewczynką, czy nad sobą?

– I nad nią, i nad sobą.

Powaliła mnie jego ironia. McKenzie otworzył się przede mną bardziej, niż zrobiłby to w wypadku, gdyby był mną zainteresowany. Skoro związał się z kimś innym, poczuł się swobodnie w moim towarzystwie. Ale dlaczego to musiała być Billie? A dlaczego nie?, myślałam.

McKenzie włożył płaszcz i poprosił, żebym do niego zadzwoniła, kiedy podejmę decyzję w sprawie Cloud. Nie podał mi ręki na pożegnanie. Zamknął mnie w mocnym uścisku i staliśmy tak przez zbyt krótką chwilę.

Zostałam w Crown Vic, tym razem jednak nie czułam potrzeby, by szukać mężczyzny, z którym mogłabym spędzić noc.

Dokończyłam drinka i podniosłam wzrok na telewizor nad barem.

Właśnie leciały wiadomości, ale głośna muzyka zagłuszała słowa reportera.

Rozpoznałam natomiast kobietę, której zdjęcie pojawiło się na ekranie: była to Pat. Kolejna fotografia przedstawiała Latynosa, podpisanego jako robotnik napływowy z East Endu na Long Island. Według policji, mówił reporter, mężczyzna jest podejrzany o zamordowanie Pat Loewi. Reporter posłużył się tytułem prasowym, który wszedł już do języka potocznego, nazywając morderstwo „sprawą bez serca”.

Byłam wdzięczna losowi, że znalazłam się w miejscu, w którym nikt mnie nie znał. Anonimowość zapewniła mi coś w rodzaju komfortu w tej trudnej sytuacji. Czułam palący wstyd.

Przez cały czas uważałam, że to Samantha ponosi winę za śmierć Pat. Teraz byłam skłonna przyznać rację policjantom, przecież w końcu znali się na swojej robocie. Ta wiadomość stała się zachętą do porzucenia obsesyjnego przekonania o winie Samanthy.

Dlaczego imigrant nie miałby zabić Pat? Przypomniałam sobie sprawę morderstwa Christy Worthington w Cape przed kilkoma laty. Mieszkańcy byli przekonani, że doskonale wiedzą, kim jest morderca, wytypowano też drugiego podejrzanego, ale trzy lata później aresztowano, a rok później skazano za morderstwo pracownika służb oczyszczania miasta o nazwisku Christopher McCowen.

Byłam idiotką, wymuszając na detektywach, żeby przyjrzeni się powiązaniom pomiędzy morderstwami Pat i Susan Rorke.

Byłam idiotką, podejrzewając Samanthę.

Chwilową ulgę przyćmiła mroczna, obciążająca świadomość, którą ciężko mi było zaakceptować. Zakochałam się w Jimmym Gordonie, podrzędnym przestępcy z prowincji. Wyrosł z niego dokładnie taki typ drapieżnika, jaki badałam; moja wiedza nie tylko nie ochroniła mnie, ale wręcz popchnęła w ramiona oszusta!

Etta James śpiewała *At Last*. Przesunęłam się bliżej kominka i zamowiłam zapiekankę z serem.

Miałam trzymiesięczne opóźnienie z pracą magisterską, ale liczyłam na to, że Leland, moj promotor, zastosuje wobec mnie taryfę ulgową. Wybrałam go na

promotora, bo zachwyciły mnie jego książki – nie tylko fascynujące, lecz także pięknie napisane.

Takie dzieła pragnęłam tworzyć – wprawdzie nie miałam szans zostać poetką, ale ogólnie pisanie szło mi całkiem nieźle.

Rysunek przyklejony taśmą do drzwi jego pokoju, autorstwa Gary’ego Larssona, przedstawiał psychiatrę zwróconego twarzą do pacjenta leżącego na kozetce. W notatniku psychiatry widniały tylko dwa słowa: „Kompletny wariat!”, podkreślone trzy razy.

Odwiedzający gabinet Lelanda, z lampą typu lava i indiańskimi amuletami na ścianach, mieli wrażenie, że przenieśli się w czasie do lat sześćdziesiątych. Jak powiedział mi kiedyś Leland, jego rodzice byli hipisami, zanim znaleźli przystań w środowisku akademickim. On sam wyrzekł się ich młodzieńczych skłonności na rzecz uregulowanego życia uniwersyteckiego.

Dodał, że lubi rękodzieła matki na swoich ścianach. Jego partner, o którym mówił po nazwisku – Emory – podarował mu wielką piłkę do ćwiczeń, na której Leland usiłował siedzieć przy biurku, zamiast korzystać ze swojego wygodnego fotela.

Wyglądał

komicznie; roześmiałam się, widząc jego starania o utrzymanie równowagi.

– Mam nadzieję, że ta moda szybko przeminie – wyznał, po czym z westchnieniem skapitulował i wroczył na fotel.

Usiadłam naprzeciwko niego po drugiej stronie biurka i zaczęłam od przeprosin.

Przerwał mi, zapewnił, że cieszy się z mojej wizyty i że bardzo mu przykro z powodu moich przeżyć. Napisał to wszystko w liście, który dostałam od niego zaraz po śmierci Bennetta –

otrzymałam wiele takich serdecznych zapewnień, ale nikomu nie odpisałam.

Jego wyrozumiałość wzruszyła mnie do łez. Miałam

nadzieję, że się nie rozkleję, że uda mi się w porę opanować. Nie było sensu udawać, że jestem w dobrej formie; wszyscy widzieli, że jestem rozbita. Leland poprosił, żebym przede wszystkim zadbała o siebie. Kiedy spytałam, ile wie o Bennecie, odparł, że był to oszust podejrzany o morderstwo. Powiedział, że poprze moj wniosek o urlop, jeśli będę go potrzebowała. Przekonywał mnie jednak, że codzienna praca, nawet godzinę dziennie, mogłaby mi pomóc. Czy dałabym radę pracować godzinę dziennie, biorąc pod uwagę to, jak wyglądają moje dni? I czy nadal wierzę we własne tezy?

– To nie są zwykłe wątpliwości, które nachodzą człowieka po napisaniu pracy magisterskiej – wyznałam. – Jestem zmuszona dokonać ponownej, dogłębnej oceny tego, co uważałam za pewnik.

Kiedy zaczynałam, sądziłam, że potrafię stworzyć nową typologię ofiary. Wierzyłam, że współczujące kobiety przyciągają

szczególny typ drapieżnika. Myślałam, że posiadam wszystkie dane. Ale sama padłam ofiarą jednego z nich, więc czy można mówić o moim obiektywnym spojrzeniu? Gdzie jest moja wiarygodność?

– Kto lepiej od ciebie potrafi zbadać to zjawisko?

– Właśnie w tym tkwi największy problem. Internetowy profil, który stworzyłam i który spodobał się „Bennettowi”, był obliczony na przyciągnięcie grupy kontrolnej, a nie drapieżnika.

– A co powiesz o policjancie, który padł ofiarą kradzieży?

Według mnie ma szansę stać się lepszym policjantem. Patrz na wszystkie karty, które trzymasz w ręku, nie tylko na te, które uważałaś za najmocniejsze. Znajdziesz nowy sposób, żeby zinterpretować swój materiał.

Powiedziałam Lelandowi, że jego wyrozumiałość i wskazówki są dla mnie bardzo cenne. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, miałam nadzieję, że nie napisał w swoim notesie:

„Kompletna wariatka”.

Tego dnia biegałam ze spotkania na spotkanie jak w sztafecie. Od mojego promotora pojechałam do gabinetu Cilli, jakbym miała przekazać pałeczkę. Nie rozmawiałam z nią od powrotu z pogrzebu w ubiegłym tygodniu. Sądziłam, że porozmawiam z nią o pobycie w Maine, ale od rozmowy z Lelandem ten temat przestał być już moim priorytetem.

Cilla zaproponowała mi herbatę, jak zawsze, kiedy wyglądałam na zdenerwowaną, a wyglądałam tak za każdym razem.

– Moj promotor idzie mi na rękę, ale nadal uważam, że moj internetowy profil dał sygnał inny od zamierzonego. Wszystkie ulubione powieści, jakie w nim wpisałam, stanowiły wariacje na temat „rzeczy nie są takie, jakimi nam się zdają”. A jako ulubioną piosenkę wpisałam *Love Interruption* Jacka White’a.

– Nie znam – przyznała Cilla.

Zaśpiewałam kilka pierwszych wersów.

– „Chcę, aby miłość powoli mnie przewrociła, wepchnęła mi noż pod żebro i przekreśliła...”.

– Dobry Boże – westchnęła Cilla, a jej śmiech przeszedł w kaszel. – Czy to dlatego poszła pani do tego Cajuna?

– Potwora z bagien – poprawiłam ją. – Ale Potwor z bagien nie kontrolował sytuacji – podkreśliłam.

– To mogło się zmienić w ułamku sekundy – zauważyła Cilla.

– Miałam widownię w sąsiednich mieszkaniach. Zupełnie jak w *Oknie na podwórze*.

– Wystawiła się pani na widok anonimowych sąsiadów, po

czym poszła do domu sama, późno w nocy, przez dzielnicę przemysłową.

– Owszem, rzeczywiście.

– Moja droga, muszę przyznać, że to jest zachowanie potencjalnej ofiary – podsumowała Cilla.

– Czy właśnie tak mnie pani postrzega?

– Poszła pani do mieszkania z kobietą, którą właśnie poznała w autobusie, i została pani zgwałcona przez jej chłopaka. Od dawna wystawia się pani na ryzyko. Nie postrzegam pani jako ofiary, absolutnie, ale dostrzegam pewien wzorzec autodestrukcyjnych zachowań. Albo przejęła go pani, mieszkając ze swoją udręczoną matką, albo ma pani ku temu predyspozycje neurologiczne. To drugie wymaga pewnej formy aktywacji z zewnątrz – na przykład gwałtu, który pani przeżyła.

– Chce pani powiedzieć, że „sama się o to prosiłam”?

– Nikt się nie prosi o to, co panią spotkało.

– W takim razie uważa pani, że sama jestem typem kobiety z moich badań?

– Uzna mnie pani za freudystkę, ale zaryzykuję: a sądzi pani, że nią jest?

Miałam ochotę odpowiedzieć coś opryskliwego, ale ugryzłam się w język. I wtedy doznałam olśnienia. Nie chodziło o „albo”, lecz o „i”. Byłam i tym, i tym. Kobieta, która studiuje wiktymologię, a zarazem kobietą, która stała się ofiarą za sprawą swoich czynów. Czyż to właśnie nie ten dualizm czyni nas ludźmi?

I czy byłoby mi łatwiej myśleć o sobie jako o obu tych osobach jednocześnie niż o jednej z nich?

W drodze powrotnej przechodziłam obok teatru Delacorte.

Ostatnim razem oglądałam tam Meryl Streep w *Matce Courage* –

porywający spektakl oraz pierwsza i ostatnia randka. Kto by pomyślał, że można mieć ochotę na seks po *Matce Courage*, ale ja i mój partner obściskiwaliśmy się po przedstawieniu obok zamku Belvedere w Central Parku. Skręciliśmy w gąszcz Ramble, a moja wypaczona logika pozwoliła mi pojąć za nim kamienistą, nieoświetloną ścieżką. Wierzyłam, że jestem bezpieczna, skoro dookoła roi się zapewne od homoseksualnych par. W końcu

Ramble z tego słynęło. Co sobie myślałam? Że jeśli zacznę wzywać pomocy, to uprawiający seks geje rzucą wszystko i

przybiegną mi na pomoc? Na heteroseksualnych mężczyzn nie miałam co liczyć.

McKenzie nie zaprowadziłby mnie do Ramble. Stop! Znowu

pomyślałam o McKenzie. Cilla i ja zakończyłyśmy spotkanie pytaniem, dlaczego w moim życiu było tylu Potworów z bagien, a żadnego McKenziego. Tymczasem on wybrał Billie. Billie zaoferowała mu pomoc, a ja chciałam, żeby to on pomógł mnie.

Szłam dalej, w kierunku lodowiska. Nie miałam ochoty

jeździć na łyżwach, ale serwowali tam najlepszą gorącą czekoladę w mieście.

Ktorejs zimy przychodziłam na łyżwy dwa albo trzy razy w tygodniu, by poczuć się jak dziecko i pomimo tłoku cieszyć się radością płynięcia po lodzie. Ostatecznie zniechęciła mnie muzyka – za każdym razem, kiedy przychodziłam, z głośników dudniła składanka piosenek Lionela Richie.

Zauważyłam opatulonego po uszy bezdomnego mężczyznę, siedzącego na ławce i czytającego *Wojnę i pokój* w miękkiej okładce. Sprzedawca pieczonych kasztanów ogrzewał dłonie w rękawiczkach pod lampą utrzymującą kasztany w ciepłe. Ludzie prowadzili na plecionych skorzanych smyczach psy w ubrankach z ekskluzywnych sklepów. Elegancko ubrany mężczyzna w dwóch różnych rękawiczkach zasalutował mi w przelocie. Miły albo wariat – nie zdążyłam się zorientować.

Sol z chodników pozostawiła białe obwódki na moich czarnych butach; będę musiała je wypastować po powrocie do domu. Zbliżałam się do znajomego budynku, gdy przypomniałam sobie badanie dotyczące momentu, w którym pies orientuje się, że właściciel wraca do domu; powstał film o psach siadających przy drzwiach w chwili, gdy właściciele wychodzą z pracy, nawet jeśli dzieje się to w różnych godzinach. Usłyszałam histeryczne szczekanie Olive, zanim zdążyłam otworzyć drzwi na dole.

Pobiegłam na górę, żeby uspokoić ją, zanim sąsiedzi się zdenerwują.

Wzięłam Olive na szybki spacer, żeby wynagrodzić jej moją długą przechadzkę. Nie miała nic przeciwko temu. Prawdę

mówiąc, wyglądała na zadowoloną. Po powrocie zwinęła się w kłębek przy moich nogach, podczas gdy czekałam, aż zagotuje się woda na herbatę. Słyszałam szmer rozmów w sąsiednim mieszkaniu i podobały mi się te przytłumione dźwięki – miałam towarzystwo bez konieczności bycia w towarzystwie. Nadeszła pora, kiedy światła w mieszkaniach zamieniają okna w lustra, kiedy nie można już dostrzec kolorów na niebie. Wyłączyłam kuchenną lampę, żeby nie widzieć swojego odbicia w oknie.

Ciemność umożliwiła mi zaglądnienie do mieszkań innych ludzi, chociaż nie zobaczyłam niczego przypominającego moją występowanie u Cajuna, tylko obcych przygotowujących kolację.

Mój skomplikowany pakiet internetowo-telewizyjnotelefoniczny, na który namówił mnie przedstawiciel firmy

telekomunikacyjnej (pierwsze dwa miesiące za darmo), obejmował synchronizację wszystkich moich urządzeń elektronicznych – czy sobie tego życzyłam, czy nie. Oznaczało to, że jeśli dzwonił

telefon, a ja oglądałam telewizję, numer telefonu migał w rogu ekranu, przerywając dokumentalne programy kryminalne, jedyne, jakie mnie interesowały. Dawniej nie mogłam uwierzyć, jak łatwo ludzie dają się podejść, jak banalnie rozpoczyna się proces zbrodni. Teraz byłam jedną z tych, które dały się nabrać.

Największe wrażenie zrobił na mnie program o kobietach odkrywających poniewczasie prawdziwe oblicze swoich mężów: bigamistów, morderców i gwałcicieli.

Na ekranie zamigotał numer telefonu.

– Masz jakieś wiadomości od faceta, którego nazywasz Bennettem? – zapytała Samantha. – Milczy od dziesięciu dni – dodała. W jej głosie słyszałam napięcie i strach.

– Nie, od kiedy wrociłam z jego pogrzebu.

– O czym ty mówisz?

– Jego matka mnie zaprosiła. Pogrzeb odbył się w Maine.

– Co mu się stało? – zapytała Samantha, wyraźnie zdezorientowana.

Mogłam zacząć się nad nią pastwić i dawkować jej informacje. Mogłam być ironiczna i szydzić z jej odmowy pogodzenia się z oczywistą prawdą. Wiedziałam jednak również, że Samantha jest zrozpaczona i wytracona z równowagi, a być może ktoś ją torturuje psychicznie, podając się za Bennetta.

Zwyciężyły dojrzałość i profesjonalizm. Powiedziałam Samancie, że kiedy odnalazłam jego matkę, załatwiła właśnie transport lotniczy szczątków syna do ich rodzinnego miasteczka Rangeley w Maine. Prawdziwe nazwisko Bennetta brzmiało Jimmy Gordon.

Powiedziałam też, że został zabity przed pięcioma miesiącami.

Było mi przykro, że muszę przekazywać jej tę wiadomość po raz drugi.

– Nigdy nie słyszałam o Jimmym Gordonie, ale mój narzeczony jest w Kanadzie i jeszcze dziesięć dni temu wysyłał mi mejle – odparła Samantha.

– Ktoś się z tobą kontaktuje, ale to nie on.

– Chcę numer telefonu do tej kobiety.

– Nie powinnaś zakłócać spokoju jego matce. Jest w żałobie.

– Staralam się mówić spokojnie i łagodnie. Wiedziałam, jak łatwo teraz o fałszywy ruch. Co mam zrobić, żeby przekonać Samanthę o jego śmierci? A jeśli ją przekonam, to kogo zaczniesz podejrzewać o podszywanie się pod niego? Czy to nie uczyni z niej podwójnej ofiary?

– Jesteś taka okrutna, bo zostawił cię dla mnie, prawda? –

Samantha usiłowała uporządkować informacje.

– Po prostu mówię to, co wiem. Nie wiem, jak jeszcze mogę cię przekonać.

– Daj mi znać, jeśli dostaniesz od niego jakąś wiadomość.

W John Jay zmuszono kiedyś nas – uczestników zajęć z psychologii – do udziału w pewnym ćwiczeniu. Podzielono nas w pary i jedna z osob miała mówić do partnera „Nie, nie możesz”.



Partner z kolei miał odpowiadać „Tak, mogę”. Byłam w parze z Amabile. „Możecie zaczynać!”, oznajmił profesor.

Amabile usiadł, zwrócony twarzą do mnie i powiedział „Nie, nie możesz”. „Tak, mogę”, odpowiedziałam natychmiast.

Uśmiechnął się i powiedział „Nie, nie możesz”, z nieco większym naciskiem. „Tak”, poprawiłam go, „mogę”. Powtarzaliśmy to w kołko, dopoki uśmiechy nie zniknęły nam z twarzy. Byliśmy zdumieni, jak szybko zirytowały nas te proste zdania. Czułam, że zrobiłam się czerwona. Amabile mnie nie słuchał. Podniósł głos.

Wiedziałam, że podobnie reagują pozostali uczestnicy.

Tak właśnie się czułam, rozmawiając z Samanthą. Nie słuchała. Moje słowa odbijały się od niej jak od ściany.

Posłuchałam rady Lelanda i następny dzień spędziłam w uczelnianej bibliotece, przeglądając bazę danych Medline.

Czytałam artykuły doktora Laurence'a Tancrediego na temat silnego wpływu hormonów, narkotyków, anomalii genetycznych, urazów i traumatycznych doświadczeń na strukturę i funkcjonowanie mózgu. Błędna ocena, argumentował Tancredi, może wynikać z zaburzeń fizjologicznych. Chciałam uwzględnić jego teorię w mojej pracy – założenie, że jesteśmy „zaprogramowani” do pewnych zachowań.

Poszukiwałam głównie wiadomości na temat zjawiska znanego jako „neurony lustrzane”. Neurobiolog V.S.

Ramachandran powiedział, że „neurony lustrzane staną się dla psychologii tym, czym DNA stało się dla biologii”. Neurony lustrzane zostały odkryte u małp w 1992 roku. Grupa włoskich naukowców zaobserwowała, że kiedy małpa sięga po jakiś przedmiot, uruchamiają się u niej te same neurony, co u małpy, która patrzy na inną małpę sięgającą po ten przedmiot.

Ramachandran, podobnie jak wielu naukowców, uważa, iż neurony lustrzane stanowią budulec dla podstawowych umiejętności

człowieka: naśladownictwa, intuicyjnego odgadywania, o czym myśli druga osoba, oraz – co najważniejsze – empatii. Teoria Ramachandrana głosi, że autyzm jest następstwem zniszczonych komórek lustrzanych. Prokowałam znaleźć wystarczająco dużo informacji, aby móc potwierdzić własną teorię. Socjopaci również mają zniszczony system neuronów lustrzanych.

Po powrocie do domu, na sekretarce zastałam wiadomość od

Billie. Znalazła azyl dla zwierząt niedaleko New Milford w stanie Connecticut, z krótką listą oczekujących. Pytała, czy mam ochotę wybrać się tam z nią i zobaczyć, czy to miejsce nadaje się dla Cloud.

Przyjechała po mnie swoim starym volvo, tak nieskazitelnie czystym w środku jak tamtego dnia na Staten Island po teście charakteru. zaproponowałam zwrot pieniędzy za benzynę, ale powiedziała, że nie trzeba, bo zatankowała do pełna. Był piękny dzień, idealny na półtoragodzinną jazdę do Connecticut.

Billie znalazła to schronisko dzięki koleżance, która działała kiedyś dla Bad Rap, organizacji zajmującej się pitbulami w Oakland w Kalifornii. Po latach przepracowanych w sieci schronisk na północnym wschodzie koleżanka wyruszyła na zachód i założyła schronisko For Pitties' Sake, do którego zmierzaliśmy; to miejsce także było przeznaczone dla pitbuli, ale nie odmawiało azylu innym rasom.

– Nigdy nie mieli tam pirenejczyka – dodała Billie.

I to był koniec rozmowy o psach. Jakbyśmy się zmówiły,

jechałyśmy w milczeniu aż do wyjazdu na Rye, gdzie szczęśliwie obyło się bez

korkow.

– Matka zabierała nas często do Playlandu – powiedziała

Billie. – Parę minut drogi stąd. Była tam „Gonitwa”, karuzela z końmi, które wyglądały, jakby uciekały w popłochu. Po cztery konie w rzędzie, razem chyba z pięćdziesiąt. Karuzela poruszała się z prędkością chyba stu kilometrów na godzinę. Zdziwiająca, ale nikt się na niej nie zabił, natomiast siedmioletni chłopiec umarł z powodu uderzenia tępym narzędziem w głowę na karuzeli „Stary Młyn”, która była spokojna i powolna.

W pewnej chwili Billie włączyła radio samochodowe marki

Sirius. Audycja nazywała się *Coffee House* – łatwa muzyka w klimacie indie.

– Moja babcia ma tu dom – oznajmiła, kiedy

przejeżdżaliśmy przez Greenwich. – U niej jeździłam na prawdziwych koniach.

– To fajnie – bąknęłam.

Wyjechałyśmy na drogę prowadzącą do New Milford, przez

kilka mil miałyśmy ciekawszy widok z pięknymi drzewami.

Spodziewałam się ujrzeć bydło na pastwiskach, ale zamiast tego mijałyśmy małe firmy i centra handlowe. Billie zaproponowała, byśmy zatrzymały się na kawę.

Ucieszyłam się z propozycji i zatrzymałyśmy się, żeby kupić w barze kawę na wynos.

Wrociliśmy do samochodu z dwoma gorącymi kawami, ale

miałyśmy tylko jeden uchwyt na kubek. Bawiłam się myślą o grze na refleks, w której stawką byłby ten jedyny uchwyt, chociaż w takiej sytuacji zazwyczaj przypada on kierowcy. Billie, jakby czytając w moich myślach, wyciągnęła uchwyt ku mnie i zobaczyłam, że są w nim otwory na dwa kubki.

Skręciłyśmy z głównej drogi na słabo oznaczoną drogę

gruntową, którą jechałyśmy jakieś pół kilometra, po czym Billie zatrzymała się przed pomalowanym na czerwono wiejskim domem na podmurowce. Nie było żadnego szyldu, ale widziałam, że posiadłość rozciąga się bardzo daleko. Z jednej strony domu zbudowano psi tor przeszkod, z drugiej płynął na wpoł

zamrożony strumień. Zanim zdążyłyśmy zadzwonić do drzwi, w progu przywitał nas młody wążacz z ciemnymi włosami.

– Kierowniczka wyszła nakarmić psy, ale ja mogę was oprowadzić – powiedział.

Zabrał nas na doł, gdzie w każdym pomieszczeniu

znajdowały się dwie lub trzy druciane klatki wielkości kawalerki.

W każdej z nich był pies, spoczywający na stercie polarowych kocow, posiadający własną miskę z wodą, skorzane kości do obgryzania oraz zabawki.

– Psy mieszkają w domu? – zdziwiłam się, przyzwyczajona do podłych warunków panujących w schronisku.

– Każdy ma osobną klatkę w domu, poza tym jest też

przestrzeń do socjalizacji na gorze, gdzie biegają luzem i razem się bawią. Na dworze mamy tor przeszkod i miejsca do mocowania smyczy, gdy pogoda dopisuje. Naszym celem jest odstresowanie psow, zapewnienie im ruchu i opieki weterynaryjnej, a w razie potrzeby także nauki posłuszeństwa i tego wszystkiego, co pomoże im znaleźć domy na stałe – wyjaśnił Alfredo. – Na gorze jest tak samo, znajdzie się tam miejsce dla trzydziestu psow.

– Skąd bierzecie na to fundusze? – zapytałam.

– Z darowizn. Założycielka ma prawdziwy talent do pozyskiwania funduszy. Są też anioły... ludzie, którzy nie żądają niczego w zamian za pomoc finansową, a ofiarowują naprawdę bardzo wysokie kwoty. Przyjechałem z Gwatemali, żeby pracować jako architekt krajobrazu. Zostałem zatrudniony do pielęgnacji podwórza, ale któregoś dnia kierowniczka poprosiła mnie o pomoc w wyprowadzeniu sześciu niesfornych psow. Kiedy trzymałem je na smyczy, natychmiast ucichły i szły zgodnie w grupie. Żaden z nich nawet nie zaszczekał. Nie ciągnęły za smycz, żeby gonić za innymi psami w parku. Nie musiałem podnosić na nie głosu.

– Ale co z psem, któremu nie można znaleźć domu? Moj będzie tu do końca życia – wyznałam.

– Jej pirenejczyka uznano za niebezpiecznego – wyjaśniła Billie.

Alfredo zaprowadził nas do dawnego garażu. Pomieszczenie było ogrzewane, tak samo jak reszta domu. W kącie stała przemysłowa pralka i suszarka, a także regały wypełnione sprzętem do strzyżenia i pielęgnacji sierści oraz mnóstwo haczyków na smycze. Na podeście wysokim na około trzydzieści centymetrow stała duża druciana klatka. Umieszczono ją tak, żeby zamknięty w środku pies mógł wyglądać przez okno. W klatce, wyposażonej w koce i zabawki, leżał wygodnie owczarek niemiecki.

Czyżby to tutaj miałyby zamieszkać Cloud? W garażu?

– Przez cały dzień ktoś wchodzi i wychodzi – uspokoił mnie Alfredo. – Psy, które tu mieszkają, mają zapewnioną stymulację, urozmaicenia... Zabieramy je na zewnątrz, żeby się pobawiły, ale nie z innymi psami.

Przy ścianie naprzeciwko owczarka niemieckiego stała jeszcze jedna klatka. Z początku nie dostrzegłam w niej psa, zakopanego pod kocami. Dopiero kiedy Alfredo przeszedł obok klatki, pies wysunął pysk i polizał pręty. Był to myśliwski mieszaniec, z siwym pyskiem i zamglonymi oczami. Czy to jego śmierć umożliwi przyjęcie Cloud? Samej siebie nienawidziłam za ten egoizm.

– Jak się miewa suka, którą przywiozłam? – zapytała Billie.

– Jest na spacerze – wyjaśnił Alfredo. – Bridget ją wyprowadziła. – Dodał, że Bridget jest nową wolontariuszką, pracuje jako pielęgniarka w pobliskim szpitalu i przychodzi im pomagać po pracy, a rottweilerka bardzo się uspokoiła, od kiedy zamieszkała w For Pitties' Sake.

– To świetnie – powiedziała Billie. – Martwiłam się o nią.

– Kiedy moglibyście przyjąć Cloud? – zwróciłam się do Alfreda.

– Weterynarz mówi, że Bossowi, temu mieszańcowi, którego widziałś – zostało w najlepszym wypadku kilka tygodni życia.

Chciałam poznać kierowniczkę, ale Billie oznajmiła, że musimy wracać, ponieważ ma bilety na przedstawienie w St Ann’s Warehouse.

Użyła liczby mnogiej, „bilety”, więc domyśliłam się, z kim idzie.

Dopiero kiedy wjechałyśmy do Greenwich, Billie zapytała,

czy nie miałabym nic przeciwko temu, abyśmy zatrzymały się na chwilę u jej babci.

Chciała zabrać swoje płetwy i maskę do nurkowania.

– Mam czas – odparłam.

Billie zjechała z Parkway i po kilku minutach skręciła w

Round Hill Ridge Road, a potem w Clapboard Ridge Road.

Podjazd był tak długi, że Billie co chwila musiała zwalniać przed garbem ograniczającym prędkość.

– Ograniczniki prędkości są tutaj wyznacznikiem statusu – powiedziała sucho.

Rezydencja wyglądała jak wiejski dom na sterydach.

Wjechałyśmy w ogromny zakręt, minęłyśmy bramę i zatrzymałyśmy się na tyłach domu.

– Wygląda na to, że twoja babcia ma gości – powiedziałam.

– To tylko domowe samochody – wyjaśniła Billie. – Dla gości – dodała, kiedy nie zrozumiałam.

„Domowe samochody” były nowsze niż auto, którym jeździła Billie.

– Wejdziemy tylnym wejściem – oświadczyła. – Chcę najpierw przywitać się z naszą kucharką.

Ach, pomyślałam. Wyznacznik statusu: Billie powiedziała

„naszą kucharką”, zamiast po prostu z kucharką.

Kuchnia była przestronna i elegancka, a przy tym ciepła. Nad dziesięciopalnikową kuchenką wisały na haczykach całe tuziny miedzianych rondli. Kucharka, czyli Jennifer, okazała się kobietą w średnim wieku, mówiącą z irlandzkim akcentem. Powitała Billie uściskiem i całusem w policzek. Zamiast uniformu miała na sobie fartuch i prostą sukienkę.

– Babcia jest nie w sosie – szepnęła poufale. – Wczoraj wieczorem odbyła się gala na rzecz szpitala dziecięcego i spodziewała się zebrać więcej pieniędzy.

– Nigdy nie jest zadowolona z uzbieranej kwoty – prychnęła Billie. – Pieniądze, które pozyskuje podczas jednej gali

wystarczyłyby dla schroniska dla zwierząt na rok. Ale nigdy tego nie zaproponowała.

– Czy zostaną panie na kolację? – zapytała kucharka.

– Mam bilety do teatru – odpowiedziała Billie.

Kucharka spytała, na co się wybieramy. Spojrzałam na Billie.

– Mam randkę – wyjaśniła.

– Dobrze, w takim razie weźmiesz do domu ciasto

brzoskwińowe – powiedziała kucharka. – Babcię znajdziesz w bibliotece.

Moje książki nadal leżały w skrzynkach na mleko.

Billie poprowadziła mnie kilkoma korytarzami, a potem po schodach na górę. Drzwi do biblioteki były otwarte. Zobaczyłam pomalowane na czerwono ściany i oszklone regały. Kanapy wyglądały jak puchowe łoża z bajki.

Babcia Billie siedziała przy biurku tyłem do nas. Miała długie, rozpuszczone siwe włosy, sięgające za ramiona. To symbol buntu, pomyślałam, nosić długie, niefarbowane włosy. Zanim się odwróciła, dokończyła wypisywanie czeku.

– Czuć od ciebie psiarnią, moja droga – powiedziała.

– Kucharka wspomniała, że jesteś rozczarowana wczorajszym wieczorem – odrzekła Billie.

– Kim jest twoja towarzyszka? – zapytała starsza pani, nie patrząc w moją stronę.

– To klientka prawnika, u którego pracuję – odparła Billie. – Morgan Prager.

Powiedziałam, że miło mi ją poznać. Wyciągnęłam rękę, ale ją cofnęłam, zanim zdążyła nią potrząsnąć, tłumacząc się, że nie zdążyłam się umyć po wizycie w schronisku. Babcia Billie najwyraźniej odczuła ulgę, że uniknęła fizycznego kontaktu ze mną.

– Pamiętasz, gdzie zostawiłam maskę i pletwy? – spytała Billie.

– Dokąd tym razem się wybierasz?

– Jadę na wyspę Saint Thomas po patyczaki – wyjaśniła Billie.

Nie dodała nic na temat moich dorocznych podróży w celu ratowania tamtejszych psów. Nie знаła tego określenia, dopoki nie usłyszała go ode mnie. Z drugiej strony jak mogłam mieć jej to za złe? – chciała zrobić coś dobrego. Mogłam tylko jej zazdrościć, bo zrozumiałam, że jedzie tam z McKenziem.

– Mało ci bezdomnych psów na miejscu? – fuknęła babcia.

Domyśliłam się, że to ich zwyczajowa dyskusja.

– Pomyślałam, że mogłabym też popływać – odparła Billie. –

Trochę odpoczynku i relaksu nie zaszkodzi.

Miałam nadzieję, że babka się zaciekawi, z kim jedzie wnuczka. Tymczasem poprosiła Billie, żeby odszukała jej dawną przyjaciółkę mieszkającą na wyspie.

– Ma tam łódkę – dodała.

– Raczej nie znajdę na to czasu – prychnęła Billie.

– Bycie miłym nie kosztuje – odparła babcia, po czym zwrociła się do mnie: – Założę się, że pani znalazłaby czas.

– Ja nie jadę – wyjaśniłam.

– Pewnie myślisz, że moja babcia nie lubi psow – rzuciła Billie.

– Winston nie był psem.

– Winston był angielskim buldogiem – wyjaśniła mi Billie. –

Nieustannie puszczał gazy, a babcia w wieczorowej sukni chodziła za nim na przyjęciach i zapalała mu zapalniczki przy tyłku.

– Ale filantropia oznacza miłość do ludzi – przypomniała starsza pani. – Nie do psow.

Billie wyglądała na urażoną. Zmusiła się do pocałowania babki w policzki, a następnie poszliśmy szukać sprzętu do nurkowania.

– Wszystko powinno być w mojej starej szafie – powiedziała Billie, prowadząc mnie do pokoju, który okazał się nie tyle sypialnią, co apartamentem. Nie apartamentem – całym skrzydłem! Gdzie się podziały jeździeckie trofea i wstążki? Gdzie oznaki bytności zbuntowanej nastolatki? Nic w tych

pomieszczeniach nie wskazywało na to, że dorastało tu dziecko.

Oprocz pamiątek z dzieciństwa brakowało tu także mebli. Podłogi wyłożono śnieżnobiałym wełnianym dywanem. Ściany również

były białe; połysk dowodził, że do ich pomalowania użyto

kosztownej połmatowej farby. Na ścianach wisiały obrazy, których autorów nawet ja potrafiłam rozpoznać: Franz Kline, Ellsworth Kelly, de Kooning, Motherwell – prawdziwa galeria sztuki.

– Kline to pierwszy zakup mojego dziadka – oznajmiła

Billie. – To ci się spodoba: kiedy Kline przyprowadził matkę na pierwszą wystawę swoich dużych abstrakcji – pasy czarnej farby na białym płótnie – powiedziała: „Wiedziałam, że pojedziesz po najmniejszej linii oporu!”.

– Jak wyglądały te pokoje, kiedy byłaś dzieckiem?

– Babcia kazała dekoratorce urządzić tu „Pokój Młodej

Damy” – odparła Billie. – Miałam łóżko z baldachimem, pościel od Frette, na ścianach oprawione portrety koni i wiktoriański domek dla lalek. W łazience kryształowe szklanki od Baccarata i dozownik do płynu do płukania ust. Jak to powiedziała Rebekah Harkness o rezydencji swojej rodziny na Manhattanie – „to nie jest dom, ale i tak całkiem sporo”.

Billie otworzyła garderobę; okazała się tak zapchana, jak oszczędnie umeblowane były pokoje. Znajdowały się tam pudełka plastikowych koników, scrabble i inne gry planszowe, niezliczone pluszaki, gry komputerowe, wielkie pudło wypełnione żołnierzami, kilka kolorowych sprężyn, łyżworolki i rakiety do badmintona, drążki pogo, narty, ale maski i płetw ani śladu.

Czy było coś, czego Billie nie miała jako dziecko?

– Niech to szlag – powiedziała Billie i zatrzasnęła ze złością drzwi garderoby. Nie znalazła swojego sprzętu do nurkowania. Nie wstąpiła do kuchni po ciasto brzoskwińowe.



Jako szesnastolatka zatrudniłam się na lato w centrum handlowym, podczas gdy moja najlepsza przyjaciółka pojechała w wielką podróż po Europie. Kiedy ja sprzedawałam tanie kolczyki dziewczynkom, które dopiero przekłuły sobie uszy, Julia przysyłała mi tabliczkę czekolady z każdego kraju na swojej trasie.

Powinnam być tym wzruszona, ale w gryzałam się z furią w każdą nową czekoladę i zazdrościłam Julii, że ma wszystko, a ja utknęłam w centrum handlowym. Nie myślałam o Julii od wielu lat, dopoki nie zobaczyłam Billie w domu jej babki. Zastanowiłam się, co Billie mogłaby mi przysłać z wyspy Saint Thomas, i poczułam się głupio.

– Włącz telewizor – poradził mi Steven, kiedy wieczorem podniosłam słuchawkę. Właśnie skończyłam jeść czwarty batonik czekoladowy o zawartości stu kalorii.

– Który kanał?

– CNN.

Robotnik podejrzany o morderstwo Pat został oskarżony.

Rodzina Pat zaoferowała nagrodę za informacje, co podobno jedynie spowolniło śledztwo, przyciągnęło wariatów i cwaniaków próbujących wyłudzić pieniądze. Telewizja pokazała drobnego Latynosa prowadzonego z policyjnego samochodu do budynku sądu w Suffolk.

– To koniec – orzekł Steven. – Masz z powrotem swoje życie.

Myślał, że mogę dostać swoje życie z powrotem, jakbym po prostu gdzieś je zapodziała.

– Znaleźli przy nim karty kredytowe Pat. Utrzymuje, że znalazł je w lesie.

– Pojechałam z Billie obejrzeć schronisko dla Cloud – powiedziałam.

– I jak?

– Dopuszczam myśl o tym, że Cloud mogłaby tam żyć – odparłam. To już coś, uzmysłowiłam sobie.

– Ja chciałbym, żebyś ty mogła żyć tutaj – oznajmił Steven.

– Ile człowiek jest w stanie wytrzymać?

– Zdziwiłabyś się – rzekł moj brat. Kolejny reporter relacjonował inną historię, więc wyłączyłam dźwięk w telewizorze.

– Nie chcę już żadnych niespodzianek – powiedziałam.

Wyrzuciłam resztę pad thai, które jadłam na kolację,

wspominając słowa mojej koleżanki Patty, która twierdziła, że w Nowym Jorku „kuchnia domowa” to każda gotowa potrawa

kupiona w odległości mniejszej niż sześć przecznic od twojego mieszkania. Zabrałam Olive na ostatni krotki spacer. Kiedy wrociliśmy, znalazłam markowy żel do kąpieli, na który się kiedyś szarpnęłam. Nalałam gorącej wody do wanny. Łazienka wkrótce wypełniła się silnym zapachem jaśminu. Moje ruchy były wyważone, ale myśli pędziły jak oszalałe. Nalałam sobie kieliszek prosecco i weszłam do wanny – tej samej, w której schroniłam się tamtego dnia.

Zamknęłam drzwi łazienki, chociaż byliśmy z Olive tylko we dwie. Okno w łazience wychodziło na szyb wentylacyjny, ale kiedy przechyliłam głowę, widziałam księżyc. Spojrzałam na swoje stopy, wystające z piany po drugiej stronie wanny: jak u Fridy Kahlo na obrazie *Co widziałam w wodzie*, chociaż u niej w wannie pływają także surrealistyczne elementy, takie jak wieżowiec wystrzelający z wulkanu, dwie małe kobiety leżące na gąbce czy linoskoczek dzielący linę z węzłem.

Położyłam się, opierając szyję w zagłębieniu specjalnie zaprojektowanej wodoodpornej poduszeczki. Z zamkniętymi oczami zaczęłam wykonywać ćwiczenie polegające na świadomym rozluźnianiu każdej części ciała z osobna. Byłam już przy ramionach, kiedy usłyszałam, jak Olive drapie w drzwi.

Diabelski pies.

Te drzwi Steven kazał wstawić w miejsce starych, zniszczonych przez psy w dniu śmierci Bennetta. Ślady ich pazurów po wewnętrznej stronie sięgały aż do klamki.

Przypomniały mi się ponure historie o ludziach pogrzebanych żywcem w czasach wiktoriańskich, budzących się z letargu w trumnach. Dlaczego moje psy tak rozpaczliwie usiłowały się wydostać?

Zaraz. Kto zamknął je w łazience? Kiedy weszłam do mieszkania i znalazłam ciało Bennetta, chodziły luzem. Kiedy je tam zamknęto? Drzwi łazienki były w idealnym stanie, kiedy wyszłam z domu tamtego poranka. Nie było mnie tylko przez dwie godziny. Bennett spał, kiedy wychodziłam. Poczułam chłód, chociaż z wanny unosiła się para.

Czy policja zwróciła uwagę na podrapane drzwi? Psy drapały szafkę, w której trzymałam ich karmę, drapały drzwi wejściowe, kiedy chciały wyjść, więc podrapane drzwi nie były w moim mieszkaniu czymś szczególnym. Ale w tych widziałam nowe, głębokie zadrapania. Zauważyłam je już wtedy, gdy siedziałam schowana w wannie. Psy piszczały, żebym je wpuściła. Jak

mogłam się nie zdziwić, że stały się zbrojcami, chociaż były w tym czasie zamknięte?

Czy to Bennett zamknął psy w łazience? Możliwe, jeśli ktoś zadzwonił do drzwi.

Moje psy nie potrafiły witać się spokojnie.

Ale przecież Bennett nie znał nikogo w mieście, przynajmniej tak twierdził. Musiał wiedzieć, kto to, ponieważ nacisnął brzęczyk domofonu. Kiedy gość wchodził po schodach, Bennett zdążył

zamknąć psy w łazience. Ale co było potem?

Wypuściłam z wanny trochę wody i dolałam gorącej z kranu.

Żaden człowiek nie byłby w stanie zrobić tego, co zrobiono Bennettowi.

Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą do łazienki całej butelki prosecco. Nie chciało mi się wychodzić z gorącej kąpieli, żeby przynieść wino. Nie potrafiłam zatrzymać myśli, ale próbowałam je chociaż spowolnić. Logika, używaj logiki. Przypomniałam sobie horror z sercem Pat wyciętym z jej ciała. Nie mógł tego zrobić pies, to oczywiste, a pies Pat uciekł. W moim mieszkaniu zobaczyłam zakrwawione psy i okaleczone ciało Bennetta. Czego nie zobaczyłam?

Może Bennett został zamordowany przez osobę, którą

wpuścił do mieszkania, a ta osoba wypuściła psy z łazienki, zanim wyszła? Może psy zaatakowały trupa? Lekarz sądowy, który badał

ciało Bennetta, powinien umieć odróżnić rany zadane przez człowieka od ran kłasnanych. Ale może coś mu umknęło, skoro wszyscy zakładali, że mordercami były psy.

Z drugiej strony: kto mógł pragnąć śmierci Bennetta? Susan Rorke została zamordowana wcześniej. Pat miałaby powód, ale kto zabił ją? Samantha, od miesięcy otrzymująca mejle od nieżyjącego człowieka... czyżby chciała w ten sposób zapewnić sobie alibi?

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłam dla niej miła, ale

odmówiłam uznania iluzji za prawdę, to zawsze źle się kończy. Nie powiedziałam, że wierzę w to, że Bennett żyje, ale próbowałam obchodzić się z nią łagodnie. Czy to była iluzja? Może Samantha pisała sama do siebie. Albo tylko mówiła, że on do niej pisze.

Policja wiedziałaby, jak to ustalić, gdybym potrafiła przekonać detektywa, żeby uzyskał nakaz przeszukania.

Wygramoliłam się z wanny i wyciągnęłam korek. Owinęłam

się ręcznikiem, patrząc na spływającą wodę. Steven powiedział, że mam swoje życie z powrotem. Mylił się.

Jest coś, co nie daje mi spokoju i nie zostało uwzględnione w raporcie policyjnym. W głosie Stevena słychać było znużenie, kiedy zapytał, o czym mówię. Opowiedziałam mu o zadrapaniach na wewnętrznej stronie drzwi łazienki, a on przyznał, że pamięta zadrapania na zewnętrznej stronie, nie wewnętrznej.

– Dopiero co wrociałaś z jego pogrzebu – dodał. – Odpuść sobie.

– Myślę, że mam rację.

– A ja myślę, że bym to zapamiętał. A jeśli nawet masz rację, to co za różnica? Co tym udowodnisz?

– To, że oprócz Bennetta w mieszkaniu był ktoś jeszcze.

– Naprawdę chciałbym, żebyś porozmawiała z Cillą.

– To nie jest problem psychologiczny. – Nie poddawałam się.

– Chodzi o przeoczony dowód w sprawie.

– Kto mógł twoim zdaniem być z nim w mieszkaniu?

Jeśli mu powiem, że podejrzewam Samanthę, Steven załatwi mi sądowe skierowanie do szpitala psychiatrycznego.

– Samantha. Zamierzam się włamać do jej skrzynki mejlowej.

– Naprawdę chcesz prowokować chorą psychicznie osobę? – zapytał Steven.

– Nie dowie się o tym. Znasz kogoś, komu mogłabym to zlecić?

– Mogłbym za to wylecieć z palestry, ale nie dlatego ci nie pomogę. Obiecuj, że umowisz się z Cillą.

Zadzwoiłam, ale nie do Cilli, tylko do McKenziego, na

komórkę. Jeśli mogłam zaufać swojej intuicji, ucieszył się na dźwięk mojego głosu. Nie mogłam jednak ufać swojej intuicji, więc zdusiłam w sobie radość. Przeszłam od razu do rzeczy.

Wyjaśniłam mu, że muszę coś sprawdzić w policyjnym raporcie na temat śmierci Bennetta.

– Masz u siebie kopię? – Powiedziałam, czego szukam.

McKenzie zaproponował, że po pracy wpadnie do mnie z raportem. Podziękowałam mu, po czym błyskawicznie ułożyłam w myślach listę wszystkiego, co wymagało sprzątnięcia i czyszczenia.

Godzinę później zamiatałam podłogę starą słomianą miotłą.

Nigdy nie uda mi się rozszyfrować sposobu użycia specjalnego mopa do powierzchni drewnianych. Otworzyłam pudełko

ściereczek nasączonych środkiem dezynfekującym i na kolanach wyszorowałam podłogę w łazience. Żałowałam, że Steven tak szybko wymienił drzwi. Ale jeśli McKenzie przyniesie zdjęcie, na którym nie będzie śladów pazurów po wewnętrznej stronie, dam sobie z tym spokój. Postanowiłam potraktować sprzątanie jak medytację zen. Zwolniłam ruchy, skupiałam się maksymalnie. W

takim stanie umysłu nie da się pracować niedokładnie. Powinnam częściej to robić, przemknęło mi przez głowę. Ta perspektywa nie przypadła mi jednak do gustu.

Słuchałam właśnie *You Go Down Smooth* zespołu Lake Street Dive ze słuchawek do iPhone'a ulokowanego bezpiecznie w

kieszeni, kiedy muzyka umilkła i rozbrzmiał dzwonek telefonu.

Wyświetlił się numer ze stanu Maine. Dzwoniła Renee. Była wściekła. Miała do mnie pretensje o to, że podałam jej numer telefonu jakiejś wariatce, która nęka ją teraz i oskarża o kłamstwo w sprawie śmierci syna. Kobieta utrzymuje, że była z nim zaręczona. Renee życzyła sobie, abym od tej chwili szanowała jej prywatność.

– Nie dałam tej kobiecie twojego numeru – zapewniłam. –

Renee, jest mi bardzo przykro z powodu twoich kłopotów...

Odpowiedział mi już ktoś inny. Vanessa, tak samo zła jak na pogrzebie.

– Może dla was to jest zabawne, że kilka dziewczyn udaje narzeczone mego zmarłego brata, ale nas to nie bawi. Chcecie moją matkę wpędzić do grobu?

– To nie jest żart. I to wcale nie jest zabawne.

– Więc powiedz tej świrusce, żeby zostawiła moją matkę w spokoju.

– Nie potrafię. Ona ma jakieś urojenia.

– Obie macie urojenia. – Vanessa odłożyła słuchawkę.

Po tej rozmowie i pytaniach, jakie w związku z nią się nasunęły, musiałam wyjść na spacer. Wsunęłam kartę kredytową do kieszeni płaszcza i skierowałam się do ekskluzywnego sklepu z serami. Potrzebowałam też wina... a może nie? Co się podaje komuś, kto ma przynieść policyjne zdjęcia twojego rozczłonkowanego i rozszarpanego zębami byłego narzeczonego?

Wybrałam drylowane oliwki kalamata, najdroższe paluszki serowe na świecie i kilka butelek piwa z miejscowego browaru Evil Twin.

Skręciłam w Grand Street, kiedy zobaczyłam McKenzię.

Nie zauważył mnie. Tym razem nie przyjechał rowerem. Nigdy przedtem, idąc obok niego, nie miałam okazji dokładnie mu się przyjrzeć. Nie wychylał się w przód, jakby stapał na palcach; w liceum chodzili tak faceci, którzy pozowali na sportowców, i już wtedy mnie to drażniło. Nie kroczył dumnie ani nie pędził

naprzód, bo jego czas był cenniejszy niż wszystkich dokoła. Szedł

spokojnie, jakby do rytmu wewnętrznej melodii, której chętnie bym posłuchała.

Czułam się nie w porządku, ale mimo to nadal go

obserwowałam, nie zdradzając swojej obecności. Zachowałam dystans, dopoki nie zatrzymał się przed moim domem. Wówczas schowałam się za ciężarówką FedExu, policzyłam do dziesięciu, wrociłam na chodnik i zawołałam McKenziego, przyśpieszywszy kroku, jak gdybym starała się go dogonić.

Zauważyłam, że jego uśmiech kontrastuje z ponurą zawartością jego teczki. Gdybyśmy byli w barze, moglibyśmy się objąć, ale teraz miałam w jednej ręce torbę, w drugiej klucze, a przed sobą schody... całą masę stopni. Zawahałam się przy wejściu, nie chcąc, żeby szedł za mną na piętro, wiedziałam jednak, że będzie nalegał. Nie było to aż tak straszne jak w czasach piętrowych łóżek, kiedy pary rozbierały się przed wejściem na drabinę, a jedno fundowało drugiemu niezbyt fortunny widok.

Tylko Steven bywał w moim mieszkaniu po śmierci Bennetta. Nagle przemknęło mi przez głowę, czy aby McKenzie nie boi się tam wejść. Za późno. Olive przybiegła i zawarczała ostrzegawczo, po czym rozpoznała faceta, który dał jej kanapkę z serem. Usiadła mu u stop, machając ogonem jak szalona.

McKenzie ukucnął, żeby się z nią przywitać, a ona wiła się wokół niego jak piskorz.

– Nie mogę uwierzyć, że nikt cię nie szukał – zwrócił się do Olive.

Zaproponowałam, że powieszę jego płaszcz. Zdejmując go, musiał odłożyć wypchaną teczkę na stół.

– Podziwiam twoją odwagę, że wciąż tu mieszkasz – powiedział McKenzie.

– Gdybym się wyprowadziła, nigdy nie przestałabym zmieniać mieszkań.

– Mimo wszystko jesteś odważna. – Nie zamierzał pozwolić mi osłabić komplementu.

Decyzja o zakupie przekąsek okazała się nietrafiona – nie spotkaliśmy się na pogaduszki. Zaproponowałam mu piwo. Kiedy wrociłam do pokoju, na kolanach McKenziego spoczywał biurowy folder na dokumenty.

– Wygodna kanapa, prawda? Steven mi ją kupił. – Chciałam, żeby moj brat był teraz z nami w pokoju.

Razem przejrzyliśmy zdjęcia z miejsca śmierci Susan Rorke, ale nie protestowałam, kiedy McKenzie zaproponował, że sam znajdzie interesujące mnie zdjęcie z raportu dotyczącego śmierci Bennetta. Patrzyłam, jak ogląda obrazy, o których chciałam zapomnieć na zawsze. Pojawiały się uparcie w mojej wyobraźni; do ich ożywienia wystarczała mimika twarzy McKenziego. W

końcu uniosł jedną z fotografii. Krwawe ślady stop na podłodze łazienki należały do mnie. Chowając się w wannie musiałam zerwać zasłonę prysznicową, bo leżała beładnie na posadzce. Na suszarce wisiał biustonosz; poczułam zakłopotanie, że McKenzie ogląda go na zdjęciu.

Przez całą szerokość drzwi biegł pas zadrapań, wysoki na jakieś czterdzieści pięć centymetrow, a złobienia głębokie na ponad poł centymetra nakładały się w miejscach, w których psy usiłowały wydrapać dziurę. Były jaśniejsze niż drzwi, bo psie pazury przebiły się przez warstwę lakieru.

Nie musiałam niczego wskazywać palcem. Wiedziałam, że McKenzie także zwrócił na to uwagę.

– Myślę, że Bennett nie był sam – powiedziałam. – Ktoś go odwiedził, a psy mu przeszkadzały. Muszę się dowiedzieć, kto je wypuścił. Czy znasz kogoś, komu można zlecić włamanie na konto mejlowe? – I opowiedziałam McKenziemu o moich podejrzeniach.

Napisał na kartce adres: [hackyou@gogo.jp.com](mailto:hackyou@gogo.jp.com) i przesunął kartkę w moją stronę.

– Pamiętaj, nie dałem ci tego.

– Ile on bierze?

– Ona. Mniej niż trzymiesięczny abonament internetowy.

– To znaczy, że wszyscy mogą sobie pozwolić na hakera – zauważyłam.

– Tak, wszyscy.

Olive usadowiła mu się na kolanach. Przypomniałam sobie o serze i krakersach w lodowce. Spytałam, czy ma czas na jeszcze jedno piwo. Nie spojrzawszy na zegarek, odparł, że bardzo chętnie się napije.

Ułożyłam przekąski ze sklepu z serami na małym talerzyku i zaniósłam go razem z piwem do pokoju. Przypomniało mi się, że przy Bennecie robiłam dokładnie tak samo. To odkrycie wstrząsnęło mną do tego stopnia, że nie wzięłam drugiego piwa dla siebie.

McKenzie podszedł do regału z książkami. Kiedy się odwrócił, zauważyłam, że trzyma w ręku kawałek koralu wielkości pięści, który znalazłam na plaży w Saint Croix. Używałam go jako podporki do książek.

– Uwielbiam nurkowanie – powiedział. – Wspaniale jest nurkować w nocy... niezwykle widowisko. Twarde korale kwitną, a rafa fosforyzuje. Pojawiają się zupełnie inne ryby, jeszcze piękniejsze niż za dnia. W nocy – podniosł wyblakły koral – takie korale stają się szafirowe.

Nie mogłam przecież zapytać, czy wybiera się nurkować z Billie.

– Planujesz nurkować w najbliższym czasie? – zagadnęłam ogólnikowo.

Martwiło mnie to, że stałam się niepewna siebie i podejrziwa.

– Tamtej nocy, o której mówiłem, nurkowałem niedaleko Saint John. Chciałbym tam kiedyś wrócić.

Ale przecież wszyscy, którzy lecą na wyspę Saint Thomas,

przeprowadzają się promem do Saint John, a Billie mówiła, że wybiera się na Saint Thomas. Żeby ratować patyczaki.

– Ten stilton jest naprawdę pyszny – pochwalił McKenzie, sięgając po noż i następnego krakersa.

Zmieniał temat, ale ja nie odpuszczałam.

– Musi ci być ciężko znowu nurkować.

– Jeszcze nie nurkowałam. Ale myślę, że jestem gotowy.

Teraz to ja zapragnęłam zmienić temat. Nie chciałam zyskać pewności, że wybierają się nurkować razem. Żałowałam, że

poruszyłam ten temat. Zmusiłam więc McKenziego, by znowu stał się moim prawnikiem.

– Czy istnieje szansa, że Cloud będzie mogła wrocić do domu, jeśli okaże się, że była zamknięta w łazience?

– Mamy prawo złożyć apelację. – Spojrzał na zegarek.

Uprzedziłam jego ruch i podziękowałam za przyniesienie zdjęć. Nie podziękowałam za informację o hakerce, skoro nie chciał się do niej przyznawać. W drzwiach poprosił, żebym na siebie uważała.

Szłam Grand Street w stronę drogi ekspresowej Brooklyn –

Queens. Zwrociłam uwagę na dużą liczbę pitbuli prowadzonych przez młodszych mieszkańców okolicy. Nigdzie indziej nie

widziałam tylu równie zadbanych przedstawicieli tej rasy. Miałam swoją teorię na ten temat: młodzi ludzie chcieli adoptować i ratować pitbule, ponieważ te psy należą do najbardziej niezrozumianych i źle ocenianych, noszą piętno brutalności, chociaż większość z nich jest łagodna i kochana. Schroniska są pełne pitbuli. Kilka razy mignął mi w witrynie sklepowej plakat z pitbulą z napisem: „Urodzony, by kochać, nauczony, by nienawidzić”. I kolejny: „Na każdego pitbula, który gryzie, przypada 10,5 miliona pitbuli, które nie gryzą. Nie dyskryminuj mojej rasy”.

Obok kolejnego placu budowy odnalazłam adres, który

podała mi „hackyou”. Był to sklepik z wystawą zapełnioną tanimi figurkami świętych, takimi, jakie widuje się w werandowych oknach prywatnych domów albo w niedofinansowanych kościołach w sąsiedztwie. Na wszelki wypadek jeszcze raz

sprawdziłam adres i upewniłam się, że jestem we właściwym miejscu. Weszłam do środka; rozległ się dźwięk dzwoneczka, a z zaplecza wyszła apetycznie zaokrąglona kobieta około trzydziestki, ubrana w czarną suknię przypominającą habit zakonnicy, i zapytała, w czym może mi pomóc.

– Chyba źle zapisałam adres. Czy naprawia pani komputery?

– Jesteś koleżanką McKenziego?

– A więc dobrze trafiłam. Ale po co te wszystkie figurki świętych?

– Słyszałaś to o mohelu5 w sklepie z zegarami? Facet szuka mohela. Przychodzi na



Main Street 273, a tam cały sklep jest pełen zegarów. Mowi do faceta za ladą: „Szukam mohela”. „To ja”, odpowiada tamten. „Ale co robią na wystawie te wszystkie zegary?”. „A co pańskim zdaniem powinienem umieścić na wystawie?”.

Udałam się za nią na zaplecze, tak samo zaskakujące jak front sklepu. Znajdował się tam pojedynczy laptop, żadnych innych gadżetów, które można zobaczyć w filmach. Wyraziłam zdziwienie faktem, że można być hakerem, mając tylko zwykły komputer.

– Włamanie na konto mejlowe to nie hakerstwo. To cracking.

Hakerstwo to sztuka, w której chodzi o odkrywanie i wykorzystywanie słabości technologii. Bez hakerów nie byłoby nadziei na zachowanie prywatności.

– Wydaje się, że hakerstwo jest zaprzeczeniem prywatności.

– Hakerstwo nie uderza w nikogo osobiście. Chodzi o decentralizowanie informacji i udostępnianie ich za darmo. Mówię o informacjach należących do rządu i korporacji, a nie o przyłapywaniu kongresmenów na oglądaniu w domu stron pornograficznych. Dobrze, teraz powiedz, co mogę dla ciebie zrobić. – Kobieta nie podała mi swojego imienia.

– Muszę się dowiedzieć, czy do pewnej osoby naprawdę ktoś wysyła mejle, czy też sama je do siebie pisze.

– Mogę sprawdzić, czy są wysyłane z tego samego adresu IP.

Wiadomość można tak przekierować, że będzie wyglądała jak wysłana z innego adresu IP, ale do tego trzeba być profesjonalistą.

Potrafię sprawdzić, czy ktoś tak zrobił.

Podałam jej dane serwera i identyfikatora użytkownika, po czym zaczęła stukać w klawiaturę. Powiedziała, że

najpopularniejszym hasłem jest „hasło”. Drugim w kolejności najczęściej używanych hasel jest „123456”, trzecim jest

„12345678”, a jedna na sześć osób używa imienia swojego zwierzaka.

– Czy Samantha ma psa albo kota?

Przyznałam, że nie wiem.

– Zobaczmy, czy posiada wykupione ubezpieczenie zwierzęcia. – Kobieta wpisała nazwisko Samantha do jakiejś bazy danych. Ekran komputera był zwrócony w jej stronę, więc nie widziałam dokładnie, co się dzieje.

Patrzyłam na figury – poobijaną Matkę Boską, zniszczonego apostoła, świętego Krzysztofa bez ręki. Czy ktoś je tu naprawia?

– Samantha Couper ma polisę w ASPCA dla sześciolatniego

mieszkańca owczarka niemieckiego o imieniu Pal, cierpiącego na chorobę Cushinga.

A więc wszystkie miałyśmy chore, ranne albo adoptowane psy. Zbieg okoliczności dość dziwny jak na faceta, który nie znosił psiej sierści na ubraniach. Jeśli jednak nie był to przypadek, Bennett okazał się drapieżnikiem, przyciąganym przez dobroć, której sam był pozbawiony, osobnikiem, na którym mogłam zbudować swoją pracę magisterską. Moją puls przyspieszył, tym razem nie ze strachu.

Kobieta wpisała coś jeszcze. Potem znowu. I jeszcze. Po szostej próbie się uśmiechnęła.

– MojPal. Jak brzmi nazwa użytkownika, z którego konta twoim zdaniem wysyła do siebie mejle?

Podalam jej adres mejlowy Bennetta –

themaineevent@gmail.com – jedyny adres, z którego dostawałam od niego wiadomości. Kobieta wstukała go i przesunęła komputer tak, żebym widziała ekran. Wskoczyły setki mejli. Mniej więcej jedna czwarta została napisana po jego śmierci. Poprosiłam, żeby otworzyła pierwszą wiadomość otrzymaną po jego śmierci. „Sam, byłeś w banku? Znalazłeś swój paszport? Ufam Ci. Kocham Cię.

Jesteśmy już blisko celu” – przeczytałam.

– Wysłała to sama do siebie?

– Możliwe, ale nie z tego samego komputera. – Kobieta kliknęła na ikonę, której nigdy wcześniej nie widziałam. –

Pingujesz adres, a to wysyła sygnał do URL-u, jak sonar; adres wraca i wtedy można określić, ile zajęła mu podróż tam i z powrotem. Naciskasz „return” i pojawia się adres IP oraz informacja, ile sekund albo milisekund trwało pingowanie. Wiem, że mejl był wysłany gdzieś z tej okolicy.

Albo pisała sama do siebie, będąc w pobliżu mojego domu, gdy mnie śledziła, albo ktoś, kogo nie znam, wysyłał wiadomości z okolicy. Obie możliwości przeraziły mnie w równym stopniu: nie byłam w stanie wymyślić żadnego skutecznego sposobu ochrony.

– Zrobisz dla mnie coś jeszcze? Potrzebuję hasła do konta themaineevent.

Kobieta szybko wyeliminowała najpopularniejsze hasła.

– Jeden facet, Jeremy Gofney, stworzył klaster dwudziestu pięciu komputerów, który potrafi sprawdzić trzysta pięćdziesiąt miliardów zapytań na sekundę. Ale to zajmie mi od trzydziestu minut do sześciu godzin. Nie musisz tu czekać, a ja wyślę ci esemesa, kiedy skończę.

Kupiłam kawę na wynos w Gimme Coffee i poszłam do domu, żeby wyprowadzić Olive. Postanowiłam zabrać ją dla odmiany do Cooper Parku, wprawdzie nie tak dużego jak

McCarren Park, ale tak się miło złożyło, że mieścił się przy Olive Street. I miałyśmy tam większe szanse na spotkanie mniejszych psów, z którymi Olive mogłaby się bawić. Jednak tego zimowego popołudnia Olive marzła w swoim dzierganym w

warkocze sweterku, więc schowałam ją za pazuchę i usiadłam na ławce.

Dokąd wybierała się Samantha, że potrzebowała paszportu?

A może ktoś ją nakłaniał do wyjazdu? Czy mogła napisać coś takiego sama do siebie? Tak, jeśli spodziewałaby się, że ktoś to zobaczy. I dlaczego przestała potem do siebie pisać? Ona, albo osoba, która wysłała tę wiadomość?

Olive zaczęła się wiercić pod moim płaszczem i wyrwała mnie z zamyślenia. Najwyraźniej sygnalizowała swoje potrzeby.

Sądziłam, że chce siusiu, więc postawiłam ją na ziemi, ale nie ruszała się z miejsca. Wsunęłam ją więc z powrotem pod płaszcz i szybko poszłam do domu. Naśladowałam klasyczne gesty osoby śledzonej – spojrzałam najpierw przez jedno, a potem przez drugie ramię. Nie byłam w stanie zdobyć się na pewny siebie krok, odstraszający potencjalnego napastnika.

Hakerka miała włamać się na konto Bennetta. Może byłoby lepiej, gdybym nie wiedziała o wszystkim, do czego był zdolny.

Szłam na kompromis: informacja w zamian za poniżenie. Ile człowiek może go znieść? Uzyskane dane – o ile będę potrafiła odciąć się od emocji – byłyby jednak cenne dla mojej pracy.

Poznałabym meandry umysłu kreującego takie zachowania, ujrzałabym drapieżnika polującego na zdobycz. Socjopatę i jego ofiarę: mnie.

Prawdopodobnie musiałam czekać jeszcze kilka godzin na wiadomość od hackerki. Musiałam opancerzyć się przeciw temu, co mogło mnie czekać. Zostały mi tylko cztery tabletki xanaxu 0,25

mg, ale dzięki recepcie, którą wypisała mi Cilla, mogłam uzupełnić zapas. Poszłam do Napolitano na rogu Graham i Metropolitan. W

tej staroświeckiej włoskiej aptece farmaceuci znali klientów z nazwiska.

Właścicielka, której rude włosy zawsze miały siwe odrosty, powitała mnie ciepło. Wszyscy w okolicy wiedzieli, co się stało. Kiedy podałam jej opakowanie z resztką xanaxu, spojrzała na etykietkę i powiedziała: – Może je pani uzupełnić jeszcze tylko raz.

Najwyraźniej wyglądałam tak, jakbym potrzebowała więcej xanaxu.

Sprawdziłam, czy nie mam żadnych esemesów, chociaż nie słyszałam sygnału przychodzącej wiadomości. Powiedziałam farmaceutce, że poczekam na uzupełnienie buteleczki.

Wyobraziłam sobie aptekarza z mózdzierzem i tłuczkiem na zapleczu. Oglądałam włoskie mydła, jakich nie można było dostać w innych aptekach. Czułam się dość komfortowo ze

świadomością, że mam odpowiednie środki uspokajające. Co będzie, jeśli dowiem się, że Bennett nigdy mnie nie kochał?

Dlaczego tak się tego obawiałam? Czyżbym nadal myślała, że mnie kochał? No coż,

taka już byłam. Nigdy nie przejechałam obok miejsca wypadku drogowego, nie patrząc na poszkodowanych.

Zapłaciłam za lekarstwo. Byłam już prawie w domu, kiedy hackyou przysłała wiadomość: „Gotowe”.

Mogłam zażyć jedną z tabletek, ale postanowiłam tego nie robić, tylko poddać się uczuciu towarzyszącemu odkryciu, cokolwiek ma ono przynieść. Kiedy weszłam do sklepiku, hackyou obsługiwała klientkę, zakonnice. Kogo może hakować zakonnica?

– Zaraz do ciebie przyjdę! – zawołała do mnie hakerka.

Zakonnica trzymała małą figurkę Matki Boskiej. Hackyou powiedziała swej klientce, żeby przyszła za tydzień i że do tego czasu naprawa będzie zakończona. A więc sklepik nie był tylko przykrywką dla innej działalności.

– Chodź za ladę – powiedziała. – Możemy pogadać na zapleczu.

Poszłam za nią i usiadłam na składanym krześle, które mi wskazała.

– Jeżeli Samantha nie jest profesjonalistką, to nie wysyłała tych mejli sama do siebie.

Wręczyła mi żółtą samoprzylepną karteczkę i długopis.

Podyktowała mi hasło. Domyśliłam się, że nie chce sama go napisać, by nie zostawiać dowodów swojej działalności.

– Ile ci jestem winna? – Tak jak mi powiedziano, miałam przy sobie gotówkę.

McKenzie się nie mylił. Zapłaciłam mniej niż za trzy miesiące internetu.

5 *Mohel* – w judaizmie specjalista od obrzezań, rzezak rytualny (przyp. tłum.).

Hasło brzmiało: *evenwhenusleep*.

Pomyślałam o ścianie. Zmuszał mnie, żebym spała przy ścianie.

Czułam się tak, jakbym za chwilę miała zasiąść do zatrutego posiłku. Oto umieram z głodu i zostaję zmuszona do otrucia siebie samej. Może gdybym najpierw coś zjadła – choćby kęs sucharka – ochroniłabym mój żołądek przed trucizną.

W mejlach nie było nic nadzwyczajnego, poza tym, że napisał je nieżyjący mężczyzna. Zapewniał, że myśli o Samancie i nie może się doczekać, kiedy ją zobaczy (aczkolwiek czekać kazał jej). Spodziewałam się, że zostanę zmuszona do zatrzymywania się nad każdym słowem, próbując połapać się w znaczeniach i w niuansach. Wiadomości okazywały się jednak tak banalne, że coraz bardziej się niecierpliwiłam. Powtarza to samo siedem razy. Ale w następnym mejlu pisze, że jego psychicznie chora była dziewczyna popełniła samobójstwo, a policja z jakiegoś powodu podejrzewa o to jego. Czy może na nią liczyć – pisał – w razie gdyby potrzebował alibi?

Samantha nie napisała do samej siebie z prośbą o zapewnienie sobie alibi.

Zdjęłam sweter. Spociłam się, chociaż w mieszkaniu nie było ciepło.

Następna wiadomość od Bennetta stanowiła odpowiedź na świadczące o przerażeniu pytanie Samanthy: *Byłem sam w domu przez cały dzień, ale to nie wystarczy jako alibi*.

W dniu, w którym, jak twierdził, był sam, jechał do Maine na spotkanie ze mną.

Przeczytałam kilkanaście wiadomości. Autor listów, kimkolwiek był, utrzymywał, że przebywa w Kanadzie, ale to już powiedziała mi Samantha. Nie przerywałam lektury, szukając czegoś, o czym nie wiedziałam. W końcu znalazłam. „Bennett”

poprosił Samanthę, żeby spotkała się z nim w Toronto, skąd mieli wyruszyć dalej. Zdążyłam się domyślić, że to ona zapłaci za tę przyjemność ( *Czy byłaś w banku?*). Pierwsza wzmianka o podróży – być może poślubnej – pojawiła się w dzień po śmierci Pat.

Poczułam nagły ucisk w żołądku. Czy powinnam zawiadomić policję? Jaką policję? Dokonałam nielegalnego włamania do skrzynki mejlowej zawierającej te informacje. Miałam im powiedzieć, że nieboszczyk planował spotkać się z narzeczoną w Toronto po tym, jak zamordował swoją byłą kochankę?

Zaburczało mi w brzuchu, ale nie byłam w stanie jeść.

Nalałam sobie podwojną Stoliczną.

Wpisałam „Susan Rorke”, by znaleźć ostatniego mejla, jaki wysłał do niej Bennett dzień po jej śmierci. Teraz czytałam coś, co naprawdę napisał on. Jednym haustem wychyliłam resztkę wódki.

*Nie dam rady się spotkać, skarbie. Spotkania przez cały weekend. Wynagrodzę Ci to.*

Przewinęłam wiadomość, żeby zobaczyć poprzedniego mejla od Susan. Zapraszała go do Bostonu na weekend.

Odpisał, że nie może spędzić z nią weekendu. Nie oznaczało to jednak, że nie było go w tym czasie w Bostonie.

Alkohol w przedziwny sposób ułatwiał mi myślenie. Zamiast spowalniać, Stoliczna podziałała na mnie jak środek pobudzający.

Przewijałam dalej. Analizowałam odpowiedzi „Bennetta” pod względem językowym, zwracałam uwagę na składnię. Mam tendencję do chłodnej analizy w chwilach, kiedy czuję się najbardziej bezbronna. Zauważyłam dwa znaki firmowe

socjopatów w komunikacji pisemnej: Bennett bez przerwy używał słów „więc” i „ponieważ”, by wyrazić pogląd na przyczyny i efekty swojego działania. Poza tym często poruszał temat

pieniędzy i trosk finansowych. Ale przecież wszyscy martwią się o pieniądze, więc może nie należy brać tych zdań pod uwagę. Mimo wszystko trudno było zignorować wyznania w rodzaju: „Chciałem, żebyś zapłaciła za poczęstunek weselny, żebym mógł kupić sobie smoking, który Ci się podobał” albo „Właśnie straciliśmy szansę na apartament dla nowożeńców, ponieważ nie podałaś im prawidłowego numeru karty kredytowej”. Zauważyłam, że w tym przypadku dał jej szansę, aby naprawiła błąd, podając numer karty kredytowej w celu opłacenia apartamentu w jeszcze droższym hotelu.

Mnie też zaproponował, żebym zapłaciła za tort weselny, podczas gdy on sam kupił podobno smoking.

Pisał do Susan Rorke jeszcze dwa dni po jej śmierci. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, zmienił ton, wyraził zatroskanie, dopytywał się, gdzie jest, prosił, by mu odpisała. Potem znowu zmienił ton. Jego ostatni mejl do Susan Rorke był krotki i konkretny, a przy tym niezbyt oryginalny. Użył słów powtarzanych przez niezliczonych wściekłych i odrzuconych kochanków: „Teraz jesteś zadowolona?”.

Od tego wszystkiego robiło mi się niedobrze, ale czułam ulgę na myśl, że nie poślubiłam mordercy. Zdecydowałam się na

dokładkę zatrutej potrawy. Zaczęłam szukać mejli wysyłanych na adresy, których nie znałam. Szukałam innych kobiet. Kolejnych randek.

No tak, z jednej strony powinnam być zadowolona, że nie kochałam mordercy. Z drugiej strony zostałam upolowana przez kobieciarza socjopatę i wcielona do jego haremu.

Pojawiła się Libertine635, potem znowu i znowu. Samo słowo nie wywarłoby na mnie takiego wrażenia, gdyby nie to, że właśnie czytałam o parze libertynów – Valmoncie i markizie.

Podjeżdżałam, że teraz wszędzie będę widziała to słowo. Liczba 635 sugerowała, ilu jeszcze libertynów grasuje w sieci.

Sprawdziłam datę ostatniej wiadomości Libertine do

Bennetta; był to dzień jego śmierci. Cofnęłam się do początków ich korespondencji, o całe lata, do tego wieczoru, kiedy poznali się w kasynie.

Libertine napisała pierwsza, ustalając dominację. Żądała, aby wyjawiał jej swoje sekrety. Nie była zainteresowana

konwencjonalnymi zalotami i szybko ukrociła jego ciągoty w tym kierunku.

Wystrzegano się codzienności: żadnych wspólnych kolacji ani wyjść do kina; nie interesowało jej, jak spędził dzień.

Pragnęła bardziej wyrafinowanych doznań, tajemniczych, transcendentalnych. Chciała być zabawiana. On z kolei

otrzymywał od pięknej kobiety dowody zainteresowania wyrażane w sposób, jakiego dotąd nie doświadczył. Stale go czymś

zaskakiwała. Była chętną i doświadczoną partnerką seksualną, niestroniącą od niespodzianek także i w łóżku.

Wymagała od Bennetta lojalności, aczkolwiek w formie,

która wówczas była mu zupełnie nieznaną. Przekonała go, że przede wszystkim musi być jej posłuszny. To stało się istotne, kiedy pół roku później zaczęła zachęcać go do spania z innymi kobietami, czym udowodniła mu, że zazdrość jest jej obca, a nowe doświadczenia służą pogłębieniu ich wyjątkowej bliskości. Bennett odebrał jej zachęty jako wyraz zaufania, co pozwoliło jej kontynuować manipulację.

Dopingowała go, kiedy uwodził szczerą, uczciwą altruistkę.

Szydła z ich nieporadnych wyznań miłosnych, które

relacjonował jej Bennett. Nalegała, aby się nie ograniczał, a on był jej posłuszny.

Po roku doszło do pierwszej kłótni. Żądała, by zostawił

Samanthę Couper; uznała, że stał się przy niej nudny. Wymknęło mu się, że podziwia pracę Samanthy w telefonii zaufania dla samobójców, a wtedy Libertine napisała: „Powinna namawiać tych frajerów, żeby się pośpieszyli”. Po czterech tygodniach milczenia Bennett zaprosił Libertine do kina. zaproponował, żeby usiadła z tyłu, za nim i za Samanthą. Po seansie Bennett zapytał Samanthę, co myśli o filmie, a jej banalna odpowiedź była jego prezentem dla Libertine.

Po dwóch latach przyprowadził jej Susan Rorke. Doszło do

drugiej kłótni. Wysoko cenił zaangażowanie Susan w pracę w komisariacie i w schronisku dla bezdomnych, gdzie jako

wolontariuszka zajmowała się doradztwem. Libertine zachwyciła sytuacją, którą

Bennett zaaranżował w ramach przeprosin. We trojkę spotkali się na strzelnicy, gdzie Susan instruowała Libertine, przedstawioną przez Bennetta jako przyjaciółkę rodziny, jak obsługiwać się bronią krotką. Przeczytałam pochwałę napisaną przez Libertine po lekcji: dotyk dłoni Susan Rorke prowadzących jej własne na pistolecie stanowił dodatkową atrakcję.

Zbliżałam się do mejli napisanych w czasie, kiedy poznałam Bennetta. Rosł we mnie niepokój.

*Nowa i interesująca, czy tylko nowa?*, pytała Libertine. A w kilka godzin później: *No i jak?*

Bennett odpowiedział tylko na drugie pytanie: *Podniecasz się nią bardziej niż ja.* Rozmawiali o mnie. Zdumiewające, ile bólu może zadać zmarły.

Naśmiewał się z moich badań.

*Przy jakiej piosence płakała, ale wstydziła się do tego przyznać?* – dopytywała Libertine.

Miałam ochotę wykonać awaryjny telefon do Cilli.

Libertine: *Zdjąłeś z niej coś?*

Bennett: *Kim ty jesteś, dziesięcioletnim chłopcem?*

Wstałam od komputera i wyjrzałam przez okno. Proszył drobny śnieg, topniał od razu na chodnikach. Nie zrobiło mi się słabo ani niedobrze. Nie wpadłam we wściekłość, nie rzuciłam szklanką o ścianę. Byłam wyzuta z sił. I głęboko zawstydzona.

Ponizenie odczuwa się w obecności innych; wstyd pojawia się w samotności. Ze wstydu trudniej się otrząsnąć.

Na oknie wylądował płatek śniegu; patrzyłam, jak jego idealny geometryczny wzor znika po zetknięciu z ciepłą szybą.

Trwało to krocej niż sekundę. Co może się wydarzyć w ciągu sekundy?

Ucieszyłam się, że wcześniej dokupiłam trochę xanaxu.

Połknęłam całą tabletkę. Nie zamierzałam czekać, aż zacznie działać, żeby wziąć następną. Miałam już dość czytania, ale przebrawszy się w obszerne spodnie dresowe, mimo wszystko brnęłam dalej.

Szukałam podpowiedzi dotyczących tożsamości Libertine.

Nigdy nie wysłała Bennettowi swojego zdjęcia. Znalazłam

natomiast moje fotografie, które przysłał jej Bennett. Nic kompromitującego: smażę dla niego omlet, wychodzę z łazienki z głową owiniętą ręcznikiem po umyciu włosów, a nawet karmię Cloud, George'a i Chestera. Wiedziała, gdzie mnie znaleźć, ale ja nie mogłam powiedzieć tego samego o niej. Poszłam do sypialni i zamknęłam na klucz drzwi ewakuacyjne, na znak protestu przeciw naruszeniu mojej prywatności. W tej chwili nie byłam w stanie kontynuować lektury tych mejli.

Kiedyś już doznałam poczucia unicestwienia. Zostałam



zgwąłcona. Candice zabrała mi trzysta dolarów, żeby zapłacić za piwo, nie rozwiązała mnie, kiedy mogła to zrobić. Candice. Doug.

Czytałam te mejle, mając w pamięci doświadczenia z bliższej i dalszej przeszłości. Przypominało to oglądanie horroru z

włączonym dźwiękiem i napisami; treść docierała do mnie ze zdwojoną mocą. Bennett nie mogłby zranić mnie mocniej, gdyby napisał do Libertine, że okazałam się słaba w łóżku.

Libertine: *Czy ona wciąż prowadzi te swoje badania? Ofiara studiuje wiktymologię?*

Bennett: *Trzeba jej oddać jedno – jest w niej entuzjazm. Lubi się uczyć.*

Libertine: *Nie bądź taki zadowolony z siebie. Gra ofiarę w łóżku?*

Bennett: *Dzientelmen nie mówi o takich rzeczach.*

Myślałby kto, prychnęłam. Spróbowałam wziąć głęboki oddech, ale przestraszyłam się, że doznam hiperwentylacji.

Opuściłam głowę między kolana, zamknęłam oczy i starałam się oddychać normalnie. Podskoczyłam, kiedy zimny nosek Olive dotknął mojego czoła. Przyszła mnie pocieszyć. Zaskomlała, więc wzięłam ją na kolana. Głaskałam ją, aż puls zwolnił rytm i poczułam się lepiej.

– Doktor Olive proszona do gabinetu – powiedziałam do białej suczki.

Olive nie przestawała lizać moich rąk, aż w końcu tragedia pisana przez emocje zmieniła się w melodramat w obliczu

gorączkowych wysiłków suni, by mnie uspokoić i sprowadzić z powrotem z bardzo daleka.

Weszłam do łóżka, zbyt zmęczona, by czytać albo oglądać

telewizję. Usiłowałam znowu zastosować praktykę medytacyjną, którą niedawno ćwiczyłam w wannie, i rozluźnić poszczególne części ciała, jedną po drugiej. Kolana miałam zablokowane. Wrocę do nich. Ramiona: bez problemu. Barki i mięśnie czworoboczne: w porządku. Znowu kolana. Nie poddawały się. Grecy wierzyli, że życie mieszka w kolanach i to dlatego na nie padamy, błagając o życie. Czy powinnam błagać o życie na kolanach?

Pomyślałam o wszystkich nieszczęśnikach, którym przydarzyły się gorsze rzeczy. Ludzie są w stanie znieść nieprawdopodobne okrucieństwo. Niektorzy z nich nawet odzyskują wewnętrzny spokój. Wierzyłam, że też w końcu dam sobie radę. To jednak w niczym nie łagodziło bólu, który odczuwałam w tym momencie.

Przekreśliłam się na bok i nagle dotarło do mnie, że wcale nie czuję się zgorzkniała. Biorąc pod uwagę okoliczności, powinnam raz na zawsze wyrzec się mężczyzn, miłości i romansów. A jednak znowu ich pragnęłam i miałam nadzieję, że to, czego się

dowiedziałam tego wieczoru, nie pozbawi mnie tej szansy.

Przez chwilę wydawało mi się, że uliczna latarnia to księżyc.

Obudziłam się z nieprzyjemną myślą, że Bennett mógł zaprosić Libertine, by mnie obserwowała, tak jak Susan i Samanthę. Czy Libertine siedziała za nami w kinie, kiedy oglądaliśmy *Grizzly Mana*? Gościła – w tym samym czasie – w którymś z pensjonatów w Maine? Pożyczała ode mnie notatki z wykładów na uczelni? Poznałyśmy się? Starłam się nie przekraczać granic zdrowego rozsądku, nie popadać w paranoję, ale na skutek przeczytania poprzedniego wieczoru toksycznych mejli zaczęłam myśleć o ludziach zaatakowanych przez bakterię zjadającą ciało. Czy nadal miałam ręce? Nadal miałam nogi?

Jakim cudem udawało mi się stać przy kuchence i czekać, aż czajnik zagwizdże? Podskoczyłam, kiedy zadzwonił telefon.

– Mam dobre wieści – oznajmiła Billie. – Ale mówiąc to, czuję się jak potwor. Właśnie się dowiedziałam, że ten chory pies w For Pitties' Sake ma przed sobą najwyżej dzień życia.

– Ale dlaczego zadzwonili z tym do ciebie?

– Jestem z Alfredem, przewozimy patyczaki. Udało nam się przetransportować cztery. Alfredo właśnie ulokował je w nowych, wygodnych kojcach. Mamy już domy dla trzech.

Moj podziw dla Billie był w tym momencie absolutnie szczerzy. Ale przyznanie, że wykonała dobrą robotę, nie przyszło mi łatwo.

Pomyślałam, że skoro nie potrafię chronić siebie, mogę przynajmniej chronić swojego psa.

Przypięłam smycz do obrożki Olive i zabrałam ją na spacer.

Wkrotce Cloud także miała wychodzić na powietrze.

Skierowałyśmy się w stronę Petopii. Olive przyśpieszyła kroku, gdy rozpoznała trasę do znajomego sklepu dla zwierząt. Ostatni zakręt pokonała jak na skrzydłach. W sklepie zauważyłam średniej wielkości mieszance beagle'a, zmierzającego samopas w kierunku sporego pojemnika z mięsnymi gryzakami. Obwąchał je, wybrał sobie jeden, po czym wymaszerował z nim ze sklepu.

Roześmiałam się i zapytałam sprzedawcę, czy też to widział.

– Rudy ma u nas otwarty rachunek.

Rudy pracował w sąsiadującym ze sklepem biurze podróży.

Wyszłyśmy ze sklepu z opakowaniem suszonej wątroby dla Cloud.

Prosta radość ze sprawienia przyjemności psu dała mi dość siły, bym mogła wrocić do komputera. Śledzenie perwersyjnych dialogów Bennetta z Libertine, żeby się dowiedzieć, kim ona jest, miało w sobie coś obscenicznego.

Libertine: *Uwzględniła cię w testamencie?*

W czyim testamencie?

Bennett: *Mieszkanie jest wynajęte, nie ma samochodu. Nie pochodzi z bogatej rodziny i oddaje innym większość tego, co zarabia.*

Chodziło mu o moje darowizny dla organizacji opiekujących się zwierzętami?

Libertine: *Nie ma to jak mieć dużo roboty i nie zarabiać!*

Bennett: *Przecież ty właśnie tak robisz.*

Libertine: *Jak dobrze wiesz, mogę sobie na to pozwolić.*

Bennett: *Cały czas myślę o tym filmie dokumentalnym, który tak nam się podobał, Grizzly Man, o tym, jak namiętność Timothy' ego Treadwella do niedźwiedzi grizzly doprowadziła do jego groteskowej śmierci. Bezdomny? W schronisku, gdzie pomagała im jako wolontariuszka?*

Odczułam podwójną ulgę: że nie rozmawiali o mnie, i –

jeszcze większą – że Bennett nie żyje. Myślałam, że wiem, kim jest socjopata; potrafiłabym stworzyć jego profil. Ale dopiero w tym momencie instynktownie zrozumiałam, do czego jest zdolny.

Bennett mówił o kobiecie, którą planował poślubić, kobiecie, która została zamordowana, gdy pełniła bezinteresowną służbę dla innych. Przemknęła mi nawet przez głowę banalna myśl: Czy nie ma już nic świętego? A co z *Grizzly Manem*? Sądząc z ich korespondencji, obojgu ten film się spodobał, ale ja także go widziałam i pamiętałam, że Treadwellowi towarzyszyła jego dziewczyna, także zabita później przez niedźwiedzia, tego samego, który pożarł Treadwella.

Czytałam do momentu, kiedy bezdomny podejrzany o

zabójstwo Susan Rorke został uniewinniony i zwolniony. Potem ton listów Bennetta uległ zmianie. Obawiał się, że policja zacznie go podejrzewać. Libertine nie potraktowała tych obaw zbyt poważnie i nie zaoferowała mu wsparcia. Zmieniła nawet temat, snuła rozważania, gdzie mogliby wyjechać na następne wakacje.

Bennett uparcie wracał do problemu. Czytając dalej, widziałam, jak jego strach wpływa na Libertine. W którymś momencie

napisała: *Kim ty jesteś?* A potem znalazłam zdanie, które przeczytałam kilkakrotnie; szukałam w nim śladów ironii, ale nie znalazłam. Bennett mnie przed nią bronił:

*Morgan jest naprawdę dobra. Ona nigdy nie potraktowałaby mnie tak jak ty.*

Byłam na siebie zła, że te słowa sprawiły mi przyjemność.

Libertine nie dała się sprowokować. A może dała? Rzuciła

Bennettowi wyzwanie: *Chcę się z tobą pieprzyć w jej łóżku. Jutro rano.* Bennett odpisał: *Wychodzi z domu przed dziewiątą.*

Nie było więcej wiadomości od Libertine. Ostatnia została wysłana w wieczór poprzedzający śmierć Bennetta.

Potrzebowałam ruchu. Nie zniosłabym ani chwili dłużej

zamknięta w mieszkaniu. Złapałam płaszcz, szalik, czapkę i rękawiczki i wyszłam

na spacer – szłam po prostu przed siebie.

Chciałam mijać osoby, o których błędach nic nie wiedziałam.

Czułam się bezpieczniej wśród ludzi. Minęłam basen

Metropolitan, rząd rowerów Citi Bikes, wóz z kolumbijskim jedzeniem i bar z sokami. Każdy potrzebuje soku. Wstąpiłam na małą porcję marchewkowego – ukłon w stronę zdrowego odżywiania.

Im byłam bliżej wody, tym mocniej szarpał mną zimny wiatr.

Wyszłam na nabrzeże, gdzie zazwyczaj siedzą wędkarze, ale tego dnia świeciło pustkami. Oczy mi łzawiły, twarz piekła. Wpadłam w odrętwienie, które pomogło mi znieść okropną świadomość: Libertine była w moim mieszkaniu tego ranka, kiedy zginął

Bennett.

Czy właśnie to rozjuszyło psy? Zamknięte w łazience

słyszały głosy Bennetta i tej kobiety w moim łóżku? Mnie to na pewno by rozjuszyło. Zalała mnie fala gorąca. Nie czułam już chłodu, krew pośpiesznie docierała do wszystkich zmarzniętych części mojego ciała. Zniknęło uczucie dezorientacji, które zastąpiło jasne, przesywające zrozumienie, podobne do gniewu.

Zazwyczaj gniew mnie oślepił, ale tym razem dał mi jasność widzenia, był orzeźwiający i zbawienny. Silniejszy od strachu.

Doceniałam tę jasność, nie chciałam jej przyćmić. Libertine była w moim łóżku z Bennettem, ale czy to ona kazała moim psom go zaatakować? W jaki sposób? Dlaczego?

Boss umarł w nocy. Rano Alfredo zadzwonił do mnie z For Pitties' Sake i przekazał mi wiadomość. W Connecticut zwolniło się miejsce dla Cloud. Alfredo powiedział, że może ją przyjąć jeszcze tego popołudnia.

W końcu pozytywne wieści. Mogłam przynajmniej chronić stworzenie, które kochałam, dopóki nie zapewnię mu pełnego bezpieczeństwa. Przepelniała mnie radość, że mój pies znajdzie się w miejscu, gdzie będzie otoczony miłością.

Przed wypożyczeniem samochodu z firmy Zipcar zadzwoniłam do Billie. Przez niemal sześć miesięcy napracowałyśmy się, aby doprowadzić do tej chwili. Zapytałam, czy chce jechać ze mną, na co odparła, że po mnie przyjedzie.

Zjawiała się z kawą i bułeczkami na drogę oraz gryzakiem z suszonej skóry dla Cloud. Ja miałam w torbie paczkę szynki w plasterkach.

– Udało nam się! – zawołała na powitanie.

Miała rację, używając liczby mnogiej. Nie osiągnęłabym tego bez jej pomocy, co szczerze przyznałam. Uniosła rękę, żeby przybić ze mną piątkę; kiedy nasze dłonie się zetknęły, zauważyłam, że jej ramiona i twarz są równie blade jak moje. Nie była ani trochę opalona, chociaż właśnie wrociła z Karaibów.

Billie nie wyglądała na kobietę, która zakłada wielki kapelusz i rękawiczki dla ochrony przed słońcem, ale w gruncie rzeczy niewiele o niej nie wiedziałam. Na Karaibach opalenizna dopada nawet tych, którzy unikają słońca.

– Myślałam, że się trochę opalisz.

– Spędziłam tam tylko czterdzieści osiem godzin. Nie pojechałam po to, żeby leżeć na plaży.

– Skończyli już budowę nowego schroniska? Widziałaś się z Lesley?

– Nie było jej na wyspie. Zabrałam psy ze starego schroniska.

Za każdym razem, kiedy jeździłam po psy, Lesley, dyrektorka Humane Society, przywoziła je z kompletem dokumentów na lotnisko.

Uświadomiłam sobie, że sprawdzam Billie; podejrzewałam, że to wyczuła. Nadal chciałam wiedzieć, czy była tam z McKenziem.

Spytałam, czy ma w samochodzie cukier do kawy.

– Zajrzyj do schowka.

Znalazłam kilka szminek – chociaż nigdy nie widziałam, żeby malowała usta – ale cukru nie było. Wyjęłam jedną, w kolorze opisanym jako

„tiramisu”.

– Może po prostu zjem to? – rzuciłam w żalostnej probie zlągodzenia napięcia, jakie zapanowało między nami.

– Trudno dostać ten kolor. Już go nie produkują.

Przejechałyśmy bez korkow na północ bulwarem Roosevelta.

Ciepło ubrani biegacze pokonywali trasę wzdłuż rzeki. Tego popołudnia na rzece znajdowało się niewiele jednostek

pływających; holownik ciągnął pojedynczą barkę. Pijackie rejsy wycieczkowe odbywały się raczej w sezonie wiosenno-letnim.

Teraz tylko łodzie robocze uwijały się w lodowatej wodzie, pokonując zdradliwe prądy w ujściu East River.

Gdy wyjechałyśmy na Dziewięćdziesiątą Szostą, miałyśmy niezliczone dyskonty z towarami wystawionymi na ulicę mimo zimna, sieciowkę z hamburgerami White Castle, miejskie bloki z tanimi mieszkaniami i stacje benzynowe pełne taksówek.

Skręciłyśmy w Sto Dziewiętnastą tuż za rzędem czynszówek oddzielonym od ulicy oszronionym parkiem.

– Masz jej smycz? – zapytała Billie.

Stanełyśmy na bezpłatnym parkingu tuż przy bramie odgradzającej od ulicy betonowy budynek z nielicznymi oknami.

Mój pies był tutaj uwięziony od września, a za chwilę miałyśmy go uwolnić.

– Tak. – W nylonową obrozę w tęczowe pacyfki wszyta była blaszka z imieniem, a także identyfikator i dowód szczepienia przeciwko wścieklicznie. Billie chyba wyczuła moje wzburzenie.

– Zachowuj się naturalnie, jakbyś przychodziła tu codziennie

– poradziła.

Pomachała do znajomego pracownika schroniska i przeprowadziła mnie obok recepcji. Kobieta za biurkiem rozpoznała ją i otworzyła nam drzwi brzęczykiem. Natychmiast zaatakował nas hałas i obezwładniający smrod moczu i kału.

Szłam za Billie po śliskim linoleum. Poruszała się bez wahania, jak żołnierz. Powinnam była wziąć z niej przykład, tymczasem czułam, że tracę opanowanie.

Zamontowane na ścianach dozowniki zawierałyby żel antybakteryjny... gdyby je kiedykolwiek napełniano. Miałyśmy drzwi prowadzące do kolejnych pomieszczeń. W każdym

przebywało ponad dwadzieścia psow, te duże ulokowane w rzędzie przyklejonych do siebie klatek, mniejsze w małych klatkach ustawionych po trzy jedna na drugiej. Z powodu przepełnienia ścianę z klatek postawiono również w głównym korytarzu.

Zauważyłam, że przerażone koty w kontenerach były

przemieszane z psami. Świetłówki w korytarzu mrugały i trzeszczały, przyprowadzając o ból głowy. Drzwi pomieszczeń ciągnęły się po jednej stronie korytarza; po drugiej stronie znajdowało się wejście z napisem „Pomieszczenie medyczne”.

– Nie wchodź tam – ostrzegła Billie.

Technik weterynaryjny akurat uchylił drzwi, więc przechodząc, zajrzałam do środka. Zobaczyłam krew na linoleum.

– Ostrzegałam cię.

Skład karmy znajdował się trochę dalej, po tej samej stronie korytarza co pomieszczenie medyczne. Głęboki zlew z ciekącym kranem zapełniały aluminiowe miski na wodę i otwarte puszkę z jedzeniem.

– Na prawo patrz – rzuciła Billie, przyłapawszy moje rozbiegane spojrzenie. Ale ja wciąż się rozglądałam. Drzwi prowadzące na oddziały miały wąski pasek szyby na wysokości oczu, więc widziałam psy. Niektóre były w fatalnym stanie psychicznym – siedziały w głębi klatek, wpatrzone tępo w ścianę.

Inne, gdy nawiązały choćby przelotny kontakt wzrokowy z potencjalnym wybawicielem, zaczynały pokazywać sztuczki, których ktoś je kiedyś nauczył. Podawały łapę, chociaż nie było komu jej uścisnąć. Miałam wrażenie, że zaraz się rozpadnę na kawałki. Musiałam chyba głośno westchnąć, bo Billie odwróciła się do mnie.

– Właśnie dlatego tutaj przychodzę – powiedziała.

Trwały godziny adopcyjne, mijałyśmy więc grupy ludzi oglądających psy w klatkach. Zwierzęta gotowe do adopcji znajdowały się w pierwszych dwóch oddziałach, z osobnym pomieszczeniem dla małych psów, gdzie zawsze było najwięcej odwiedzających. Widziałam dzieci trzymające na rękach drżące chihuahua, miniaturowe pudle i wielkouche kundelki. Widziałam rodziny wędrujące od klatki do klatki w oddziałach dla większych psów; dorośli porównywali zalety poszczególnych osobników, zastanawiali się, który jest ładniejszy, a który będzie potrzebował mniej ruchu. Zatrzymałam się na chwilę, podczas gdy Billie szła dalej.

Podśledzałam, jak niechlujny mężczyzna w wieku około dwudziestu lat ocenia szanse młodego pitbula w walce na ringu.

Podbiegłam do Billie, żeby jej o tym powiedzieć.

– Wszyscy go tutaj znają i wiedzą, że absolutnie nie wolno mu wydać żadnego psa – zapewniła.

Kierowałyśmy się w stronę pomieszczeń, do których nie wpuszczano osob postronnych.

Nie wytrzymałabym tutaj godziny. Teoretycznie o tym wiedziałam, ale w pełni zrozumiałam to dopiero teraz, kiedy przyjechałam



wydostać stąd własnego psa. Jedynym pocieszeniem w tym horrorze była dobroć okazywana zwierzętom przez personel schroniska i wolontariuszy, kobiety takie jak Billie – dowiedziałam się od niej, że większość wolontariuszy to kobiety. Powiedziała mi również, że etatowi pracownicy, wykonujący trudną i przygnębiającą pracę, na ogół odnosili się do nich przyjaźnie i zwracali do psów po imieniu, choć najczęściej były to imiona nadane po przyjęciu do schroniska.

– Te drzwi na końcu korytarza wychodzą na podwórze –

wyjaśniła Billie. – Tylko tam psy mogą pobiegać bez smyczy.

Chociaż podwórze to raczej niedobre określenie, bo trawy tam jak na lekarstwo.

Dochodziłyśmy już na miejsce.

– Gdyby winda działała, zobaczyłabyś to samo na drugim piętrze – dodała.

Dopało mnie poczucie winy, że nie jestem w stanie zabrać stąd żadnego psa oprócz Cloud. Ale do czego by to prowadziło, czym się skończyło?

– Wiem, co myślisz. Nie da się uratować ich wszystkich. Dla mnie to kwestia przeliczania, ciągłego liczenia wydawanych pieniędzy na to, co można za nie kupić lub zrobić dla tego miejsca.

Za te markowe buty można zaszczepić dwadzieścia pięć psów przeciwko kaszlowi kennelowemu. A za te okulary

przeciwsłoneczne wysterylizować dziesięć psów.

Billie wyjęła pęk kluczy i otworzyła drzwi na oddział 4A, gdzie trzymano niebezpieczne psy. Do każdej klatki przyczepiono kartę identyfikacyjną z dużym czerwonym napisem ZACHOWAĆ

SZCZEGOLNĄ OSTROŻNOŚĆ. Przestroga wynikała z oceny charakteru zwierzęcia. Z betonowej ściany naprzeciwko rzędu klatek wystawały śruby z grubymi stalowymi kołkami do

przypinania smyczy, dosłownie wyrwane z muru siłą tych

zwierząt. W kącie, oparty o ścianę, stał kij z pętlą, a obok leżał zwinięty gumowy wąż.

Cloud nie było na dawnym miejscu, czyli w pierwszej klatce przy drzwiach. Zamiast niej w klatce siedział wielki biały pies z przyciętymi uszami i różowymi oczami.

– Gdzie ona jest? – Rozglądałam się przestraszona.

– Na końcu rzędu.

Przez chwilę czułam się winna, że biegnąc do niej, nie zwracam uwagi na inne psy. Kiedy zobaczyłam moją sunię, jej brudne, niegdyś białe futro, zawołałam ją po imieniu, a potem po prostu się rozpłakałam. Podeszła do drzwi klatki, a wtedy Billie uchyliła je tylko na tyle, żeby założyć jej obrozę i smycz.

Zaproponowała, że sama wyprowadzi Cloud z oddziału. Cloud szła po jej lewej stronie, oddzielona ciałem Billie od psów w klatkach.

Kiedy dochodziłyśmy do drzwi oddziału, zobaczyłam białego psa z przyciętymi uszami, tyle że nie w pierwszej klatce przy drzwiach, lecz w drugiej, gdzie kiedyś trzymano George'a.

Zorientowałam się, że są tam dwa białe psy z przyciętymi uszami i różowymi oczami, siedzące w identyczny sposób w swoich

klatkach. Miały krótką sierść i szerokie, muskularne piersi.

Wyglądały na jakieś siedemdziesiąt kilo, były większe nawet od Cloud.

– Czy to dogi kanaryjskie? – zapytałam Billie.

Przed laty, kiedy Steven mieszkał w San Francisco, para nieszkolonych psów tej rasy wydostała się z mieszkania na korytarz ekskluzywnego apartamentowca w Pacific Heights i zagryzła młodą kobietę, która nie dość szybko wyciągnęła z torebki klucze do mieszkania. Kobieta zmarła z powodu doznanych obrażeń, obejmujących osiemdziesiąt procent

powierzchni ciała. Nietknięte pozostały jedynie jej czaszka i stopy.

Lekkomyślni właściciele psów – jeden z nich był prawnikiem –

trafili do więzienia na piętnaście lat za morderstwo drugiego stopnia.

– Dogi argentyńskie – wyjaśniła Billie. – Ale tak naprawdę są kozłami ofiarnymi, trafiły tu wczoraj wieczorem.

– Jak to się stało?

– Tak samo jak zawsze.

Albo zakładała, że wiem, o co chodzi, albo mnie zbywała.

Kiedy przechodziłyśmy obok klatek dogów, oba wstały i zaczęły chodzić w kołko; ich ruchy były identyczne, jakby pływały synchronicznie, choć nie widziały siebie nawzajem. Patrzyły na mnie, warcząc i marszcząc nosy.

Po wyjściu z oddziału uklękłam i przytuliłam moją Cloud.

Uszy miała nadal przyklejone do głowy ze strachu, ale machała już ogonem, a potem wtuliła się we mnie, przyciskając swoją potężną głowę do mojej piersi.

– Teraz jesteś bezpieczna.

Cloud wprawdzie cieszyła się obecnością swojej pani, ale gdy zwęszyła szynkę, wsadziła nos do mojej torby.

Billie zaczęła, aż suka przełknie pierwszy kawałek, po czym nałożyła jej kaganiec.

– Wypiszmy ją stąd.

W zatłoczonym holu zaczepił nas latynoski chłopczyk,

zapytał, dlaczego mój pies ma klatkę na nosie i jak zamierzam go nazwać.

– Ma na imię Cloud.

– Fajnie. Mogę ją pogłaskać?

Podeszliśmy do biurka, gdzie stała Billie z Cloud;

usłyszałam, jak Billie mówi mu, żeby jej nie głaskał, bo jest niebezpieczna.

Oślupiałam. Naprawdę w to wierzyła, czy po prostu przestrzegająca zasad?

Obok mnie stał młody człowiek z przestraszonym mieszańcem chow-chow. Był wściekły na kobietę za biurkiem, która poinformowała go, że opłata za pozostawienie psa w schronisku wynosi trzydzieści pięć dolarów.

– Pieprzę to. Przywiążę go na ulicy.

Billie powiedziała mu, żeby zostawił psa, a ona zapłaci.

– Znowu? – westchnęła kobieta za biurkiem. Billie знаła ją, co przyspieszyło procedurę, i po paru minutach wyszliśmy z wolną Cloud. Po rejwachu panującym w schronisku hałaśliwy Harlem wydawał się zaciszny. Poczekalam, aż Cloud opróżni pęcherz. Sprawiała wrażenie oszołomionej zapachami, mnogością psich informacji zapisanych na chodniku, hydrancie i nielicznych miejskich drzewach. Mowimy, że ktoś odzyskał zmysły, kiedy chcemy powiedzieć, że wrocila mu przytomność umysłu i zaczął znow normalnie postrzegać rzeczywistość; w przypadku mojej suki „odzyskanie zmysłów” nastąpiło w sensie dosłownym. I wyglądało bardzo wzruszająco. Nie śpieszyło nam się; pozwoliłam, aby to Cloud narzuciła tempo. Widziałam, że jest rozdarta między ciekawością zewnętrznego świata a pragnieniem moich pieszcot. Przykucnęłam, a ona po prostu się we mnie wtuliła. Billie podrapała ją za uszami i zdjęła jej kaganiec, czym zasłużyła sobie na polizanie i przytulenie.

Zdałam sobie sprawę, że się śmieję. Billie także zaczęła się śmiać; probowałyśmy utrzymać równowagę, kiedy moja ogromna suka zaczęła nas radośnie obskakiwać.

Billie ruszyła w stronę auta, ale zwrociłam jej uwagę, że Cloud powinna najpierw pospacerować. Skierowałyśmy się na wschod, w stronę rzeki. Wiatr ucichł, a wokoło pachniało nadchodzącą wiosną – tak przynajmniej podpowiadała mi

wyobraźnia. Wczesne krokusy jeszcze się nie pojawiły, ale w powietrzu była jakaś miękkość, której do tej pory nie

wyczuwałam. Lekki wiatr znad rzeki sprawił, że Cloud uniosła głowę.

Przypomniałam sobie, że moj pies nie chodził po trawie od czasu testu charakteru przed pięcioma miesiącami. Na razie musiał

jej wystarczyć obskurny park za rogiem. Była tam również długa, wypełniona piaskiem skocznia do skoków w dal. Billie znalazła patyk i rzuciła go, ale Cloud nie lubiła aportować. Została na skoczni i wytarzała się w piasku.

Wyjęłam z torby świąteczny obiad, pół kilo polskiej szynki w plasterkach. Cloud pochłoneła ją w kilka sekund, więc Billie zaproponowała dodatkowo bułeczkę. Potem Cloud napiła się wody mineralnej, którą wyciskałam dla niej z butelki z ustnikiem.

Środkiem rzeki płynęła policyjna łódź. Po drugiej stronie była Wards Island, gdzie mieścił się Ośrodek Psychiatrii Sądowej imienia Kirby’ego. Złowrogie, jasnobrązowe budynki z rzędami okratowanych okien i otaczającą je aurą przygnębienia. Wyglądały jak pomnik cierpienia i rozpacz, ale nie mogły przyćmić tego wspaniałego dnia.

Wrociliśmy do samochodu i usadziłyśmy Cloud na tylnym

siedzeniu, przykrytym czystą narzutą. Cloud pchała się jednak do przodu, między

nasze fotele, aż w końcu zasłoniła mi Billie za kierownicą. Zanim ruszyliśmy, Billie wyjęła telefon.

– Znam kogoś, kto też chciałby to zobaczyć. – Skierowała telefon na Cloud, niemal już całą na przednim siedzeniu, i pstryknęła kilka zdjęć. – McKenziemiu się spodoba.

Kto miał to wiedzieć, jak nie ona.

Zapięliśmy pasy i bulwarem Roosevelta ruszyliśmy w stronę mostu Willis Avenue, żeby wyjechać z miasta bez płacenia za autostradę.

Billie włączyła radio, leciała piosenka Lolawolf.

– Bywa – powiedziała – że pytasz sama siebie, czego chcesz.

I wypróbujesz pierwszą możliwość. Jeśli to cię nie zadowala, przechodzisz do następnej rzeczy, ktorej pragniesz, i znow probujesz. Ale najpierw trzeba wypróbować punkt pierwszy.

– Podejmowałam już ryzyko. Ale innego rodzaju. Pisałam wiersze.

Billie zaśmiała się głośno.

– To mi przypomina słowa pewnego faceta: że gdyby nie poezja, to osmoklasistki w sukienkach na szelkach i czarnych rajstopach musiałyby się z kimś zaprzyjaźnić.

– Nie było aż tak źle. Po prostu lubiłam czytać i od czasu do czasu próbowałam pisać. Sprobowałam, punkt dla mnie. Kiedy się zorientowałam, że nic z tego nie będzie, zaczęłam robić to, co teraz.

– Nigdy mi nie mówiłaś, czego dotyczą twoje badania.

– Patologicznego altruizmu.

Samo wypowiedzenie tych słów na głos otrzeźwiło mnie.

Przypomniało mi, że pracuję nad czymś ważnym, że część mojego życia stanowi wartościowa i pożyteczna praca.

– Brzmi jak oksymoron. Jak altruizm może być patologią?

– Ktoś taki nie tylko szkodzi innym, ale niszczy również

siebie. Pomyśl: osoba, która niestrudzenie pracuje dla innych, nie dba o siebie i zaczyna chorować. Myślę, że znalazłam związek między pracą społeczną ponad miarę a wiktymologią – spełnione, inteligentne kobiety o silnej motywacji, które stają się ofiarami z powodu głębokiego współczucia dla bliźnich. Za jego sprawą przestają rozpoznawać pewien typ drapieżników – oni doskonale wiedzą, że współczucie predysponuje te kobiety do rozstrzygania wszelkich wątpliwości na ich korzyść. Według mnie wyszukują kobiety posiadające w nadmiarze te cechy, których im samym brakuje. Drapieżnicy żywią się współczuciem.

Spojrzałam na Billie, żeby zobaczyć jej reakcję. Nie rzuciła żadnej nonszalanckiej uwagi, przeciwnie, wyglądała, jakby się nad czymś zastanawiała. Potem spytała, czy uważam ją za patologiczną altruistkę. Czy według mnie istnieje ryzyko, że stanie się

tego rodzaju ofiarą?

– Nie umiem wyobrazić sobie siebie w roli ofiary.

– Bennett widział w tobie właśnie kogoś takiego?

Czy mogłam jej szczerze odpowiedzieć? I jak miałyby brzmieć odpowiedzi? Zadawałam sobie to pytanie od śmierci Bennetta.

– Chyba nie potrafię tego ocenić.

Billie skręciła gwałtownie w stronę wyjazdu na Cross River i Katonah.

– Dokąd jedziemy?

– Mamy czas. Znam bardzo przyjemne miejsce niedaleko stąd, gdzie Cloud mogłaby się wyhasać. Bez smyczy.

Rezerwat Ward Pound Ridge. Minęłyśmy zbiornik wodny tuż przy wjeździe, a kiedy skręciłyśmy na parking, okazało się, że nie ma tam żadnych innych samochodów. Cloud oszalała od

nagromadzenia zapachów. Pozwoliłyśmy jej napić się wody ze strumienia.

Podziękowałam Billie za zapewnienie Cloud tej chwili radości pomiędzy schroniskami.

– W głębi duszy korci mnie, by zabrać Cloud i pojechać przed siebie. Wywieźć ją do innego stanu i zacząć życie od nowa, z dala od Nowego Jorku – pozwoliłam sobie na szczerłość.

– Ale nigdy byś tego nie zrobiła.

– Skąd wiesz?

– Bo ja bym tak zrobiła.

Skupiłam uwagę na Cloud, która cieszyła się wolnością.

Kilkadziesiąt metrów od nas, na ścieżce, stał jeleni. Nie spłoszył się. Cloud zastygła, nie rzuciła się za nim w pogoń.

– Grzeczna sunia – pochwaliłam.

Stałyśmy tak bez ruchu, dopoki nie przestraszyły nas wszystkich niespodziewane głosy nadchodzących ludzi. Jeleni czmychnął do lasu.

– Czas się zbierać – powiedziała Billie. – Lepiej dojechać na miejsce, dopoki jest jasno.

Resztę drogi do New Milford odbyłyśmy w ciszy, nie słuchając nawet muzyki. Wreszcie zjechałyśmy na gruntowy trakt prowadzący do For Pitties' Sake, podskakując w koleinach pełnych topniejącego lodu, dotarłyśmy do podmurowanego wiejskiego domu i zaparkowałyśmy obok innych samochodów przed garażem.

Alfredo, usłyszawszy odgłos silnika, wyszedł, żeby nas powitać.

Poczęstował Cloud biszkoptem, jednym, a potem następnym.

Spytał, czy zostaniemy na kąpiel Cloud. W ten sposób,

wyjaśnił, będzie mógł wysuszyć sierść suszarką, podczas gdy ja potrzynam głowę

suki między kolanami, ręcznikiem osłaniając jej uszy przed hałasem. Zapewniłam go, że oczywiście zostaniemy.

Alfredo poprowadził nas do łazienki na dole, zamienionej w coś w rodzaju psiego spa. Wpakowałam do wanny Cloud i

odsunęłam się, żeby Alfredo mógł ją namydlić. Kiedy futro namokło i przykleiło się do ciała, zobaczyłam, że strasznie schudła. Podrapałam ją za uszami przez ręcznik i pomyślałam jeszcze raz o tym, co powiedziała Billie: że nie uciekłabym, aby zacząć nowe życie z moim psem. Ona tak, ale ja nie. Nie wierzyłam już, że w ogóle da się zacząć od nowa. Można

kontynuować i dorastać, ale nie można zacząć od zera. Ludzie, którzy w to wierzą, nie rozumieją ciągłości życia.

Nie chciałam patrzeć na zamykanie Cloud w kojcu, choćby nie wiem jak przestronnym i schludnym, wyszłyśmy więc, kiedy Alfredo ją czesał. Czułam wdzięczność, widząc moją sunię czystą i puchatą, pod opieką człowieka, który troskliwie o nią zadba.

Staliśmy z Billie na błotnistym podwórzu. Dzięki bagnetom przylegającym z jednej strony do posiadłości właścicielce udało się kupić tę ziemię za korzystną cenę. Tak powiedział nam Alfredo.

Psom nie przeszkadzało, że część trzyhektarowego terenu jest podmokła. Byłam zadowolona, że dojechałyśmy przed zmrokiem.

Z okna ogrzewanego garażu, z nowego okna Cloud, rozciągał się widok na bagna, a Cloud uwielbiała wodę.

– Dostałam esemesa od McKenziego – oznajmiła Billie, kiedy wsiadałyśmy do samochodu.

– Teraz?

– Kiedy wysłałam mu zdjęcie Cloud.

– I co napisał?

– Że wreszcie będzie mógł zamknąć twoją sprawę.

Wreszcie? Wyjęłam z torby chusteczkę do nosa, tylko po to, żeby czymś się zająć.

– Powinnam mu napisać, że nie dam rady się z nim dzisiaj spotkać. Możesz wyjąć komórkę z mojej torebki?

Odruchowo sięgnęłam po jej telefon, kiedy poprosiła mnie, bym ją wyręczyła, bo jest zajęta prowadzeniem. Zostałam pośredniczką.

„Umówimy się kiedy indziej, chyba że będziesz siedział do późna” – podyktowała.

– Głodna? – zwróciła się do mnie.

– Chętnie bym się napiła.

– W Danbury jest bar, parę kilometrów stąd. Możemy się napić i zagrać w bilard.

Billie podjechała do irlandzkiego pubu Molly Darcey's. Na scenie stała perkusja i

kilka wzmacniaczy wielkości trumien, ale dochodziła dopiero siódma, zbyt wcześnie na muzykę na żywo.

Był tam również parkiet do tańca, na razie pusty, choć wytarta posadzka dowodziła, że jest w częstym użytku. Na bordowych stołkach barowych, twarzami do płaskiego telewizora z wyłączonym dźwiękiem, w którym leciał mecz piłki nożnej,

siedziało może tuzin gości. Stoł bilardowy był wolny. Zamowiłam dwa piwa, a Billie zaczęła się przygotowywać do gry.

Posmarowała kredą czubek kija, wyjęła bile z korytka pod blatem i ułożyła je w trojkacie, po czym przeszła na drugą stronę stołu.

Zastanawiałam się, dlaczego marnuje czas na grę w bilard, skoro mogłaby spotkać się z McKenziem. Ja wybrałabym to drugie.

Patrzyłam, jak wbija do otworu kolejne dwie bile.

– Nie pochwaliłaś się, że jesteś zawodowcem.

Była to nie tyle gra, co pokaz; Billie przechylała się i operowała kijem w taki sposób, aby dekolt jej czarnej koszulki bez rękawów opadał, ukazując czarny, koronkowy biustonosz.

Spudłowała i podała mi kij.

– Zawsze grałam tylko w osemkę – zastrzegłam, przygotowując grunt pod swoje raczej średnie umiejętności. Nie planowałam żadnych popisów; w starym T-shircie i wąskich

dżinsach wyglądałam wyjątkowo skromnie. Związałam włosy w koński ogon, żeby mi nie przeszkadzały, ale grzywka, którą ostatnio skrociłam sobie pod wpływem impulsu, i tak wpadała mi do oczu.

– Żadnych wymówek.

Umieściłam dwie bile w kieszeniach, po czym nie trafiłam.

Billie wbiła następne cztery, a potem oparła kij na dłoni, żeby wykonać bardzo skomplikowane uderzenie – bila musiała się odbić o trzy ścianki, zanim trafi do celu. Każdy ruch był przemyślany i celny.

Dokończyłam piwo, przyglądając się, jak moja przeciwniczka opróżnia stoł.

– Stawiam następną rundę – powiedziałam, uznając swoją porażkę – Chyba, że chcesz już jechać.

– Zasłużyłam sobie na drugie piwo. Ułożę bile.

Położyła trojkąt na stole i zaczęła układać w nim bile. Dwóch facetów, którzy pili przy barze, podeszło do stołu. Nie miałam pojęcia, jak długo nas obserwowali.

Wyglądali, jakby skończyli właśnie pracę na budowie. Mieli na sobie flanelowe koszule upchnięte w luźne dżinsy, sfatygowane buty i wyglądali jak mężczyźni – w niczym nie przypominali androgicznych wymoczków z Williamsburga. Kiedy dostrzegli, że Billie na nich patrzy, unieśli swoje butelki z piwem i zaproponowali

zakład. Billie go przyjęła. Mimo że mogłaby być z McKenziem.

– Chodź, poznaj naszych nowych chłopaków! – zawołała.

– Cześć – rzuciłam niezobowiązująco w ich stronę, chociaż nie podobało mi się, że Billie mnie w to wciąga. Przypomniałam jej, że mamy za sobą męczący dzień.

– Czemu psujesz zabawę? – Billie zwróciła mi uwagę, że jest co świętować – przeprowadzkę Cloud do nowego domu.

Nie dałam się nabrać. To nie miało nic wspólnego z Cloud.

Wyższy z mężczyzn zapytał, gdzie nauczyła się grać w bilard.

– Od babki. Tak poznała mojego dziadka. Ograła go.

Wyższy podniósł butelkę w geście podziwu.

– Chcesz zagrać? – spytała Billie.

– Myślisz, że będziesz musiała mi dawać fory? – Popatrzył na swojego kolegę, a ja bezbłędnie odczytałam tę wymianę spojrzeń: chodziło o to, czy niższy nie ma nic przeciwko temu, żeby zająć się mną, skoro wyższy już postawił na Billie.

– Nie gniewasz się, że zdecydowałam? – spytała Billie. Nie wiedziałam, czy ma na myśli grę, czy faceta. Zauważyła moje wątpliwości, ale odwróciła się i zajęła ustawianiem trojkąta.

Następnie odczekała chwilę, celnie umieściła bilę w kieszeni i od tej chwili nie spudłowała ani razu.

Gra, o ile można użyć tego słowa, toczyła się tak szybko, że nie musiałam nawet rozmawiać z niższym. Wysoki dobrze zniósł porażkę.

Tuż przed zwycięstwem Billie na scenie pojawiła się kapela.

Wysoki odstawił piwo i wziął Billie za rękę. Zabrzmiała piosenka Toby'ego Keitha *How Do You Like Me Now?! Niezbyt łatwa do tańczenia, ale porywająca. Gdy wymówiłam się świeżo naciągniętym mięśniem, na twarzy niższego pojawił się wyraz ulgi. Wśliznęliśmy się do boksu i zza stołu obserwowaliśmy jego kumpla i Billie.*

Kilka par usiłowało tańczyć w rzędzie. Na parkiecie

krolowali jednak Billie z wysokim, więc nie musieliśmy się zbytnio wysilać, żeby widzieć wszystko dokładnie. Wiadomo, że facet, który umie tańczyć, wchodzi na parkiet zupełnie inaczej niż ten, który nie potrafi. Wysoki prowadził swoją partnerkę z miną posiadacza. Doprawdy niezwykły widok: Billie pozwalająca na to, by mężczyzna ją prowadził. Była tak pewna siebie, że mogła pozwolić sobie na uległość, nic jej to nie kosztowało.

Ku mojemu zdumieniu Billie nie była w stanie dotrzymać

kroku wysokiemu. Tańczyli two-stepa, ale Billie pomyliła rytm i wybuchnęła śmiechem. Przyciągnęła partnera do siebie, ustalając tempo na następną część tańca. Poruszali się wolno i sugestywnie, nawet kiedy orkiestra skończyła grać pierwszą



piosenkę, aby zaraz przejść do następnej: *White Liar* Mirandy Lambert. Idealnie pasuje do sytuacji, pomyślałam, nucąc w myślach: „Prawda wychodzi na wierzch po trochu”.

Pozwoliłam, żeby niski postawił mi jeszcze jedno piwo.

Kiedy piosenka dobiegła końca, Billie i wysoki usiedli w boksie obok nas. Wysoki nadal obejmował Billie, dopoki nie strząsnęła z siebie jego ramienia. Kiedy ponownie chciał dotknąć jej pleców, zaatakowała go ze złością.

– Co ty sobie wyobrażasz? – zasyczała.

Wysoki najwyraźniej uważał, że Billie żartuje. Przed chwilą obściskiwali się na parkiecie.

– Spadam stąd – oznajmił niski. Skinął mi głową na pożegnanie, po czym spojrział wyczekująco na kolegę. Nawet on wyczuł, że coś jest nie tak.

Do wysokiego jakby nie docierało. Wyraźnie miał ochotę na Billie.

– Zagraj ze mną o następny taniec – zaproponował.

– Musimy już jechać. Morgan?

Chwyciłam torbę i wstałam. Billie już skierowała się do drzwi. Poprosiła, żebym prowadziła, i rzuciła mi kluczyki.

Już ruszałam, kiedy wysoki zapukał w szybę po mojej stronie.

– Rusz dupę z powrotem – powiedział do Billie.

– Chłopak na mnie czeka! – zawołała w odpowiedzi.

– Och, doprawdy? – Twarz wysokiego poczerwieniała. – Co, przyjeżdżasz z miasta, żeby się bzykać z miejscowymi? Bawi cię to?

– Pamiętasz tę dziewczynę przy barze? Blondynka. Piła

sama. Zapytaj ją, przy jakiej piosence płacze, ale wstydzi się do tego przyznać. –

Mówiąc to Billie, patrzyła na mnie. Wydawało mi się, że widzę w jej spojrzeniu pogardę, ale później nabrałam przekonania, że to było zniecierpliwienie – musiała wykorzystać mój pomysł.

– Przyjdź i powiedz mi, co odpowiedziała, a wtedy wrocę z tobą do środka. –

Wysoki ruszył do baru. – Matko, mężczyźni są tacy przewidywalni.

Wszystko dokładnie przemyślała. Wybrała odpowiedni

moment. Pozbyła się mężczyzn, a ja siedziałam w jej samochodzie na pustym parkingu.

Chwyciłam za klamkę, ale Billie mnie powstrzymała.

Trzymała w dłoni pistolet.

– Po prostu jedź.

– Dokąd?

– Na razie na południe.

Zastanawiałam się, czy nie rozbić samochodu, ale bałam się, że broń wypali, więc zrobiłam, co mi kazała. Ogłupienie przyćmiło strach. Kurczowo trzymałam kierownicę.

Byłam zaskakująco spokojna.

– Co dzisiaj jest? Piątek? – spytała Billie. – Jutro wieczorem goście w hotelu Omni King Edward w Toronto zaczną skarżyć się w recepcji na smak wody.

Nie miałam pojęcia, o czym mowi. Spojrzałam na pistolet.

Był odbezpieczony.

– Zwłoki w wodzie, na przykład w zbiorniku wody pitnej, rozkładają się dwa razy szybciej niż suche. Po czterdziestu ośmiu godzinach ciało zanurzone w wodzie wydziela wystarczająco dużo gazów, żeby dało się je wykryć.

– Kto jest w zbiorniku?

Wiedziałam kto. Wiedziałam, kto zapłacił za pokój w Omni.

Zmieniłam pas, żeby uderzyć w barierkę po stronie pasażera. Ale czy byłabym w stanie utrzymać kontrolę nad samochodem

pędzącym w chwili zderzenia sto kilometrów na godzinę?

– Ty mi powiedz.

Rozpaczliwie szukałam w myślach odpowiedniej strategii.

Co było dla mnie lepsze w tej sytuacji – udawać głupią czy odkryć karty?

– Skąd niby mam wiedzieć?

– Metodą eliminacji.

– Mogę zgadnąć – kto, ale nie zgadnę – dlaczego.

– To by cię zainteresowało. Mnie natomiast interesuje, dlaczego nie widzisz tam siebie.

Nadal jechałam setką. Pytanie Billie nie było retoryczne.

– Zadaję sobie to samo pytanie.

– Przyczynowość jest przereklamowana – stwierdziła Billie, jakby zmieniając nastawienie. – Przecież zdarzają się wypadki.

Zbliżaliśmy się do rozjazdu – na południe do Nowego Jorku, na zachód do New Jersey.

– Ktorądy teraz?

– Do miasta.

Skręciłam, ale zrobiłam coś jeszcze: całym ciałem oparłam się na klaksonie. Nie zastrzełaby mnie przy takiej szybkości. Ale jednak wystrzełiła. Wycelowała w sufit i nacisnęła spust.

Krzyknęłam.

– Jeśli to nie sprowadzi pomocy, to trąbienie tym bardziej.

Och, chodź, porozmawiamy. Od śmierci Bennetta nie mam z kim pogadać.

– Czy to on miał być ofiarą tamtego ranka?

– Na to pytanie nie ma odpowiedzi dobrej ani złej.

Była. I ja to wiedziałam. Wiedziałam, że tamtego ranka byli umowieni w moim łóżku.

Billie otworzyła skrytkę i wyjęła paczkę gumy do żucia.

– Chcesz? Bezczukrowa.

Oderwałam rękę od kierownicy i wyciągnęłam w stronę

Billie. Wolną ręką odwinęła gumę z papierka i położyła na mojej otwartej dłoni.

– Samantha nie stanowiła wyzwania. Sama jej powiedziałaś, że on nie żyje. Wtedy wkroczyłam z wiadomością: „Żyje”. Wiesz, komu uwierzyła. Musiałam tylko zwabić ją do Toronto.

– Samantha się zabiła? – Zatem Billie pojechała do Toronto, nie na Karaiby.

– Samantha nie umiała pływać. Zapytaj mnie o Susan.

– Bennett wiedział, co planujesz?

– Susan zrobiła się męcząca. Strasznie gorliwa: bezdomni i bezdomni. Kazałam Bennettowi z nią zerwać. Nie usłuchał, więc wzięłam sprawy w swoje ręce, bo tak było najlepiej. Czyli, jak widzisz, tak naprawdę zawinił Bennett. Chociaż, czy poczucie odpowiedzialności nie jest nudne? I niby czemu ma służyć?

W baku zostało niewiele paliwa. Pokazałam Billie wskaźnik, na co oznajmiła, że jesteśmy prawie na miejscu.

– Interesuje cię Pat? – spytała.

– To ty czaiłaś się w krzakach.

– A kto nie ma łazienki w pracowni? Nie obchodziła mnie ani ona, ani jej praca, a ciebie? – Billie nie czekała na odpowiedź. – A Bennetta obchodziła. Uważał, że nagie autoportrety ze świńskimi sercami ukazują odwagę, której nie dostrzegał w Pat, dopoki jej nie rzucił. Chciał, żebym kupiła którąś z prac, mówił, że to świetna inwestycja. Ale kiedy tamtego wieczoru zobaczyłam jej prace, moja opinia tylko się ugruntowała. Nie dostrzegłam żadnej odwagi, przecież to nie było ludzkie serce. Uważam to, co zrobiłam, za współautorstwo.

Nie śmiałam oderwać oczu od drogi.

– Och, nie rob takiej miny.

Kazała mi skręcić z bulwaru Roosevelta w zjazd na Sto

Szesnąstą Ulicę. Chwilę potem parkowałam przed dobudówką do schroniska.

Billie wysiadła pierwsza, obeszła samochód i wzięła mnie za ramię. Przyłożyła mi lufę pistoletu pod żebra.

Dochodziła dwudziesta trzecia; Billie wiedziała, że wejście przez garaż będzie otwarte jeszcze przez piętnaście minut, zanim wszyscy pracownicy schroniska pojdą do domu. Faktycznie, Jose właśnie wyjmował suche rzeczy z jednej z suszarek przemysłowych w garażu. Powiedział nam „Buenas noches”, ale nie zapytał, dlaczego przychodzimy tak późno.

W tym momencie miałam prawdopodobnie ostatnią szansę

na uzyskanie pomocy, ale Jose zdążył już odwrócić się do nas plecami i wrocić do swoich zajęć. Nie mogłam mu posłać

błagalnego spojrzenia, ale z drugiej strony naraziłabym wtedy niewinnego człowieka na niebezpieczeństwo.

Przeszliśmy do skrzydła, w którym trzymano dodatkowe klatki z małymi psami. Jedyne źródło światła stanowiły poumieszczane tu i tam czerwone neonowe znaki z napisem WYJŚCIE. Nikt nie kończył zamiatać podłogi w korytarzu ani nie splukiwał węzłem ostatniej klatki. Billie wybrała idealny moment na przyjazd. Szliśmy korytarzem, mijając oddział za oddziałem.

– Nic złego ci nie zrobiłam – przypomniałam jej.

Kiedy dochodziłyśmy do pomieszczenia medycznego, zaczęłam się trząść. Pomyślałam, że Billie postanowiła mnie uśpić.

Nie istniał chyba lepszy sposób na wyszydzenie tego, co tak wiele dla mnie znaczyło. Ale się nie zatrzymałyśmy.

Wiedziałam, że ta nienaturalna cisza zostanie przerwana eksplozją szczekania i skomlenia w chwili, gdy otworzymy drzwi oddziału. Billie przemykała tuż za mną. Nie szła na palcach, ale poruszała się bezszelestnie i czujnie. Przy stole bilardowym odgrywała spektakl; tutaj jej ruchy były naturalne. Wydawało mi się, że jest w swoim żywiole, całkowicie wyeliminowała ryzyko błędu. Przyszło mi do głowy, że Billie żyje właśnie dla takich chwil. Chwila, w której otworzy drzwi oddziału, będzie jak skok spadochroniarza z otwartych drzwi samolotu.

Ten moment tuż przed skokiem – albo zanim zostanie się wypchniętym – można przedłużać, ale kiedy znajdziemy się w powietrzu, nie mamy już wpływu na sytuację.

Billie otworzyła drzwi oddziału, w którym kiedyś przebywały George i Cloud, i ruchem pistoletu nakazała mi wejść do środka. Pojedyncza żarówka mrugała jak stroboskop, dlatego za każdym razem widziałam Billie w innej pozie. W tym świetle psy w klatkach wyglądały jak dzikie bestie podczas burzy z piorunami.

Odnotowałam to w umyśle, zanim dopadła mnie fala dźwięku. Tak jak się spodziewałam, hałas był doznaniem wręcz fizycznym.

Czułam, że wibruje w całym moim ciele. Słyszałam różne głosy, różne tony. Niektóre brzmiały złowrogo, w innych słychać było strach, jeszcze inne przerażały.

Kiedy znow zobaczyłam Billie, podała mi pęk kluczy.

– Otworz te dwa.

Zaczekała, aż otworzę kojce. W następnym błysku światła przyjrzałam się, które psy uwalniam. Dwa białe olbrzymy ukazały się na mgnienie oka, po czym jak duchy znow zapadły w

ciemność. Co dziwne, nie wydawały z siebie żadnych odgłosów.

Rozpoznałam w nich dogi argentyńskie, które widziałam w kojcach zajmowanych wcześniej przez Cloud i George'a. Za

pierwszym razem ich synchroniczne ruchy sprawiły, że poczułam się nieswojo.

Teraz, uwolniwszy je, poczułam się jeszcze gorzej.

Billie uklękała przed psami i zaczęła im śpiewać coś w rodzaju kołysanki, ale po niemiecku. Psy nie spuszczały z niej oczu. Nie przerywając śpiewania, Billie podała mi dwie pętle i kazała je włożyć na potężne karki dogow.

– Heidi i Gunther nie zrobią nic bez mojego pozwolenia.

– A więc to twoje psy.

– Należę do nich tak samo, jak one należą do mnie.

– *Sitz* – rozkazała.

Psy usiadły.

– *Pass auf*.

Psy wydały z siebie niski warkot.

Billie schowała pistolet do torebki.

Te psy były wyszkolone do ataku. Pamiętałam wystarczająco dużo niemieckiego ze szkoły, by wiedzieć, że druga komenda oznaczała „pilnuj”. Miałam nadzieję, że nie czekały na komendę „*Revier*”, czyli „poluj”. Wiedziałam teraz, że gdyby ekshumowano ciało Bennetta, byłyby na nim ślady zębów tych psów.

Przypomniałam sobie metody rozbrajania napastnika, jakich się uczyłam. Nie miałam przewagi liczebnej, pozostawały mi więc tylko dwie możliwości: spróbować ucłowieczyć się w oczach Billie albo biec w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki... O ile uda mi się do niej dotrzeć w ciągu pięciu sekund. Pierwsza możliwość już spaliła na panewce. Zanim zdążyłam wypróbować drugą, Billie kazała mi otworzyć trzeci kojec. Spojrzałam na przytwierdzoną do niego kartę i w mrugającym świetle dostrzegłam wypisane na czerwono słowa ZACHOWAĆ SZCZEGOLNĄ OSTROŻNOŚĆ.

– Morgan, poznaj Gottiego – odezwała się Billie. – Ma trzy lata i trafił tu za pogryzienie. Gotti, Morgan jest płci żeńskiej, ma trzydzieści lat i trafiła tu, bo nie widziała tego, co miała przed samym nosem.

Gotti wydał z siebie niski pomruk, a w polu widzenia

pojawiły się oba dogi. Billie nie wydawała im komendy, żeby podeszły.

– *Sitz!* – wrzasnęła.

Jeden z psów usiadł natychmiast, drugi obszedł Billie

dookoła, aby zająć pozycję po jej drugiej stronie. Gotti zawarczał

na widok tego trio przed drzwiami swojego kojca.

Billie kazała mi wejść do środka. W przypiływie adrenaliny, ryzykując wszystko, podeszłam do drzwi i tuż przed

zatrzaśnięciem ich za sobą zerwałam Billie z ramienia torebkę.

Miałam pistolet. I kołko z kluczami. Zamknęłam się w

środku.

Zapadła chwila dziwnej ciszy – pozostałe psy na oddziale

przestały szczeleć, jakby wyczuwając zmianę przywództwa.

Pies za moimi plecami był wyższy ode mnie siedzącej w kucki. W klatce było wystarczająco dużo miejsca, aby wstać i odsunąć się trochę od drzwi.

– Dobry pies – powtarzałam w koło jak mantrę. Gotti był wielkim pręgowanym pitbulem. Jego uszy, przycięte zbyt krótko przy głowie, wydzielały drożdżowy zapach, świadczący o infekcji.

Wsunęłam dłoń do torebki Billie i zacisnęłam na rękojeści pistoletu. Pies jednak nie zaatakował. Sięgnęłam po swoją komórkę i wybrałam numer alarmowy.

– Słucham? – zapytał kobiecy głos.

– Potrzebuję pomocy. Jestem w przybudowce schroniska dla zwierząt przy Sto Dziewiętnastej, nad rzeką.

Telefon zamilkł, nie wiadomo, w którym momencie – czy dyspozytorka zdążyła zapisać adres? Ale Billie o tym nie wiedziała.

– Jestem na oddziale czwartym – powiedziałam do głuchego telefonu. – Więzi mnie kobieta z psami bojowymi.

Mówiąc to, cały czas patrzyłam na Billie.

– Sama zamknęłaś się w klatce. – Wywrociła oczami.

– Proszę, pośpieszcie się – mówiłam dalej.

– Rozczarowałeś mnie, Gotti. Nie dotrzymałeś umowy. –

Billie zachowywała się tak, jakbym wcale nie celowała w nią z pistoletu.

– Za chwilę przyjedzie policja – blefowałam.

– Tu nie ma zasięgu. Twój plan tu nie zadziała.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami przed klatką, tak samo jak podczas odwiedzin u moich psów.

– Nigdy nie miałyśmy okazji porównać naszych spostrzeżeń na temat Bennetta. Badasz mężczyzn manipulujących kobietami, ale prawdziwa zabawa zaczyna się wtedy, kiedy to kobieta

manipuluje mężczyzną, aby manipulował innymi kobietami.

– Co ty z tego miałaś? – spytałam ze szczerym zaciekawieniem.

– Zabawiał mnie. Wami wszystkimi. Nie wyobrażasz sobie, jak podniecający jest taki rodzaj bliskości. Całkowite posłuszeństwo, jednostronna wymiana. Niczego nie ukrywaliśmy.

Nie ocenialiśmy się nawzajem. Ale w końcu on wymiękł.

Obecność dogow niepokoiła pitbula. Ze zjeżoną sierścią zaczął warczeć, chociaż nikt się nie poruszył.

– Założę się, że już nie boisz się spać od ściany. Nie wini Bennetta za to, że kazał ci się przemoc. To był mój pomysł.

Bennett zaczął mieć problem: brakowało mu pomysłów.

Marnował całą energię na ciebie. Kiedy przestał się z ciebie nabijać i zaczął cię bronić, zabawa się skończyła. Jasne, przygarniasz psy. Ale potem one przez ciebie giną.

To przez nią zginęły moje psy. Moment nie był jednak odpowiedni, żeby jej to wytykać.

– Mimo wszystko pociągała go szlachetność. Sam może nie odczuwał współczucia, ale zaczął go szukać u innych. I przesadził

– nazwał to „miłością” i oświadczył się wam wszystkim.

Nadal celowałam w Billie, choć ręka mi już omdlewała.

Billie to zauważyła. Oparłam się o pręty kojca, Gotti stał tuż obok mnie.

– Chcesz wiedzieć, co się stało tamtego ranka? Dobrze. Nie był w tobie aż tak zakochany, aby moja wizyta w twoim łóżku go nie ucieszyła. Mniej go ucieszył widok Heidi i Gunthera.

Wyjaśniłam, że jestem z nimi później umowiona u weterynarza.

Kazałam mu zamknąć twoje psy w łazience, żeby uniknąć

problemów. Ale powstał inny problem: nie stawał mu. Po raz pierwszy. I winił za to mnie. Zrobiłam to, zrobiłam tamto, przyprowadziłam te pieprzone psy. Pieprzone psy. Zostawiłam je przed drzwiami sypialni, kazałam im warować. Wstałam z łóżka, ubrałam się, a Bennett nie przeprosił.

Gotti obwąchał pistolet i przestał się nim interesować.

Billie odpowiedziała na moje pytania, z wyjątkiem jednego: czy będę musiała ją zabić?

– Napiszesz o mnie w swojej pracy? Jestem o wiele ciekawsza niż Bennett.

Przerwały jej psy, które nagle zaczęły szczekać wszystkie naraz. Usłyszałam, co je zaniepokoiło. Przynajmniej tak sądziłam.

Wydawało mi się, że słyszę męski głos, dochodzący gdzieś z wnętrza schroniska. Wyteżyłam słuch i głos dotarł do mnie znowu.

Billie też go usłyszała. Zbliżał się i mogłyśmy rozpoznać słowa:

– Policja! Jest tam kto?

Billie przyłożyła palec do ust i wyjrzała przez zbrojoną szybę w drzwiach oddziału. Jej psy równocześnie odwróciły głowy, nie spuszczać z niej wzroku.

Billie schyliła się, kiedy błysk światła oświetlił szybę.

– Jestem tutaj! – krzyknęłam.

– Ten pojdzie na twoje konto – powiedziała Billie.

Otworzyła drzwi oddziału.

– *Braver hund!* – rozkazała.

Dogi wyskoczyły na korytarz jak zsynchronizowane widma, skupione na swojej ofierze.

Billie poszła za nimi.

Miałam wrażenie, że wszystkie zwierzęta w schronisku szczekają. Hałas mnie dezorientował, nie odróżniałam głosu psów Billie od reszty, o ile w ogóle wydawały z siebie jakieś dźwięki podczas ataku. Usłyszałam krzyk jednego z policjantów. Potem krzyk zmienił się we wrzask. Dlaczego nie użył broni? Aczkolwiek ja też jej nie użyłam.

– Dobry pies – powiedziałam do swojego współwięźnia, otwierając drzwi klatki.

Policjant leżał na ziemi, ale już nie krzyczał. Nie wiedziałam, czy żyje, ale stojące nad nim białe psy – widziałam je w słabo oświetlonym korytarzu – były całe zakrwawione.

Skradałam się za Billie, żeby ogłuszyć ją pistoletem, z którego nie byłam w stanie wystrzelić. Miałam świadomość, że będę musiała walnąć na tyle mocno, by upadła. Ale co zrobią jej psy, kiedy ją uderzę? Nigdy nie zrobiłam nikomu krzywdy, nie potrafiłam też strzelać do ruchomego celu. Na samą myśl robiło mi się niedobrze. Potem dostrzegłam po swojej lewej stronie drzwi na ogrodzony wybieg. Wyszłam na zewnątrz, przekonana, że Billie mnie nie widzi, i natychmiast przyszło mi do głowy, że może odzyskam zasięg.

Na ciemnym wybiegu, zagraconym piłkami i zwiniętym węzłem, o który się potknęłam, wyjęłam komórkę, uniosłam w górę i zaczęłam nią machać, próbując złapać sygnał. Usłyszałam strzał wewnątrz schroniska. Pojedynczy. Do kogo strzelił drugi policjant? Do jednego z psów? Wiedziałam, że to nie powstrzyma drugiego. Czekałam na drugi strzał.

Zamiast tego pojawił się zasięg.

– Słucham? – zapytała dyspozytorka linii alarmowej.

– Policjant nie żyje. Jesteśmy na Wschodniej Sto

Dziewiętnastej, schronisko dla zwierząt. Proszę się pośpieszyć.

W otwartych drzwiach stanęła Billie. A obok niej jeden z dogów.

Billie udawała, że się rozgląda.

– Możesz sobie wyobrazić, że to jedyny wybieg, jaki tu mają?

– Twoje psy zabiły policjanta.

– Policjant zabił jednego z moich psów.

Dostrzegłam ruch za jej plecami. Pies również. Drzwi otworzyły się ponownie i zobaczyłam drugiego policjanta z bronią w ręku. Zanim zdążył podejść bliżej, dog zaatakował. Policjant wystrzelił, ale pies uderzył w rękę trzymającą pistolet i kula trafiła Billie. Upadła, ale nie straciła przytomności. Zaklęła i chwyciła się za nogę. Pies wytrącił policjantowi pistolet z ręki z taką siłą, że broń przeleciała po chodniku i wylądowała obok Billie.



Błyskawicznie kopnęłam pistolet daleko od Billie. Policjant leżał na plecach, wił się i osłaniał rękami przed psem.

Wycelowałam, ale bałam się, że mogę trafić w człowieka, zamiast w zwierzę.

– Każ mu przestać! – krzyknęłam do Billie.

– To suka. Ma na imię Heidi.

Wymierzyłam w Billie.

– Każ jej przestać – powiedziałam spokojnie.

– Akurat się odważysz do mnie strzelić.

Bardzo tego chciałam, ale Billie miała rację.

Strzeliłam do psa i trafiłam.

Przez chaotyczne szczekanie usłyszałam dźwięk syren, oznaczający pełną mobilizację – zabito policjanta. Skierowałam lufę w stronę Billie i czekałam, aż policja nas znajdzie.

– Musisz przyznać, że czegoś się nauczyłaś – stwierdziła Billie.

– Tutaj! – zawołałam, nie wiedząc, czy policjanci mnie słyszą.

– Zawsze oczekujesz, żeby facet cię ratował.

Potem otworzyły się drzwi i na zewnątrz wbiegł tłum uzbrojonych funkcjonariuszy.

– Rzuć broń! – wrzasnął jeden z nich. Przez ułamek sekundy nie zrozumiałam, że zwraca się do mnie.

– Odłóż broń.

Położyłam pistolet na ziemi.

Jeden z policjantów kopnął go z dala ode mnie.

– Na ziemię – rozkazał.

Kopnięciem rozsunął mi nogi, obszukał mnie, po czym wykręcił mi ręce do tyłu i założył kajdanki.

– Strzeliła mi w nogę – poskarżyła się Billie. – Boli. Nie mogę chodzić.

– Dawajcie tu lekarza! – zawołał policjant do innych.

– Czy z tamtym oficerem wszystko w porządku? – spytała Billie z troską.

– To nie ja stanowią tu zagrożenie – powiedziałam. W odpowiedzi szarpnięciem postawił mnie na nogi.

– Pojawiła się znikąd. Jestem tu wolontariuszką.

Przybiegli sanitariusze i zajęli się zmasakrowanym policjantem. Kilka sekund później kolejnych dwóch ratowników uklękło obok Billie.

– Czy postrzelono panią gdzieś jeszcze?

– Nie czuję nogi.

W końcu odzyskałam głos.

– Białe psy należały do niej. To psy bojowe. Kazała im zaatakować.

– Nie, chyba trafiła tylko w nogę – oznajmiła Billie.

Na podwórze wszedł policjant i powiedział do trzymającego mnie kolegi:

– Straciliśmy Scotta. Pierdolone psy rozszarpały mu gardło. –

Chwycił mnie za szyję. – Powiniennem rozszarpać twoje pierdolone gardło.

– Nie tutaj – odezwał się drugi.

Ratownicy podłączyli Billie do kroplówki i ułożyli ją na

noszach, ale czekali, aż nieprzytomny policjant zostanie zabrany pierwszy.

Pomimo całego zamieszania widziałam wszystko jak na

zwolnionym filmie. Patrzyłam na zniszczone kamienice

przylegające do schroniska od tyłu. Na wszystkich piętrach paliły się światła, okna były otwarte, ludzie gapili się i robili zdjęcia telefonami komórkowymi.

Chyba z dziesięciu policjantów okrążyło nas, żeby

eskortować winną, czyli mnie. Weszliśmy do budynku. Kiedy mijaliśmy ciało martwego policjanta, zatrzymali się i kazali mi na niego patrzeć. Zwymiotowałam.

Billie miała rację – ten poszedł na moje konto.

Na zewnątrz rozgrywała się scena jak z wojennego filmu:

schronisko było oświetlone reflektorami z helikopterów. Kiedy siedziałam już w radiowozie, jeden z policjantów wyrecytował

przysługujące mi prawa.

Konwoj policyjny odtransportował mnie do komisariatu.

Trafiłam od razu do pokoju przesłuchań, gdzie przykuto mnie kajdankami do stołu.

Jako uczciwa obywatelka byłam przekonana, że zostanę

oczyszczona z podejrzeń. Czułam jednak przeszywający strach, że tak się nie stanie.

Jeżeli drugi policjant umrze, stracę jedyne świadka. Nawet jeśli przeżyje, nie będzie wiedział, kto kazał go zaatakować.

Pozostanie słowo Billie przeciwko mojemu, a to w jej ciele tkwiła kula.

Policjanci byli przekonani, że to ja zabiłam ich kolegę. Może do pewnego stopnia mieli rację. Mogłam zabić Billie i jej psy, ale tego nie zrobiłam. Całe ciało zaczęło mnie swędzieć. Czułam, jak na skorze piersi i pleców powstają obrzęki. Brakowało mi tchu.

Wiedziałam, że niepokój wywołuje najroźniejsze objawy somatyczne. Chciałam, żeby ktoś wszedł do pokoju przesłuchań, a jednocześnie bałam się tego. Wierciłam się na krześle, usiłowałam się podrapać w plecy. I chciało mi się sikać.

Po godzinie przestałam patrzeć na zegarek. Nie mając pojęcia, kto może mnie obserwować zza weneckiego lustra, zaczęłam wolną ręką zdejmować spodnie, żeby załatwić się na podłogę. Jeśli czekali na przedstawienie, to się doczekali.

Odsunęłam się od szyby jak najdalej i przykucnęłam.

Modliłam się, żeby nikt nie wszedł akurat w tym momencie. Być może mieli dobrą zabawę po drugiej stronie lustra.

Kałuża pokryła sporą powierzchnię podłogi pod stołem, do którego byłam przykuta, i wypłynęła daleko poza moje krzesło.

Okazało się, że o wiele łatwiej jest zdjąć spodnie jedną ręką, niż wciągnąć je z powrotem. Nie było mowy o zasunięciu suwaka.

Cały czas tkwiło mi w świadomości, że psy zamknięte w klatkach też są zmuszone do zanieczyszczania własnej przestrzeni.

Weszło dwóch śledczych w cywilnych ubraniach; jeden z nich miał w ręku skoroszyt, drugi trzymał się za nos.

– Coś ty tu, kurwa, narobiła?

– Chcę zadzwonić.

Zdegustowany policjant zabębnił w drzwi.

– Dajcie tu ręczniki papierowe.

Kiedy przyniesiono rolkę ręcznika, rzucił ją w moim kierunku i rozkazał wytrzeć podłogę.

– Jestem przykuta.

– Ale spodnie potrafiłaś zdjąć.

Nie ruszyłam się z miejsca.

– Chcę skorzystać z telefonu.

– Znasz Jimmy'ego Gordona? – zapytał ten ze skoroszytem.

Powtórzyłam swoje żądanie.

Spróbował jeszcze raz, tym razem pokazując mi zdjęcie z miejsca zbrodni – mojej sypialni.

– Telefon.

– Zabiłaś policjanta. Na twoim miejscu zacząłbym współpracować – powiedział śledczy, który kazał przynieść ręczniki.

– Chcę porozmawiać z moim adwokatem.

Wyczułam, że próbują stosować przestarzałą metodę przesłuchań Reida – uczyłam się o niej na pierwszym roku psychologii. Podczas przesłuchania śledczy wypatrują oznak niepokoju, takich jak skrzyżowane ramiona, rozbiegane spojrzenie, drżące kolana, dotykanie włosów.

Próbują umniejszyć znaczenie konsekwencji moralnych – „No tak, ale jej facet był strasznie konfliktowy”. Jak na ironię sprawa, dzięki której policjant John Reid zyskał sławę, była oparta na fałszywych zeznaniach.

Jeden z policjantów pokazał na migi przez szybę, żeby przyniesiono telefon; po chwili drzwi się otworzyły i dostałam do ręki słuchawkę. Policjant włożył wtyczkę do gniazdka w ścianie.

– Tylko rozmowy miejscowe – warknął.

Zadzwoiłam do Stevena.

– Czekalem na jakiś sygnał od ciebie. – Słyszałam w jego głosie ulgę.

– Mogą mnie podsłuchiwać.

– Czy Billie jest z tobą?

– Jestem na komisariacie we wschodnim Harlemlu. Billie jest w szpitalu.

– Z tobą wszystko w porządku?

– Jestem przykuta do stołu w pokoju przesłuchań.

– Mowisz od rzeczy.

– Dziś zrozumiałam o wiele więcej niż przez ostatnie pół roku. Jeszcze mnie nie oskarżyli, ale jestem aresztowana za zabicie policjanta.

– Nic nie mów, dopóki nie przyjadę.

Zanim się rozłączyłam, poprosiłam Stevena, żeby zawiadomił McKenzię.

Śledczy wyszli z pokoju przesłuchań, zabrawszy ze sobą telefon. Zostawili ręczniki, więc odwinęłam długi kawałek i zaczęłam wycierać podłogę, na wypadek gdyby wprowadzono tu mojego brata.

Pod stołem leżała już sterta mokrego papieru, kiedy wrocili śledczy i oświadczyli, że zabierają mnie do aresztu tymczasowego.

– Ale mój brat tu zaraz przyjedzie.

– Powiedz mu, żeby ci przysłał prawnika.

– On jest moim prawnikiem.

– To będzie musiał się pofatygować do centrum – oznajmił śledczy.

Jechałam radiowozem w towarzystwie tych policjantów.

Przypomniał mi się tamten dzień na studiach, kiedy profesor przyniósł na wykład internetową opinię z Yelp, opatrzoną jedną gwiazdką, na temat nowojorskiego aresztu policyjnego. Podobało mi się, że istnieje możliwość wymiany uwag na ten temat. Kiedy profesor odczytał tekst na głos, wszyscy wyli ze śmiechu. „Zacznę od tego, że powiem... Eeej, czarnuchu! Jak wyszedłem z pierdła, to mowiłem po murzyńsku. Mam wykształcenie, skończyłem college, to nie byle co. Jestem kierownikiem w firmie farmaceutycznej. Mam do czynienia z setkami specow od opieki zdrowotnej, co to mają magistra, doktora i inne stopnie z różnych syfow, ktorzych nazw nie umiem spamiętać. Czarnuchu to, czarnuchu tamto, czarnuchu sramto. Tylko to, kuźwa, słyszałem”.

Tekst był tak barwny, że zapamiętałam całość. Może kiedyś napiszę własną opinię. Przejechaliśmy przez Chinatown w kierunku dwóch szarych budynków bez okien na White Street – sądu i Grobowców, połączonych na wysokości drugiego piętra łącznikiem, również bez okien. Na fasadzie aresztu widniał mural Richarda Haasa

„Imigracja na Lower East Side”. Jak na ironię, umiejscowienie dzieła wydaje się prowadzić imigrantów prosto za kraty.

Wszystko odbyło się w sposób dobrze znany widzom telewizyjnych programów kryminalnych. Tylko że oglądanie ich z wygodnej kanapy z pudełkiem czekoladek pod ręką to jedno, a rewizja osobista w areszcie tymczasowym to drugie.

Odprawiono mnie do celi, którą – ku swojej uldze – miałam zajmować w pojedynkę. Na razie. Słyszałam dochodzącą z bliska kłotnię więźniarek. Potem zabrzmiało choralne „Klawisz, klawisz!”, ale nikt się nie pojawił. W celi było potwornie zimno.

Wymyśliłam to sobie czy naprawdę gdzieś słyszałam, że temperaturę w Grobowcach utrzymywano na poziomie pięciu stopni?

Powinnam być w stanie udowodnić, że to Billie umieściła dogi argentyńskie w schronisku. Powinnam być w stanie udowodnić, że była w moim mieszkaniu w dniu zabójstwa Bennetta – pisała o tym jako Libertine w mejlach, z których wynikało jasno, że zabiła także Susan Rorke i Samanthę. Tylko czy mejle stanowiły dowód dla sądu?

Domyślałam się, że do rana pozostało jeszcze kilka godzin.

Musiałam oddać zegarek do depozytu, ale mogła być mniej więcej trzecia w nocy. Metalowa ławka, na której siedziałam, była tak śliska, że omal z niej nie spadłam. Sen nie wchodził w rachubę.

Przeżywałam, jak mawiał poeta, „ciemną noc duszy”<sup>6</sup>. Załamała mnie myśl, że jestem odpowiedzialna za śmierć jednego człowieka i poważne obrażenia u drugiego. Poczucie winy niczemu nie służyło, jak twierdziła Billie, ale nie potrafiłam się od

niego uwolnić. Przeczytałam graffiti na ścianach celi. „Nigdy nie podnoś broni zabitego”. „Wybaczcie, ale nie mam wyboru”. „Rob to, co uważasz za najlepsze dla siebie”.

Z sąsiedniej celi dobiegły mnie odgłosy sprzeczki. Dwie kobiety kłóciły się o to, która z nich pierwsza dostanie telefon.

Mój umysł przeszedł od trosk natury logicznej i praktycznej do obrazów i uczuć, z którymi nigdy więcej nie chciałam mieć do czynienia. W końcu ocknęłam się z rozmyślań i odkryłam, że siedzę na podłodze celi, skulona w tej samej pozycji, którą przyjął w wannie po znalezieniu ciała Bennetta. Wiedziałam, co się ze mną dzieje: doświadczałam jednej z form stresu pourazowego. Właśnie po raz drugi widziałam człowieka

zagryzionego przez psy. Zmusiłam się do głębokiego oddychania, żeby uniknąć hiperwentylacji i spowolnić puls. Wyobrażałam sobie kojące widoki morza: białe plaże, pływanie w turkusowej wodzie o temperaturze ludzkiego ciała. Ale nawet to nie przyniosło rezultatu – ciepła woda przypominała mi krew.

Wstałam i zaczęłam krążyć po celi. Przypomniałam sobie historię, którą opowiedział mi Steven po powrocie z Afganistanu.

Podczas wizyty w więzieniu zauważył izolatkę na końcu zawilgoconego korytarza. Zajrzał przez małe otwór w drzwiach i zobaczył młodszą dziewczynę, może trzynastoletnią, leżącą na prycy twarzą do drzwi i wpatrującą się pustym wzrokiem w przestrzeń. W celi nie było umywalki ani toalety – nic oprócz prycy. Steven poprosił tłumacza, by spytał strażnika, za co dziewczyna znalazła się w więzieniu. Strażnik wyjaśnił, że nastolatkę umieścił za kratami jej własny ojciec, ponieważ uciekła ze swoim chłopakiem. Zostali złapani przez krewnych, ale potem znowu uciekli. Steven zapytał, dlaczego w celi nie ma wody i dlaczego trzymają dziewczynkę w całkowitej izolacji, przecież to okrutne. Strażnik przyznał mu rację, powiedział, że jest mu jej żal, ale w więzieniu nie ma kobiet strażniczek, które mogłyby się nią zająć. Było widać, że dziewczyna zaczyna wariować. Steven poinformował o fakcie ambasadę Stanów Zjednoczonych, która ostatecznie wynegocjowała jej zwolnienie.

Wokół panowała cisza. Kłótnia o telefon ucichła. Strażnicy gdzieś zniknęli. Byłam pogrzebana żywcem w Grobowcach.

Ta noc miała pokazać, czy całkiem się rozkleję, czy pokażę, na co mnie stać. Ktoś inny w sytuacji skrajnej mógłby się zastanawiać, co przeoczył, skoro doszło do śmierci i poważnego okaleczenia policjantów. Czy powinnam rozważyć w myślach każdą możliwość powstrzymania Billie i uniknięcia masakry? To by jednak nie odwróciło biegu wydarzeń.

Siedziałam na podłodze, oparta o ścianę. Z oczywistych przyczyn przypomniał mi się fragment wiersza Emily Dickinson:

„Wielki ból zastępuje rutyna cierpienia  
Jak trawa Grob, tak Nerwy porasta

konwenans”7.

Była to moja ostatnia myśl, zanim obudził mnie dźwięk kluczy i głos strażnika.

– Kiedy wywołam nazwisko, macie wyjść i trzymać gębę na kłódkę. Idziecie do sądu. Nie wolno wam mówić. Nie wolno wam komunikować się na migi z nikim w sądzie. Macie siedzieć i patrzeć przed siebie, dopoki nie wywołają waszego nazwiska.

Wywołano sześć nazwisk, ale nie moje.

Wkrotce przyszło po mnie dwóch gliniarzy. Skuli mi ręce i przyczepili kajdanki do paska. Miałam jechać do wydziału

karnego, mniej niż sto metrów dalej, i zostać publicznie przeprowadzona po granitowych schodach.

Radiowóz się zatrzymał, a przed wejściem czekał już tłum reporterów z kamerami i mikrofonami. Policjanci poprowadzili mnie obok dziennikarzy do budynku sądu i zawieźli windą na trzecie piętro, do małego boksu obok celi dla aresztantów, gdzie czekał już Steven. Gliniarze zostawili nas samych.

– To jest, kurwa, niewiarygodne. – Steven uściskał mnie i pocałował w czoło.

Pod wpływem jego dotyku zaczęłam płakać.

– Co teraz będzie?

– Oskarżą cię o morderstwo policjanta.

– Ale to były psy Billie. To ja byłam celem, nie ten policjant.

– Posłuchaj, mamy tylko kilka minut. Złożę wnioszek o zwolnienie za kaucją, ale szanse są prawie zerowe.

– A co z drugim policjantem? Wyjdzie z tego?

– Leży na intensywnej terapii w Columbia Presbyterian.

Lekarze są dobrej myśli.

– Wiem, że to samolubne, ale czy on będzie w stanie mówić?

Może widział, co naprawdę się stało.

– Spróbuję się dowiedzieć i dam ci znać.

– Czy Billie też jest w tym szpitalu?

– Wypuścili ją dziś rano. Rana okazała się powierzchowna.

Babka zabrała ją do domu.

– Ale jej psy zagryzły policjanta.

– Powiedziała policji, że ty wypuściłaś je z klatek. Co wiesz o tych psach?

– Billie wydawała im komendy po niemiecku. Były szkolone do atakowania ludzi.

– Jezu.

Powiedziałam mu, że wiem, jak w więzieniach traktuje się podejrzanych o zabicie policjanta. Czytałam książkę Mumii Abu-Jamala *Live from Death Row*. Widziałam niesławne wideo z Estebanem Carpio, pobitym tak, że nie

można go było rozpoznać, i zmuszonym do włożenia maski a la Hannibal Lecter, prowadzonym do sądu na odczytanie aktu oskarżenia o zabicie policjanta. Dodałam też, że jeśli zostanę skazana, będę spędzać dwadzieścia trzy godziny na dobę w całkowitej izolacji.

Policjant otworzył drzwi celi i kazał Stevenowi zakończyć wizytę. Steven obiecał, że zobaczymy się za kilka minut w sądzie.

Sala sądowa znajdowała się tuż obok. Policjant wprowadził mnie i posadził przy stole obrony. Po mojej prawej stronie otworzyły się drzwi i weszła grupa kobiet w pomarańczowych kombinezonach. Moje koleżanki-aresztantki zasiadające w ławie przysięgłych...

Steven wszedł do sali głównym wejściem i usiadł obok mnie.

Sędzia odczytał zarzuty. Steven dał mi znak, kiedy mam oświadczyć, że jestem niewinna. Wszystko trwało niespełna pół godziny. Wniosek o zwolnienie za kaucją został odrzucony.

6 Święty Jan od Krzyża, *Ciemna noc duszy*.

7 Emily Dickinson, wiersz nr 341, tłum. Stanisław Barańczak.



Pory dnia rozpoznawałam jedynie dzięki posiłkom, ale nie mogłam jeść. Wszędzie unosił się natarczywy odor moczu i kału. Nie zamierzałam spać na ławce; starałam się niczego nie dotykać. Po wymiotach z poprzedniego dnia został mi kwaśny smak w ustach. Ubranie cuchnęło potem. Swędzenie ustało, ale zostały obrzęki. Niepokój przeszedł w strach – o następne dziesięć minut i resztę mojego życia.

Krotko po lunchu – kanapka z kiełbasą i kartonik mleka – których nie tknęłam, przyszedł strażnik. Znowu założył mi kajdanki i zaprowadził do małego pokoju za rogiem, gdzie czekał ma mnie McKenzie.

– Proszę ją rozkuć – zwrócił się do strażnika.

– Jest pan pewien?

McKenzie potwierdził skinieniem głowy i czekał, aż zostanę uwolniona od kajdanek. Kiedy zostaliśmy sami, wziął mnie w ramiona i trzymał przez długą chwilę. Mimo wszystkich moich problemów w tym momencie najbardziej martwiłam się o to, jak wyglądam i pachnę.

– Wiesz, że to Billie, prawda?

– Byłem już w schronisku i sprawdziłem księgę przyjęć.

Wynika z niej, że dogi argentyńskie oddała Morgan Prager. – Obserwował moją reakcję.

– Oczywiście.

– Wiem od Stevena, że były szkolone do atakowania.

Sprawdziłem wszystkie szkoły dla psów w stanie Nowy Jork, New Jersey i Connecticut, ale żadna nie szkoliła dogów argentyńskich od kilku lat. Co oznacza, że Billie wysłała je gdzieś dalej albo trenowała je sama. Masz jakiś pomysł, gdzie mogła je trzymać?

– Nigdy nie byłam u niej w domu.

– Ja też nie. – Moja radość z tej informacji musiała być widoczna, bo McKenzie powtórzył ją jeszcze raz. – A adres, który podała, kiedy u mnie pracowała, okazał się fałszywy.

– Jej babka ma stadninę koni w Connecticut.

– Adwokat rodziny uprzedził, że będę potrzebował nakazu sądowego, by móc przeszukać posiadłość.

– Gdziekolwiek trzymała te psy, miała je co najmniej od pół roku. – Spytałam, co piszą gazety.

– Jutro będą trąbić o czymś innym.

– Mam nadzieję, że o morderstwach Susan Rorke, Pat Loewi

i Samantha Couper.

– Steven wszystko mi opowiedział.

– Billie nie byłaby pierwszą osobą, której udało się uniknąć kary za morderstwo.

– Ludziom w końcu powija się noga, nawet sprytnym jak Billie.

– Chyba że jej się nie powinie.

– Steven załatwia adwokata od spraw kryminalnych. Rano przyjdzie do ciebie Carol Anders. To specjalistka z pierwszej ligi, pracowała w kancelarii z moją żoną. No dobrze, skoro mamy to już za sobą, mogę ci powiedzieć, że spotkałem się z Billie, zanim wyszła ze szpitala, dzisiaj rano. Towarzyszyła jej babka. Nie liczyłem na to, że Billie zechce współpracować, że powie prawdę, ale musiałem spróbować. Zapytałem wprost, gdzie trzymała swoje dogi. Babka wtrąciła się, żebym nie zawracał im głowy, ale Billie odesłała ją do bufetu na kawę, aby porozmawiać ze mną w cztery oczy. Była wściekła w ten swój spokojny, lodowaty sposób. Nie mogła ryzykować, że zwróci na siebie uwagę pielęgniarek, więc mówiła cicho, ale w jej oczach dostrzegłem furję. Zdawała sobie sprawę, że wierzę tobie, a nie jej. I przekonała się, że nie ma nade mną kontroli.

– Poznałeś Libertine. – Opowiedziałam McKenziemu całą historię.

– Od początku czułem, że coś tu nie gra.

– Ale nadal się z nią widywałeś.

– Wiem, to zabrzmiało banalnie, ale działała na mnie jak narkotyk. Otrzeźwiałem, dopiero kiedy zaczęła u mnie pracować. Zobaczyłem, jak traktuje ludzi, od których niczego nie potrzebuje.

– Podniósł rękę, żeby pokazać zniecierpliwionemu strażnikowi, że potrzebuje jeszcze pięciu minut. – Nawet nie zapytała, jak się czuje ten drugi policjant. Według mnie, ona wierzy, że wszystko ujdzie jej na sucho. I chyba ją to bawi.

– Dlatego jest niebezpieczna. Istnieją jednak plusy pobytu w więzieniu: Billie mnie tu nie dopadnie.

– Zatrudniłem detektywa, żeby kontynuował śledztwo w sprawie psow. I mamy nadzieję, że ten ranny glina wkrótce będzie mógł zeznawać. Poprosiłem, żeby skontaktował się z oficerem śledczym w Bostonie i opowiedział mu o mejlach, w których Libertine przyznała się do zamordowania Susan Rorke.

– Czy mejle mogą być dowodem w sprawie? – zadałam pytanie, które przyszło mi do głowy już wcześniej.

– Jeśli da się udowodnić, kto je wysłał.

McKenzie przeprosił, że teraz musi mnie zostawić, i dodał pocieszająco, że na zewnątrz może zrobić dla mnie więcej. Nie mogłam temu zaprzeczyć. Ja w ogóle nic nie mogłam

zrobić.

Mogłam jedynie modlić się o cud, który sprawi, że zostanę oczyszczona z zarzutów.

Kiedy McKenzie wyszedł, kazano mi czekać w celi, aż

zbierze się wystarczająca liczba „ciał” – tak nas nazywali – do odesłania na górę.

Tam zostałammy skute – z rękami na plecach –

w pary z innymi więźniarkami, po czym sprowadzono nas

schodami na ulicę, gdzie czekał autobus jadący na Rikers Island.

Człowiekowi przykutemu do drugiej osoby ciężko usiedzieć, zwłaszcza w podskakującym autobusie, a ponieważ jechaliśmy po jednej z najgorszych dróg w mieście, doświadczenie okazało się wyjątkowo bolesne. Bywałam na Rikers Island tylko jako studentka, żeby na ostatnim roku zaliczyć praktyki. Poczulałam absurdalny odruch, aby o tym opowiedzieć, ale zagłuszył mnie kaszel kobiety, do której byłam przykuta. Shalonda, transseksualistka, którą polubiłam, powiedziała mi, że na Rikers Island przypadki gruźlicy, i to najczęściej w postaci lekoopornej, zdarzają się trzykrotnie częściej niż w mieście.

Zostałyśmy oddzielone od mężczyzn i zaprowadzone do

kobiecego więzienia – ośrodka imienia Rose M. Singer. Strażnicy uwolnili mnie od mojej towarzyszk i wpakowali do celi w małym oddziale z ośmiorgiem drzwi. Nie wiedziałam, dokąd zabrano pozostałe kobiety.

Wyposażenie celi stanowił podest z materacem, metalowa

umywalka, sedes bez żadnej zasłony i coś w rodzaju biurka przymocowanego do ściany. Usiadłam na łożku, zachowując pełną czujność. Wszystkie te sesje, które przeprowadziłam z więźniami Rikers... Czy nadal był tam facet, który ciągle opowiadał

dowcipy? A ten, który obnażał się w Metropolitan Museum?

Przypomniały mi się słowa Shalondy: „Wspaniale jest zaskoczyć samą siebie, zobaczysz”.

Położyłam się, z rękami pod głową, bo nie było poduszki. Na brudnej, lata temu pobielonej ścianie z pustaków nie było nic, co mogło przykuć moją uwagę. Żadnych graffiti. Prokowałam sobie wyobrazić sypialnię stanowiącą przeciwieństwo miejsca, w którym się znajdowałam. Czyja sypialnia przyszła mi do głowy? Sypialnia Billie w posiadłości jej babki. Właściwie nie tyle sypialnia, co całe skrzydło, galeria. Te wyłożone białą wykładziną podłogi, wyeksponowane obrazy, niezwykle cenne prace Motherwella i de Kooninga. A w sąsiednim pokoju elektryzujące czarne płotno z czerwonym kształtem przypominającym literę H wypełnioną krwią. Dzieło Loewiego. Dziadka Pat.

Moj oddech przyśpieszył.

Znow byłam w pracowni Pat, pokazywała mi swoje nagie

zdjęcia, była tam też jej rottweilerka rzucająca się na szyby. Suka do tej pory nie została odnaleziona.

Jak mogłam to przeoczyć? Billie przywiozła rottweilera do For Pitties' Sake. Kiedy tam przyjechałyśmy, spytała Alfreda, jak się miewa suka. Pamiętałam, co powiedziała: „Martwiłam się o nią”.

Poprosiłam strażniczkę o możliwość skorzystania z telefonu.

McKenzie szybko dowiedział, że rottweilerka jest zaczipowana.

Weterynarz zeskanował czip, na którym zakodowano nazwisko właścicielki: Pat Loewi. Przy oddawaniu suki do For Pitties' Sake Billie oświadczyła, że właściciel zmarł, więc Alfredo nie widział

potrzeby sprawdzania danych. Przeraziła go wiadomość, że jego podopieczna jest dowodem w sprawie o morderstwo, zapewnił

jednak, że zgodzi się zeznawać w sądzie.

McKenzie poinformował o wszystkim Bienvenida, kuzyna

Amabile, z komendy policji hrabstwa Suffolk, ponieważ sprawa Pat podlegała jego jurysdykcji.

Przez ten czas Steven zdążył przekazać policji moj komputer; policyjni eksperci stwierdzili, że adres IP komputera Libertine należy do Billie.

Kiedy Billie została podejrzaną, policja przeszukała jej samochód, w którym – pomimo iż Billie kazała wyprać tapicerkę – znaleziono ślady sierści dogów argentyńskich.

Billie została zatrzymana w domu swojej babki. Lubię myśleć, że trafiła do celi, którą opuściłam. Carol Anders, adwokat od spraw kryminalnych, wynajęta dla mnie przez Stevena i

McKenziego, doprowadziła do wycofania wszystkich zarzutów wobec mnie zaraz po aresztowaniu Billie, którą oskarżono o zabicie policjanta i usiłowanie zabicia drugiego, a także o zabicie Pat Loewi. Po kilku dniach policja z Bostonu odnalazła młotek, którym zamordowano Susan Rorke. Billie schowała go w tej samej szafie w domu babki, w której trzymała swoje zabawki.

Szminka w kolorze tiramisu, znaleziona w skrytce jej samochodu, była używana przez Samanthę Couper, czego dowiodły badania DNA. Policja z Nowego Jorku przekazała ten dowód policji w Toronto, a morderstwo Samanthy Couper zostało dodane do listy zarzutów. Pozostawał Bennett. A raczej Jimmy Gordon. Aby Billie została oskarżona również o to morderstwo, trzeba ekshumować jego ciało – jak powiedział mi prokurator okręgowy. Pomyślałam, że matka Jimmy'ego wystarczająco dużo przeszła. Nowy Jork zniosł karę śmierci w 2007 roku, ale Billie i tak nigdy już nie opuści więzienia, nawet bez doliczenia kary za zamordowanie Bennetta.

Wiedziałam, że niektórzy oczekują... i wierzą, że takie

sprawy mają szczęśliwe zakończenie. Nienawidziłam fałszywej tezy, że tajemnicę i smutek można odciąć jak wystające nitki. Czy to znaczy, że koszmary przestaną nawiedzać człowieka w dzień i w nocy? Że można żyć dalej tak jak przedtem? Uważałam, że to okrutne i oznacza pogoń za nieosiągalnym Graalem. Ale może

niektorzy ludzie go znajdują. Albo wmawiają sobie, że znaleźli.  
Każdy ratuje się jak może.

Jako kobieta, która została poważnie oszukana przez nie jedną, ale dwie osoby, i nie tylko oszukana, ale również wydana na pastwę seryjnej morderczynie, zaczęłam się zastanawiać nad swoją przydatnością do zawodu, który wybrałam, a także nad definicją badanego przeze mnie typu osobowości. W

*Diagnostycznostatystycznym*

*podręczniku zaburzeń psychicznych* nie pojawia się termin „socjopata” ani „psychopata”. Określeniem najbliższym socjopatii jest „antyspołeczne zaburzenie osobowości”, opisane jako „ignorowanie oraz naruszanie praw innych”, ustalane na podstawie trzech lub więcej z następujących kryteriów: Niedostosowanie do norm społecznych.

Nieodpowiedzialność.

Skłonność do kłamstwa.

Obojętność na los innych.

Lekkomyślność.

Nieumiejętność planowania przyszłości.

Skłonność do irytacji i agresji.

Najczęściej stosowany test na psychopatię to PCL-R

(Psychopathy Checklist, Revised), znany także jako test Hare’a.

Kanadyjski psycholog Robert Hare zaobserwował, że przy wyciąganiu wniosków socjologów skupiają się raczej na aspektach środowiskowych lub społecznych, natomiast psychologowie i psychiatrzy biorą pod uwagę także czynniki genetyczne, poznawcze i emocjonalne.

Wykorzystałam Billie jako studium przypadku do ostatniego rozdziału mojej pracy. Zakończyłam pytaniem: Czy tacy ludzie zasługują na wybaczenie?

Ja nie potrafiłam wybaczyć sobie.

– Co masz sobie do wybaczenia? – pytali moj brat i

McKenzie. – To, że myślisz dobrze o innych? Swoją ufność? –

Musiałam znaleźć inny sposób postrzegania wybaczenia.

Niektórzy ludzie są przekonani, że zdolność do przebaczenia w pewnym momencie pojawia się sama z siebie, tak po prostu, inni uważają, że jest kwestią wyboru. Że może się zmanifestować jako inna forma empatii, prezent dla samego siebie.

Babka dzięki swoim pieniądzom zapewniła Billie zespół adwokatów, którzy walczą o skierowanie jej do prywatnego

szpitala psychiatrycznego zamiast do więzienia. Pomimo iż stwierdzono, że interwencja psychiatryczna nie przynosi efektów w przypadku psychopatów. Na razie Billie przebywa w Ośrodku Psychiatrii Sądowej imienia Kirby’ego, zamkniętym szpitalu psychiatrycznym ze wzmocnioną ochroną podlegającym Urzędowi Zdrowia

Psychicznego stanu Nowy Jork, gdzie na zlecenie prokuratora jest badana przez biegłego psychiatrę oraz wybitnych ekspertów występujących jako świadkowie obrony. To ten wielki, ponury budynek, który widziałyśmy z Billie po drugiej stronie East River, kiedy po zabranii Cloud ze schroniska spacerowałyśmy nad wodą, żeby suka mogła się nacieszyć wolnością.

Kiedy poznajesz kogoś w trudnych chwilach, macie od razu wspólną historię, powiedziała mi Cilla. Obywa się bez błahych rozczarowań i zawstydzienia. Przechodzi się od razu do rzeczy, pominąwszy codzienność.

McKenzie widział mnie w więzieniu. Widział moją łatwowierność, strach i zazdrość. Widział, jak nie dostrzegałam tego, co było tuż przed moim nosem. Ale mimo to widział mnie.

I chciał zobaczyć znowu. Wszyscy mamy fantazje, które rozbijają się o ścianę rzeczywistości. Nie wyobrażałam sobie pierwszego pocałunku w chwili, gdy wyszłam z Rikers Island: brudna, z tłustymi włosami, mniej pociągająca niż kiedykolwiek.

Ale to właśnie wtedy McKenzie przyciągnął mnie do siebie, ujął w dłonie moją twarz – gestem zarazem czułym i zaborczym – i pocałował. Przypomniała mi się stara piosenka, którą śpiewała Betty Everett: „Jeśli chcesz wiedzieć, czy on cię kocha, to jest w jego pocałunku”. Rzeczywistość była lepsza od fantazji. Lepsza, bo pożądanie przyszło samo, bez niepokoju towarzyszącego obsesji. Lepsza, ponieważ McKenzie był rozsądny – gra słów, z której zdałam sobie sprawę, bo wiedziałam, jakim jest człowiekiem.

Tydzień po moim zwolnieniu McKenzie złożył wniosek o uwolnienie Cloud.

Zaproponował, że zawiezie mnie do schroniska, ale wolałam pojechać sama. Zmierzając na północ bulwarem Roosevelta, minęłam Ośrodek Psychiatrii Sądowej imienia Kirby’ego. Za jednym z tysiąca zakratowanych okien była Billie.

Pogoda dopisywała, chociaż według prognoz po południu miało się zachmurzyć, a nawet padać. Na drodze panował niewielki ruch; zachowywałam dozwoloną prędkość, mimo że jechałam odzyskać swojego psa. Nie włączyłam radia ani płyty.

Rozkoszowałam się jasnością myśli, którą zyskałam po powrocie do życia. Świadomość, że walczyłam o siebie, napawała mnie dumą. Wydaje się oczywiste, że każdy by walczył o swoje życie, ale wtedy wcale takie oczywiste nie było. Nie można też zapominać o szczęściu – z pokorą musiałam przyznać, że miałam go bardzo dużo.

Za jakieś czterdzieści minut miałam dotrzeć do zjazdu prowadzącego do baru, gdzie Billie ujawniła się jako Libertine.

Wspomnienie tego przeobrażenia nadal wytrącało mnie z

rownowagi. Po paru drinkach wykazywała pięć z siedmiu cech charakterystycznych

dla psychopatki.

Podjechałam autem Stevena na stację benzynową. Kiedyś uważałam, że nie pojawiłam się na tym świecie po to, by własnoręcznie tankować benzynę, ale w końcu zaczęło mi się to podobać. Cieszyła nie tylko sama umiejętność, ale też

natychmiastowa satysfakcja w postaci pełnego baku. Zapłaciłam gotówką, dzięki czemu dostałam rabat.

Zbliżałam się do skrzyżowania na Greenwich, gdzie mieszkała babka Billie. Widziałam ją jeszcze raz, kiedy zeznawałam przed ławą przysięgłych. Siedziała sama na ławce przed salą rozpraw. Jest takie powiedzenie: „Młoda kobieta ubiera się tak, żeby sprawiać przyjemność, stara kobieta ubiera się tak, aby nie sprawiać przykrości”. Babka Billie wyglądała nieskazitelnie w klasycznym kostiumie Chanel i perłach na szyi. Opanowała do perfekcji sztukę patrzenia na innych, jakby byli przezroczyści; zademonstrowała ją, gdy próbowałam nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Kiedy wywołano moje nazwisko, weszłam do sali i zobaczyłam Billie siedzącą przy stole ze swoimi adwokatami. Wyglądała, jakby babka wybrała jej stroj na tę okazję. Nigdy przedtem nie widziałam jej w kostiumie, pończochach i czółenkach na płaskim obcasie. Długie włosy miała uczesane w związany wysoko koński ogon. Bez makijażu robiła wrażenie osoby delikatnej i łagodnej. W

odroźnieniu od babki nawiązała ze mną kontakt wzrokowy, ale nie potrafiłam odczytać z jej twarzy żadnych emocji. Patrzyła na mnie jak na kustosza w muzeum, objaśniającego technikę malarską dawnego mistrza. Okazywała umiarkowane zainteresowanie tym, co się wokół niej działo, jakby jej własny proces był jedynie sposobem na spędzenie czasu.

Tuż przed dwunastą w południe wjechałam na teren For

Pitties' Sake. Alfredo przebywał na torze sprawnościowym z dwoma psami – Cloud i szarym pitbulem. Zauważyłam, że psy szły zgodnie obok siebie; kiedy Alfredo mnie zobaczył, pomachał

ręką i poprowadził je w moim kierunku. Przekazał pitbula asystentce, która wyszła do nas z domu. Potem spuścił Cloud ze smyczy. Była jakieś sto metrów ode mnie. Zawołałam ją.

Podniosła głowę. Zawołałam jeszcze raz. Tym razem opuściła głowę i puściła się biegiem. Po chwili zwolniła, żeby mnie nie staranować. Padła grzbietem na trawę tuż przede mną i zaczęła się tarzać. Położyłam się obok niej i pozwoliłam, żeby się na mnie wtoczyła. Leżałyśmy tak, przytulone, dopoki Cloud nie przyłgnęła czołem do mojego czoła. To był nasz stary zwyczaj: stykałyśmy się czołami i zamykałyśmy oczy. To znaczy, ja zamykałam, bo Cloud wpatrywała się we mnie, kiedy znowu je otwierałam.

– Wracasz do domu, dziewczyno – powiedział do niej

Alfredo, a potem zwrocił się do mnie. – Wszystkich nas oszukała ta Billie. Ale nie



zdołała oszukać psow. Tej rottweilerki, którą przywiozła. Myślałem, że boi się Billie tak samo jak innych ludzi.

– Alfredo klapnął na trawę obok nas. – Powinienem był się zorientować, że ta suka widziała coś strasznego. Nie chorowała, tylko coś ją potwornie przeraziło.

– Była świadkiem zbrodni swojej pani.

– Ta Billie twierdziła, że Audie należała do jakiegoś starego człowieka, który zmarł i spędziła kilka dni w domu ze zwłokami, zanim ktoś je znalazł.

– Jak się teraz miewa?

Przypominałam sobie, jak tamtego dnia w pracowni Pat myślałam, że jej pies dziwnie się zachowuje, tymczasem Audie reagowała prawidłowo, wzięwszy pod uwagę obecność Billie tuż obok w lesie. Zastanawiałam się, jak Billie wówczas poskromiła sukę. Czy Pat otworzyła przed Billie drzwi, przekonana, że to znowu ja? Czy może Billie miała ze sobą mięso nafaszerowane narkotykiem?

– Okazało się, że Audie jest bardzo kochana. Chroni mniejsze psy, mam do niej pełne zaufanie – chwalił Alfredo. – Jest takie określenie, może pani słyszała? Rozkwit. Wtedy, kiedy pies uwalnia się z trudnej sytuacji i może w końcu poczuć się bezpiecznie.

Audie rozkwitła.

Podziękowania

Podczas pisania tej książki wspierało nas wiele osób. Za swoją bezcenną pomoc podziękowania niech zechcą przyjąć:

Rebecca Ascher-Walsh, Scott Ciment, Yolanda Crous, Martha Gallahue, Chiu-yin Hempel, Susanne Kirk, Jeff Latzer, Pearson Marx, Arnold Mesches, Barbara Oakley i jej dwie książki *Cold-Blooded Kindness* oraz *Pathological Altruism* (ktorej jest współautorką), nasi niezastąpieni agenci literaccy: Liz Darhansoff i Gail Hochman, oraz wydawnictwo Scribner w składzie: Dan Cuddy, Daniel Loedel, Paul O'Halloran, a zwłaszcza niezawodna redaktorka, Nan Graham, ktorej mądrość, precyzja i entuzjazm mobilizowały nas podczas pracy.

Jesteśmy Wam bardzo wdzięczne.

Autorki